Ursula K. Le Guin
SWIAT ROCANNONA
SF FICTION

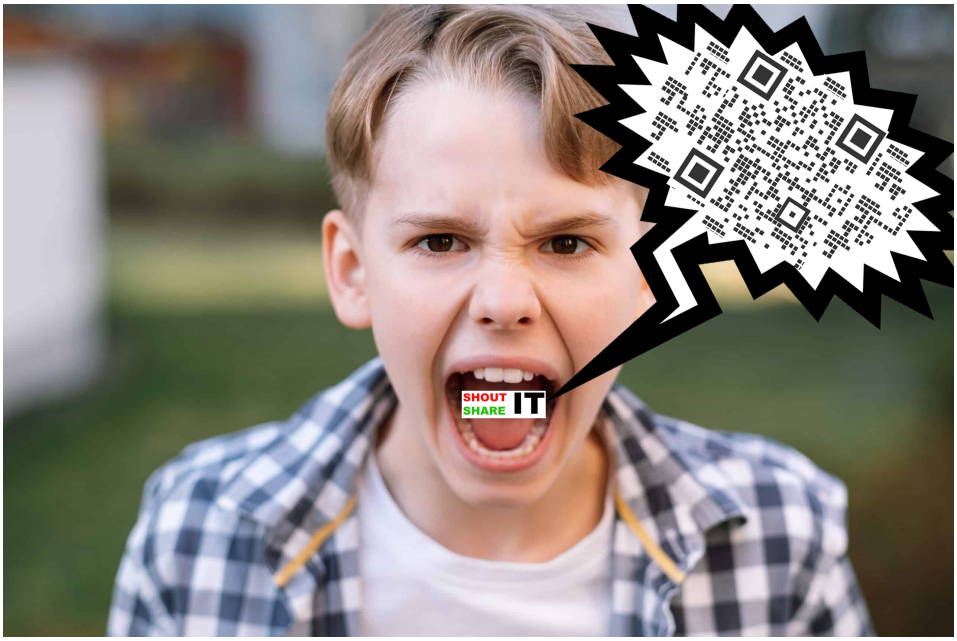
SHOUT
SHARE IT

Annotation

Rocanon, kosmiczny etnograf prowadzący badania na zacofanej planecie, staje w obronie tubylców, których zaatakował galaktyczny wróg. Naukowa misja przekształca się w awanturniczą wyprawę, podczas której bohater odkrywa w sobie tajemniczy dar, znany jedynie Najstarszym.

- Ursula K. Le Guin
  - Prolog
  - Część pierwsza
    - I
    - II
    - III
    - IV
    - V
  - Część druga
    - VI
    - VII
    - VIII
    - IX
  - Epilog

Ursula K. Le Guin
Świat Rocannona

Prolog
NASZYJNIK SEMLEY

Jak odróżnić legendę od prawdy na tych światach oddalonych o tyle lat? — na bezimiennych planetach, zwanych przez swoich mieszkańców po prostu Światami, planetach bez historii, gdzie przeszłość to sprawa mitu, gdzie powracający badacz stwierdza, że jego własne czyny sprzed kilku lat stały się gestem boga. Irracjonalizm wypełnia przepaść czasu, której dwa brzegi łączą nasze światłowce, a w jego mroku plenią się jak zielsko niepewność i niewspółmierność.

Ktoś, kto chce opowiedzieć historię człowieka, zwykłego uczonego Ligi, który udał się przed niewielu laty na jeden z takich bezimiennych, na wpół poznanych światów, czuje się jak archeolog wśród tysiącletnich ruin, przeciskających się przez gąszcz liści, kwiatów, gałęzi i pnączy, by nagle natknąć się na przejrzystą geometrię koła lub polerowanego narożnika; a potem wchodzi w jakieś zwyczajne, oświetlone słońcem drzwi, by w ciemnym wnętrzu ujrzeć nieoczekiwaną iskierkę ognia, błysk klejnotu, ledwie widoczny ruch kobiecej ręki.

Jak odróżnić fakt od legendy, prawdę od prawdy?

W powieści Rocannona powracają błękitne błyski klejnotu. Zacznijmy ją od tego:

> 8 Strefa Galaktyczna, N. 62: Fomalhaut II.
> Istoty rozumne (gatunki poznane):
> Gatunek I.
>
> A. Gdemiar (l.poj. Gdem): Wysoce inteligentni, w pełni człekokształtni jaskiniowcy. Wzrost 120–135 cm, skóra jasna, włosy ciemne. W momencie kontaktu ci troglodyci posiadali wyraźnie rozwarstwione oligarchiczne społeczeństwo typu miejskiego, zmodyfikowane zjawiskiem kolonii telepatycznych, oraz technologicznie nastawioną kulturę okresu wczesnej stali.
>
> Skok technologiczny od kultury przemysłowej, poziom C na skutek wypraw Ligi w latach 252–254. W r. 254 oligarchowie okręgu Kirien otrzymali automatyczny statek zapewniający połączenie z Nową Południową Georgią. Status C.
>
> B. Fiia (l.poj. Fian): Wysoce inteligentni, w pełni człekokształtni, tryb życia dzienny, śr. wys. ok. 130 cm. Wśród obserwowanych osobników przeważał typ jasnoskóry i jasnowłosy. Sporadyczne kontakty wskazywały na

społeczeństwo typu osiadłej i koczowniczej wspólnoty, częściowo telepatię kolonialną z pewnymi oznakami krótkodystansowej telekinezy. Rasa sprawia wrażenie antytechnologicznej, o minimalnych, płynnych wzorcach kulturowych. Kontakt bardzo utrudniony. Nie opodatkowani. Status E?

Gatunek II.

Liuar (l.poj. Liu): Wysoce inteligentni, człekokształtni, tryb życia nocny, śr. wys. ok. 170 cm. Mieszkają w grodach obronnych, społeczeństwo typu klanowego, technologia zablokowana na epoce brązu, kultura rycerska. Horyzontalny podział społeczeństwa na dwie pseudorasy: a) Olgyior — ludzie średni — jasnoskórzy i ciemnowłosi; b) Angyar — panowie — bardzo wysocy, ciemnoskórzy i jasnowłosi…

— To ona — powiedział Rocannon spoglądając znad Małego Kieszonkowego Przewodnika po Istotach Rozumnych na bardzo wysoką, ciemnoskórą i jasnowłosą kobietę, która stała w głębi długiego korytarza muzeum. Stała nieruchomo, wyprostowana, w koronie złotych włosów, wpatrzona w gablotę. Wokół niej kręciło się czterech niespokojnych brzydkich karłów.

— Nie wiedziałem, że Fomalhaut II ma oprócz troglodytów tyle tych ludów — powiedział Ketho, Kurator. — Ja też. Tu są nawet wymienione „nie potwierdzone” gatunki, z którymi nie doszło do kontaktu. Czas chyba na jakąś gruntowniejszą ekspedycję do nich. Dobrze, że przynajmniej wiemy, kim ona jest.

— Dużo bym dał, żeby się dowiedzieć, kim ona jest naprawdę…

Pochodziła ze starego rodu pierwszych królów angyarskich i mimo ubóstwa włosy jej błyszczały czystymi szczerym złotem jej dziedzictwa. Mali ludzie, Fiia, kłaniali się na jej widok, nawet gdy jeszcze jako dziecko biegała boso po polach z jasną, płomienną kometą włosów rozjaśniającą mroczną atmosferę Kirien.

Była wciąż jeszcze bardzo młoda, kiedy Durhal z Hallan ujrzał ją, poprosił o jej rękę i zabrał ją ze zrujnowanych wieżyc i pełnych przeciągu komnat dzieciństwa do swego własnego wysokiego domu. W Hallan na zboczu góry też nie było wygód, choć zachowało się bogactwo. Okna nie miały szyb, kamienne podłogi były nagie; w zimnej porze roku można się było rano obudzić i ujrzeć długie języki nawianego w nocy śniegu pod każdym oknem. Młoda żona Durhala stawała wąskimi bosymi stopami na zaśnieżonej podłodze zaplatając pożar swoich włosów i śmiejąc się do młodego małżonka w srebrnym lustrze zdobiącym ścianę jej pokoju. To lustro i ślubna suknia jego matki wyszyta tysiącem drobniutkich kryształków stanowiły cały jego

majątek. Niektórzy z pomniejszych krewniaków nadal posiadali całe skrzynie brokatowych szat, pozłacane meble, srebrne rzędy dla swoich wierzchowców, srebrem zdobione zbroje i miecze, drogie kamienie i biżuterię, na którą młoda małżonka Durhala zerkała z zazdrością, oglądając się za wysadzanym kamieniami diademem lub złotą broszą, nawet gdy jej właścicielka przystawała, by przepuścić Semley z szacunku dla jej urodzenia i pozycji męża.

Durhal i jego żona Semley zasiadali podczas Wielkiej Uczty na czwartym miejscu, tak blisko Pana na Hallan, że starzec często własnoręcznie nalewał wina Semley oraz rozmawiał o łowach ze swoim bratankiem i następcą Durhalem, spoglądając na młodą parę z ponurą, pozbawioną nadziei miłością. Nadzieja była wielką rzadkością wśród Angyarów z Hallan i całej Zachodniej Krainy od czasu, kiedy pojawili się Władcy Gwiazd ze swymi domami skaczącymi na kolumnach ognia i straszliwą bronią mogącą rozbijać góry. Naruszyli oni stare obyczaje czasów pokoju i czasów wojny i choć sumy były niewielkie, honor Angyarów cierpiał wielce, że musieli płacić podatki, daninę na wojnę, jaką Władcy Gwiazd mieli stoczyć z jakimś dziwnym wrogiem, gdzieś w pustych przestrzeniach między gwiazdami, kiedyś na końcu czasu. „To będzie także wasza wojna” mówili, ale już całe pokolenie Angyarów siedziało w daremnym wstydzie w swoich wielkich komnatach, patrząc, jak rdzewieją ich długie miecze, jak ich synowie dorastają nie zadawszy ciosu w bitwie, a córki wychodzą za biedaków lub nawet ludzi średnich, nie mając w posagu bogatego łupu godnego męża szlachetnego rodu. Pan na Hallan z zasępioną twarzą spoglądał na jasnowłosą parę słuchając ich śmiechu, kiedy pili cierpkie wino i weselili się w zimnej, zrujnowanej, okazałej fortecy swojej rasy.

Twarz Semley też twardniała, gdy rozglądała się po sali i widziała na miejscach znacznie poniżej swego, nawet daleko wśród mieszańców i ludzi średnich, na tle białej skóry i czarnych włosów lśnienia i blaski drogocennych kamieni. Ona nic nie wniosła mężowi w posagu, ani jednej srebrnej szpilki. Suknię z tysiącem kryształków schowała do skrzyni na ślub córki, jeżeli będą mieć córkę.

Miała córkę i nazwali ją Haldre, a kiedy jej mała brązowa główka porosła nieco już dłuższym włosem, zabłysło na niej szczere złoto; dziedzictwo wielkopańskich przodków, jedyne złoto, jakie kiedykolwiek będzie jej własnością…

Semley nie wspominała mężowi o tym, co jej doskwiera. Przy całej dobroci, jaką miał dla niej, Durhal w swojej dumie żywił tylko pogardę dla zawiści i dla próżnych zachcianek, a Semley bała się jego pogardy. Zdradziła się jednak przed siostrą Durhala, Durossą.

— Moja rodzina miała kiedyś wielki skarb — powiedziała. — Był to szczerozłoty naszyjnik z błękitnym kamieniem, to się chyba nazywa

szafir, pośrodku.

Durossa potrząsnęła głową i uśmiechnęła się, również niepewna nazwy. Była późna ciepła pora, jak północni Angyarowie nazywają lato swego osiemsetdniowego roku, licząc cykl miesięcy na nowo od każdego zrównania, co Semley uważała za dziwaczy kalendarz, dobry chyba tylko dla średnich ludzi. Jej rodzina dożywała kresu, ale była starsza i miała czystszą krew niż wszystkie te rody z północno-zachodnich kresów, które zbyt często mieszały się z Olgyiorami. Siedziała z Durossą w słońcu na kamiennej ławie podokiennej, wysoko w Wielkiej Wieży, gdzie mieszkała starsza kobieta. Młodo owdowiała i bezdzietna, Durossa została po raz drugi zaślubiona panu na Hallan, swemu stryjowi. Ponieważ było to drugie małżeństwo dla nich obojga i byli spokrewnieni, Durossa nie miała tytułu pani na Hallan, który pewnego dnia otrzyma Semley, ale zasiadała ze starym panem na wysokim krześle i rządziła wraz z nim jego włościami. Starsza od swego brata Durhala, lubiła jego młodą żonę i uwielbiała ich jasnowłosą córeczkę Haldre.

— Kupiono go — opowiadała Semley — za cały okup, który mój przodek Leynen dostał po zwycięstwie nad Księstwami Południa — pomyśl tylko, wszystkie pieniądze z całego królestwa za jeden klejnot! Na pewno zaćmiłby wszystkie klejnoty Hallan, nawet te kryształy jak jaja kooba, które nosi twoja kuzynka Issar. Był tak piękny, że dostał własne imię; nazywano go Oko Morza. Nosiła go moja prababka.

— A ty nigdy go nie widziałaś? — spytała starsza kobieta leniwie, spoglądając w dół na zielone zbocza, gdzie długie lato wysyłało swoje gorące, wiecznie niespokojne wiatry na lasy i białe drogi ciągnące się hen, aż na brzeg morza.

— Zaginął przed moim urodzeniem.

— Nie, mój ojciec powiedział, że klejnot został ukradziony przed przybyciem Władców Gwiazd na nasze ziemie. Nie chciał mówić na ten temat, ale pewna stara kobieta ze średnich ludzi znająca mnóstwo opowieści powtarzała mi nieraz, że Fiia wiedzą, gdzie jest klejnot.

— Ach, chciałabym zobaczyć tych Fiia! — westchnęła Durossa. — Tyle się o nich słyszy w pieśniach i opowieściach, dlaczego nigdy nie zaglądają w nasze strony?

— Zbyt wysoko i zbyt chłodno zimą, jak sądzę. Oni lubią słoneczne doliny południa.

— Czy są podobni do Gliniaków?

— Gliniaków nigdy nie widziałam; trzymają się od nas z daleka tam, na południu. Podobno są nieforemni i biali jak ludzie średni. Fiia są piękni, wyglądają jak dzieci, tylko szczuplejsze i mądrzejsze. Tak, ciekawe, czy wiedzą gdzie jest naszyjnik, kto go ukradł i gdzie schował! Pomyśl, Durossa, gdybym tak mogła wejść do Wielkiej Sali Hallan i usiąść obok mojego męża z ceną królestwa na szyi,

zaćmiłabym inne kobiety tak, jak on zaćmiewa wszystkich mężczyzn!

Durossa pochyliła głowę nad dzieckiem, które oglądało z zainteresowaniem swoje brązowe stópki siedząc na skórze między matką a ciotką. — Semley jest niemądra — szepnęła do dziecka. — Semley, która błyszczy jak spadająca gwiazda, Semley, której mąż nie kocha innego złota poza złotem jej włosów…

A Semley, zapatrzona ponad zielonymi wzgórzami w stronę dalekiego morza, milczała.

Minęła zimna pora i Władcy Gwiazd znowu przybyli po daninę na wojnę z końcem świata — tym razem używając jako tłumaczy pary karłowatych Gliniaków i obrażając w ten sposób wszystkich Angyarów do granic rebelii — potem minęła następna pora ciepła, Haldre wyrosła na uroczą, rozgadaną dziewuszkę i Semley przyniosła ją któregoś ranka do słonecznego pokoju Durossy w wieży. Semley miała na sobie stary błękitny płaszcz, jej włosy przykrywał kaptur.

— Zaopiekuj się Haldre przez kilka dni — powiedziała szybko i spokojnie. — Jadę na południe do Kirien.

— Chcesz odwiedzić ojca?

— Chcę odnaleźć swoje dziedzictwo. Twoi kuzyni z Hagret pokpiwali z Durhala. Nawet ten mieszaniec Parna może mu dokuczać, bo jego żona, ta kluchowata, czarnowłosa flądra, ma aksamitną kapę na łoże, diamentowy kolczyk i trzy szaty, a żona Durhala musi chodzić w łatanej sukni…

— Durhal jest dumny ze swojej żony, nie z jej sukien.

Ale Semley była niewzruszona.

— Panowie na Hallan stają się biedakami w swoim własnym zamku. Przywiozę swojemu panu posag godny moich przodków.

— Semley! Czy Durhal wie, że wyjeżdżasz?

— Mój powrót będzie szczęśliwy, to możesz mu powiedzieć — odparła młoda Semley wybuchając beztroskim śmiechem, potem schyliła się, żeby pocałować córkę, odwróciła się i zanim Durossa zdążyła się odezwać, znikła jakby podmuch wiatru przemknął po zalanej słońcem kamiennej podłodze.

Zamężne kobiety angyarskie nie jeżdżą wierzchem dla zabawy i Semley nie opuszczała Hallan od czasu zamążpójścia, toteż teraz, sadowiąc się w wysokim siodle swojego wiatrogona poczuła się znowu jak panna, jak szalona dziewczyna, która na skrzydłach północnego wiatru ujeżdżała półdzikie wierzchowce nad polami Kirien. Zwierzę unoszące ją teraz ze wzgórz Hallan było szlachetnej krwi: pasiasta skóra ciasno obciągała puste, lekkie kości, zielone oczy mrużyły się od wiatru, lekkie, ale potężne skrzydła biły powietrze po obu stronach Semley, na przemian odsłaniając i przesłaniając chmury nad głową i wzgórza pod stopami.

Na trzeci dzień rano przybyła do Kirien i stanęła na zrujnowanym

dziedzińcu. Jej ojciec pił całą noc i tak jak dawniej poranne słońce wpadające przez dziurawy dach drażniło go, a widok córki rozdrażnił go jeszcze bardziej.

— Po co wróciłaś? — warknął nie patrząc na nią zapuchniętymi oczami. Płomień jego włosów przygasł, siwe kosmyki wiły się na czaszce. — Czy młody Halla nie ożenił się z tobą i wracasz chyłkiem do domu?

— Jestem żoną Durhala. Przyjechałam, żeby odzyskać mój posag, ojcze.

Stary pijak warknął z irytacją, ale Semley roześmiała się tak łagodnie, że krzywiąc się musiał znowu na nią spojrzeć. — Czy to prawda, ojcze, że Fiia ukradli naszyjnik Oko Morza?

— Skąd mogę wiedzieć? Stare bajdy. Ta rzecz zginęła chyba przed moim urodzeniem. Lepiej bym się wcale nie rodził. Spytaj Fiia, jak chcesz wiedzieć. Idź do nich, albo wracaj do męża, ale zostaw mnie w spokoju. Kirien nie jest najlepszym miejscem dla kobiet, złota i innych takich rzeczy. Kirien jest skończone, to ruina, puste mury. Synowie Leynena nie żyją, a ich bogactwa znikły. Idź swoją drogą, dziewczyno.

Szary i spuchnięty jak pająk gnieżdżący się w ruinach poszedł niepewnym krokiem do piwnic, by ukryć się przed blaskiem dnia.

Prowadząc pasiastego wiatrogona z Hallan Semley opuściła swój dawny dom i zjechała ze stromego wzgórza, przez wieś średnich ludzi, którzy pozdrawiali ją z posępnym szacunkiem, wśród pól i pastwisk, gdzie pasły się ogromne, półdzikie herilory z podciętymi skrzydłami, aż do doliny zielonej jak malowana miska i wypełnionej po brzegi słonecznym blaskiem. W głębi doliny leżała wioska Fiia i kiedy Semley zsiadła ze swego wierzchowca, mali drobni ludzie wybiegli do niej ze swych chat i ogrodów, i wśród śmiechu wołali cichymi, wysokimi głosami:

— Witaj żono Halla, pani Kirien, ujeżdżająca wiatr piękna Semley!

Nazywali ją miłymi słowami i słuchała ich z przyjemnością nie zwracając uwagi na ich śmiech, bo śmiali się ze wszystkiego co mówili. Ona też tak robiła, mówiła i śmiała się. Stała wysoka, w długim błękitnym płaszczu wśród zamętu ich powitania.

— Witajcie słoneczni Fiia, przyjaciele ludzi! Zaprowadzili ją do wsi i zaprosili do jednego ze swoich przewiewnych domów, a wszędzie towarzyszyła im gromadka małych dzieci. Wieku dorosłego Fiana nie sposób określić, trudno ich w ogóle rozróżnić, a że krążyli nieustannie niczym ćmy wokół świecy, nie wiadomo było, czy mówi się do tego samego osobnika. Wydawało się jednak, że jeden z nich rozmawiał z Semley, podczas gdy inni karmili i głaskali jej wierzchowca oraz przynosili jej wodę do picia i naczynia z owocami z ich karłowatych sadów.

— To nie Fiia ukradli naszyjnik panów Kirien! — krzyknął człowieczek. — Co Fiia robiliby ze złotem, pani? My mamy słońce w ciepłej porze, a w zimnej porze wspomnienie słońca, mamy złote owoce, złote liście przy zmianie pór, złote włosy naszej pani z Kirien; nie trzeba nam innego złota.

— Więc to jakiś średni człowiek ukradł klejnot? Odpowiedzią był długi, zwiewny śmiech.

— Jaki średni człowiek miałby odwagę? O, pani na Kirien, jak skradziono wielki klejnot nie wie żaden śmiertelnik, ani człowiek, ani średni człowiek, ani Fian, ani nikt spośród siedmiu ludów. Tylko zmarli wiedzą, jak on przepadł dawno temu, kiedy Kireley Dumny, twój pradziad, wędrował samotnie do jaskiń nad morzem. Ale może znajdzie się on u Wrogów Słońca.

— U Gliniaków?

Nieco głośniejszy, nerwowy wybuch śmiechu.

— Usiądź wśród nas, Semley słonecznowłosa, która wróciłaś z północy.

Usiadła z nimi do posiłku i cieszyła się ich wdziękiem równie, jak oni jej obecnością. Kiedy jednak usłyszeli jak powtarza, że pójdzie do Gliniaków, żeby odzyskać swój posag, ich śmiech ucichł i stopniowo robiło się wokół niej coraz puściej. Wkrótce została sam na sam z jednym, zapewne z tym, z którym rozmawiała przed posiłkiem.

— Nie chodź do Gliniaków, Semley — powiedział i przez chwilę odwaga ją opuściła.

Fian przesunął powoli dłońmi po oczach i powietrze wokół nich nagle pociemniało. Owoce na talerzu nabrały barwy popielatej, woda znikła ze wszystkich naczyń.

— W dalekich górach dawno temu Fiia i Gdemiarowie rozdzielili się — mówił drobny cichy Fian. — Przedtem byliśmy jednym ludem. Oni są tym, czym my nie jesteśmy. My jesteśmy tym, czym oni nie są. Pomyśl o słońcu, trawie i drzewach rodzących owoce. Pomyśl, że nie wszystkie drogi, które prowadzą w dół, prowadzą również w górę.

— Moja nie prowadzi ani w dół, ani w górę, mój miły gospodarzu, ale prosto do mojego posagu. Pójdę tam, gdzie on jest i wrócę z nim.

Fian skłonił się ze śmiechem.

Za wioską Semley dosiadła swego wiatrogona i odpowiedziawszy okrzykiem na pożegnania wzniosła się na przedwieczornym wietrze i odleciała na południowy zachód w stronę jaskiń na skalistych brzegach morza Kirien.

Obawiała się, że będzie musiała wędrować daleko w głąb jaskiń-tuneli, żeby znaleźć tych, których szukała, gdyż mówiono, że Gliniacy nigdy nie wychodzą ze swoich podziemi na światło dzienne, że boją się Wielkiej Gwiazdy i księżyców. Była to daleka droga i wylądowała

raz, żeby jej wierzchowiec mógł zapolować na szczury drzewne, a ona zjeść trochę chleby ze swojej torby. Chleb był już twardy i suchy, i przeszedł zapachem skóry, ale zachował coś ze swego smaku i przez chwilę jedząc go samotnie w cieniu południowego lasu, usłyszała cichy głos Durhala i ujrzała jego twarz zwróconą ku niej w blasku świec Hallan. Przez chwilę siedziała wyobrażając sobie tę surową i żywą młodą twarz, i co mu powie, kiedy wróci do domu z ceną królestwa na szyi: „Chciałam mieć dar godny mego męża, o panie…" Wkrótce ruszyła dalej, ale kiedy dotarła do wybrzeża, słońce już zaszło i Wielka Gwiazda szła w jego ślady. Złośliwy wiatr przybiegł z zachodu, gwałtowny i niestały, i wiatrogon walcząc z nim opadł z sił. Pozwoliła mu wylądować na piasku. Natychmiast złożył skrzydła i podwinął pod siebie grube, lekkie łapy z pomrukiem zadowolenia. Semley stała otulając się ciasno płaszczem i głaszcząc szyję wierzchowca, który położył uszy i nie przestawał mruczeć. Jego ciepłe futro było przyjemne w dotyku, ale wokół jak okiem sięgnąć było tylko szare niebo ze strzępami chmur, szare morze, ciemny piasek. Nagle nad samym piaskiem przebiegło jakieś niskie, ciemne stworzenie, potem drugie, cała grupka, przysiadając, biegnąc, przystając.

Przywołała ich okrzykiem. Chociaż poprzednio jakby jej nie dostrzegli, teraz w jednej chwili znaleźli się wokół niej. Trzymali się na dystans od wiatrogona, który przestał mruczeć, a sierść zjeżyła mu się lekko pod dłonią Semley. Chwyciła go za uzdę ciesząc się z obrony, lecz i bojąc się wybuchu wściekłości zdenerwowanego zwierzęcia. Dziwne istoty stały patrząc w milczeniu, ich masywne bose stopy jakby wrosły w piasek. Nie było wątpliwości: byli wzrostu Fiia i we wszystkim innym stanowili ich cień, czarny obraz tamtych roześmianych istot. Nadzy, przysadziści, niezgrabni, mieli proste włosy i białoszarą skórę, wilgotnawą jak skóra robaków; oczy jak kamienie.

— Czy jesteście Gliniakami?

— Jesteśmy Gdemiarami, ludźmi panów Królestwa Nocy. — Nieoczekiwanie donośny i niski głos zabrzmiał pompatycznie wśród słonego wiatru i mroku, ale podobnie jak z Fiia, Semley nie potrafiła określić, który się odezwał.

— Pozdrawiam was, panowie nocy. Jestem Semley z Kirien, żona Durhala z Hallan. Przybyłam do was w poszukiwaniu mojego posagu, naszyjnika zwanego Okiem Morza, który zaginął dawno temu.

— Dlaczego szukasz go tutaj, o pani? Tutaj jest tylko piasek, sól i noc.

— Szukam go tutaj, bo w głębokich miejscach wiedzą o rzeczach zaginionych — odparła Semley nie lękając się pojedynku na słowa — i dlatego że złoto, które pochodzi z ziemi, ciągnie do ziemi z powrotem.

A czasem, powiadają, rzecz wraca do tego, kto ją zrobił.

Z tym ostatnim strzeliła na chybił trafił i trafiła w dziesiątkę.

— To prawda, że znamy naszyjnik Oko Morza z imienia. Był zrobiony w naszych jaskiniach dawno temu i sprzedany Angyarom. Błękitny kamień pochodził z kopalni naszych krewniaków ze wschodu. Ale to są bardzo dawne opowieści, o pani.

— Czy mogę ich posłuchać w miejscach, gdzie są opowiadane?

Przysadziste ludziki milczały przez chwilę, jakby się zastanawiały. Szary wiatr dął nad piaskiem, ciemniejąc jeszcze, ponieważ zaszła Wielka Gwiazda; odgłos morza to cichł, to narastał. Wreszcie głęboki głos znów się odezwał:

— Tak, pani, możesz wejść do Głębokich Komnat. Chodź z nami teraz.

Głos był zmieniony, jakby udobruchany, ale Semley nie zwróciła na to uwagi. Poszła za Gliniakami po piasku trzymając krótko za uzdę swego pazurzastego wierzchowca.

U wejścia do jaskini, bezzębnej, ziejącej paszczy, dyszącej ciepłem i stęchlizną, jeden z Gliniaków powiedział:

— Latające zwierzę nie wejdzie. — Wejdzie — powiedziała Semley. — Nie — powiedzieli przysadziści.

— Tak. Nie zostawię go tutaj. Nie mam prawa go zostawić. Nie zrobi wam krzywdy, dopóki go trzymam za uzdę.

— Nie — powtórzyły niskie głosy, ale inne wtrąciły: — Jak chcesz — i po chwili wahania ruszyli dalej. Ogarnęły ich takie ciemności, jakby paszcza jaskini zatrzasnęła się za nimi. Posuwali się gęsiego.

Wkrótce mrok się rozjaśnił i zbliżyli się do wiszącej pod stropem kuli słabego białego ognia. Dalej była następna i jeszcze następna, między nimi ciągnęły się po ścianach długie czarne robaki. Im dalej szli, tym więcej było kul ognistych, aż wreszcie cały tunel wypełniło jasne, zimne światło.

Przewodnicy Semley zatrzymali się u zbiegu trzech korytarzy zamkniętych żelaznymi wrotami.

— Tu zaczekamy, pani — powiedzieli, i ośmiu pozostało z nią, a trójka otworzyła jedne drzwi i weszła do środka. Wrota zatrzasnęły się za nimi z hukiem.

Nieruchoma, wyprostowana stała córa Angyarów pod białym, ostrym światłem lamp; jej wierzchowiec przysiadł obok bijąc końcem pasiastego ogona, a jego wielkie zwinięte skrzydła drgały raz po raz zdradzając hamowaną chęć ucieczki. Za plecami Semley ośmiu Gliniaków przysiadło na piętach mamrocząc niskimi głosami w swoim języku.

Ze zgrzytem otworzyły się środkowe wrota.

— Wprowadźcie Angyarkę do Królestwa Nocy! — zawołał nowy

głos, dudniący i napuszony. Stojący we wrotach Gliniak miał coś na kształt odzieży na krępym, szarym ciele.

— Wejdź i podziwiaj cuda naszej krainy, dzieła rąk panów Nocy! — powiedział zapraszając gestem.

Semley bez słowa szarpnęła za uzdę swego wierzchowca i poszła schylając głowę w drzwiach zrobionych dla karłowatego ludu. Otworzył się przed nią nowy rozjarzony korytarz z wilgotnymi ścianami skąpanymi w białym świetle, tylko tym razem na podłodze zamiast chodnika leżały dwie lśniące żelazne belki ciągnące się równoległą linią jak okiem sięgnąć. Na belkach stał jakiś wózek na metalowych kołach. Posłuszna gestom swego nowego przewodnika Semley bez wahania i bez cienia zdziwienia na twarzy weszła do wózka i skłoniła wiatrogona, żeby przysiadł koło niej. Gliniak usiadł z przodu, gdzie manipulował jakimiś dźwigniami i kółkami. Rozległ się głośny hałas, metal zazgrzytał o metal i ściany korytarza zaczęły uciekać do tyłu. Umykały tak coraz szybciej, aż wreszcie ogniste kule nad głową zlały się w jedno pasmo, a ciepłe, stęchłe powietrze zmieniło się w cuchnący wiatr, który odrzucił jej kaptur z głowy.

Wózek zatrzymał się. Semley weszła za przewodnikiem po bazaltowych schodach do rozległego przedpokoju, a stamtąd do jeszcze większej sali wyżłobionej przed wiekami przez wodę, a może wykutej w skale przez Gliniaków. Mrok, którego nigdy nie naruszyło światło dzienne, rozjaśniał niesamowity, zimny blask ognistych kul. W otworach wyciętych w ścianach obracały się wielkie śmigła wyciągając stęchłe powietrze. Rozległa zamknięta przestrzeń huczała i wibrowała hałasem: donośnymi głosami Gliniaków, zgrzytem, piskiem i szumem pracujących wentylatorów i kół, wielokrotnym echem tych dźwięków odbitym od skał. Tutaj wszyscy przysadziści Gliniacy mieli na sobie stroje naśladujące Władców Gwiazd; spodnie, miękkie buty i bluzy z kapturami, chociaż nieliczne kobiety, pośpiesznie przemykające się karlice, były nagie. Wśród mężczyzn przeważali żołnierze noszący przy boku broń wyglądającą jak straszne miotacze światła Władców Gwiazd, ale Semley zauważyła, że są to tylko żelazne pałki. Wszystko to widziała nie patrząc. Szła, dokąd ją prowadzono, nie zwracając głowy w lewo ani w prawo. Kiedy doszła do grupki Gliniaków noszących na czarnych włosach żelazne obręcze, jej przewodnik stanął, skłonił się i zahuczał:

— Panowie Gdemiaru!

Było ich siedmiu i wszyscy spojrzeli na nią z taką butą na swoich z gruba ciosanych szarych twarzach, że miała ochotę roześmiać im się w nos.

— Przybywam do was w poszukiwaniu zaginionego skarbu mojej rodziny, o władcy królestwa mroku — powiedziała poważnie. — Szukam nagrody Leynena, Oka Morza. — Jej głos zabrzmiał słabo w

hałasie wielkiej krypty.

— Tak nam donieśli posłańcy, o pani Semley. — Tym razem zauważyła, kto mówi; Gliniak niższy jeszcze od pozostałych, sięgający jej ledwie do piersi, z białą, srogą twarzą. — Nie mamy rzeczy, której szukasz.

— Mówią, że kiedyś była w waszym posiadaniu.

— Różne rzeczy mówią na górze, tam gdzie pali słońce. — A wiatr roznosi słowa wszędzie, dokąd dociera. Nie pytam, w jaki sposób naszyjnik zginął i wrócił do was, którzy go kiedyś zrobiliście. To dawne opowieści, dawne pretensje. Chcę tylko znaleźć go teraz. Nie macie go, ale może wiecie, gdzie jest.

— Tutaj go nie ma.

— Zatem jest gdzie indziej.

— Jest tam, dokąd nigdy nie dotrzesz. Chyba że my ci pomożemy.

— Więc pomóżcie mi. Proszę o to jako wasz gość.

— Powiedziane jest: *Angyarowie biorą, Fiia dają, Gdemiarowie dają i biorą.* Jeżeli zrobimy to dla ciebie, co za to dostaniemy?

— Moje podziękowanie, panie nocy.

Stała wśród nich wysoka i jasna, uśmiechnięta. Wpatrywali się w nią wszyscy z zazdrością i podziwem, z ponurą tęsknotą.

— Posłuchaj, Angyarko, prosisz nas o wielką rzecz. Sama nie wiesz, jak wielką. Nie potrafisz tego zrozumieć. Należysz do rasy, która nie chce rozumieć, która umie tylko ujeżdżać wiatrogony, uprawiać zboże, machać mieczem i krzyczeć chórem. Ale kto robi wasze miecze z jasnej stali? My, Gdemiarowie! Wasi panowie przychodzą do nas, kupują miecze i odchodzą nie oglądając się za siebie, nie rozumiejąc. Ale ty jesteś tutaj, ty będziesz patrzeć, możesz zobaczyć kilka z naszych niezliczonych cudów, światła, które palą się wiecznie, wóz, który sam jedzie, maszyny, które robią nam ubrania, gotują nam pożywienie, odświeżają nam powietrze i służą nam we wszystkim. Wiedz, że wszystkie te rzeczy są dla ciebie nie do pojęcia. I wiedz, że my, Gdemiarowie, żyjemy w przyjaźni z tymi, których wy nazywacie Władcami Gwiazd! Byliśmy z nimi w Hallan, w Reohan, w Hul-Orren, we wszystkich waszych zamkach, żeby pomóc im w rozmowach z wami. Książęta, którym wy, dumni Angyarowie, płacicie daninę, są naszymi przyjaciółmi. Świadczymy sobie nawzajem przysługi! Cóż jest dla nas twoje podziękowanie?

— To wy musicie odpowiedzieć na to pytanie, a nie ja — odparła Semley. — Ja zadałam pytanie. Odpowiedz mi, panie.

Siedmiu Gliniaków naradzało się przez chwilę słowami i w milczeniu. Spoglądali na nią, odwracali się, mamrotali coś i milkli. Powoli, w milczeniu zbierał się wokół nich tłum, aż wreszcie Semley stała otoczona setkami czarnych kudłatych głów i cała wielka hucząca grota z wyjątkiem wąskiego kręgu wokół niej była zapełniona

Gliniakami. Wiatrogon drżał ze strachu i zbyt długo powstrzymywanego gniewu, a jego oczy zrobiły się wielkie i jasne, jak oczy zwierzęcia zmuszonego do lotu w nocy. Semley pogłaskała ciepłe futerko na jego głowie szepcząc:

— Spokojnie, mój dzielny, mądry pogromco wiatru… — Pani, zabierzemy cię do miejsca, gdzie jest skarb — zwrócił się do niej Gliniak z białą twarzą i żelazną koroną na skroniach. — Więcej nie możemy nic dla ciebie zrobić. Musisz udać się z nami tam, gdzie jest naszyjnik, i zażądać go od tych, którzy go przechowują. Latające zwierzę musi tu zostać, pojedziesz sama.

— Jak daleka będzie podróż, panie?

Jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu. — To bardzo daleka podróż, o pani. Ale potrwa tylko jedną długą noc.

— Dziękuję wam za waszą grzeczność. Czy zaopiekujecie się moim wierzchowcem przez tę noc? Nie chcę, żeby mu się zdarzyło coś złego.

— Będzie spał do twojego powrotu. Kiedy znowu zobaczysz to zwierzę, będziesz miała za sobą jazdę na potężniejszym wiatrogonie! Czy nie spytasz, dokąd cię zabieramy?

— Czy prędko wyruszymy? Nie chcę być zbyt długo z dala od domu.

— Wyruszamy wkrótce. — I znów szare wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

Tego, co się działo przez kilka następnych godzin, Sęmley nie potrafiłaby opowiedzieć: pośpiech, hałas, niezrozumiała krzątanina. Podczas gdy trzymała głowę swego wiatrogona, jeden z Gliniaków wbił w jego pasiasty zad długą igłę. Omal nie krzyknęła na ten widok, ale jej wierzchowiec tylko drgnął, po czym mrucząc zasnął. Zabrała go grupa Gliniaków, którzy wyraźnie musieli zmobilizować całą swoją odwagę, żeby dotknąć jego ciepłego futra. Później musiała znieść widok igły wbijanej we własne ramię — pomyślała, że może po to, żeby wystawić na próbę jej odwagę, gdyż zdawało jej się, że nie zasnęła; pewności nie miała. Były chwile, że musiała jechać wózkami na szynach mijając setki żelaznych wrót i sklepionych pieczar; raz wózek przejechał przez jaskinię, która ciągnęła się po obu stronach toru bez końca i cały jej mrok wypełniały ogromne stada herilorów. Słyszała ich ochrypłe nawoływania i widziała jak migały w blasku lamp na przedzie wozu; potem zobaczyła je wyraźniej w białym świetle i zauważyła, że wszystkie są bezskrzydłe i ślepe. Na ten widok zamknęła oczy. Ale dalej były znów tunele i wciąż nowe groty, nowe szare, niekształtne ciała, srogie twarze i huczące chełpliwie głosy, aż wreszcie wyprowadzono ją nagle na otwartą przestrzeń. Była noc; z radością uniosła oczy ku gwiazdom i księżycowi, małemu Heliki, jaśniejącemu na zachodzie. Nadal jednak otaczali ją Gliniacy, którzy

kazali jej wejść po schodkach do innego wozu czy jaskini — nie umiała określić, co to jest. Wnętrze było małe, pełne małych, mrugających jak świeczki światełek, bardzo wąskie i lśniące po wielkich, wilgotnych grotach i gwiaździstej nocy. Znów ukłuto ją igłą i powiedziano, że musi zostać przywiązana do czegoś w rodzaju płaskiego fotela.

— Nie dam się związać — powiedziała Semley.

Kiedy jednak zobaczyła, że czterej Gliniacy, którzy mieli być jej przewodnikami, pozwalają się przywiązać, zgodziła się i ona. Wszyscy inni wyszli. Rozległ się ryk, potem zapanowała cisza i przygniótł ją wielki, niewidoczny ciężar. A potem nie było ciężaru, nie było dźwięków, nic.

— Czy ja umarłam? — spytała Semley.

— O nie, pani — odpowiedział głos, który się jej nie spodobał.

Otworzyła oczy i ujrzała schyloną nad sobą białą twarz, grube wargi rozciągnięte w uśmiechu, oczy jak kamyki. Więzy opadły z niej, zerwała się z miejsca. Czuła się nieważka, bezcielesna, czuła się jak obłoczek strachu na wietrze.

— Nie zrobimy ci krzywdy — odezwał się ponury głos czy też głosy — ale pozwól nam się dotknąć. Chcielibyśmy dotknąć twoich włosów. Pozwól nam, pani, dotknąć twoich włosów…

Okrągły wóz, w którym się znajdowali, zadrżał lekko. Za jego jedynym oknem panowała czarna noc, a może była to mgła albo w ogóle nic? Jedna długa noc, powiedzieli. Bardzo długa. Siedziała bez ruchu znosząc dotyk ciężkich szarych dłoni na włosach. Później dotykali jej dłoni, stóp i ramion, a raz dotknęli jej szyi: wówczas zacisnęła zęby i wstała. Gliniacy odstąpili.

— Nie zrobimy ci krzywdy, pani — powiedzieli. Potrząsnęła głową.

Kiedy dali jej znak, położyła się z powrotem w fotelu, a kiedy za oknem błysnęło złociste światło, zapłakałaby, gdyby nie to, że wcześniej zemdlała.

— Dobrze — powiedział Rocannon — że przynajmniej wiemy, kim ona jest.

— Dużo bym dał, żeby się dowiedzieć, kim ona jest naprawdę — mruknął kustosz. — Ona chce coś, co mamy w muzeum, jeżeli dobrze zrozumiałem tych troglodytów.

— Nie nazywaj ich troglodytami — powiedział Rocannon pedantycznie; jako etnograf kosmiczny miał obowiązek przeciwstawiać się podobnym określeniom. — Nie są piękni, ale to nasi sojusznicy klasy C… Ciekawe, czemu Komisja wytypowała do rozwoju właśnie ich? I to jeszcze przed nawiązaniem kontaktu ze wszystkimi istotami rozumnymi? Założę się, że Komisja była z Centaura; oni zawsze popierają istoty prowadzące nocny tryb życia i

jaskiniowców. Ja bym raczej postawił na gatunek II.

— Wygląda na to, że ci troglodyci są nią zachwyceni. — A ty nie?

Ketho rzucił spojrzenie na wysoką kobietę, zaczerwienił się i wybuchnął śmiechem.

— W pewien sposób, niewątpliwie. Przez te osiemnaście lat tutaj, na Nowej Południowej Georgii, nie widziałem tak pięknej rasy. Prawdę mówiąc nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej kobiety. Wygląda jak boginka.

Rumieniec doszedł do czubka jego łysej głowy, gdyż Ketho był nieśmiałym kustoszem i rzadko sięgał do hiperboli. Ale Rocannon skinął głową poważnie, wyrażając zgodę.

— Szkoda, że nie możemy z nią porozmawiać bez tych trog… Gdemiarów jako tłumaczy. Ale nic na to nie poradzimy. — Rocannon podszedł do gościa, a kiedy zwróciła ku niemu swoją wspaniałą twarz, skłonił się bardzo nisko przyklękając na jedno kolano z opuszczoną głową i przymkniętymi oczami. Nazywał to interkulturalnym dygiem na każdą okazję i wykonywał go nie bez pewnego wdzięku. Kiedy wstał, piękna kobieta uśmiechnęła się i przemówiła.

— Ona mówić powitanie, Władco Gwiazd — zadudnił jeden z jej przysadzistych przewodników w uproszczonym języku galaktycznym.

— Witaj, pani — odpowiedział Rocannon. — Co nasze muzeum może dla ciebie zrobić?

Jej głos wzniósł się ponad dudnienie troglodytów jak powiew srebrzystego wiatru.

— Ona mówić, bardzo prosić dać z powrotem naszyjnik, własność ojców, jej ojców, dawno — dawno.

— Który naszyjnik? — spytał Rocannon, a ona zrozumiała i wskazała eksponat w centrum gabloty, przed którą stali. Była to wspaniała sztuka, łańcuch z żółtego złota, masywny, ale bardzo misternej roboty, ozdobiony wielkim, pojedynczym, jaskrawobłękitnym szafirem. Rocannon uniósł brwi a Ketho za jego plecami szepnął:

— Ma dobry gust. To jest naszyjnik z Fomalhauta, słynne dzieło sztuki.

Semley uśmiechnęła się do dwóch ludzi i znów przemówiła do nich ponad głowami troglodytów.

— Ona mówić, o Władcy Gwiazd, starszy i młodszy opiekunowie Domu Skarbów, ten skarb jej własność. Długi — długi czas. Dziękuję.

— Jak ta rzecz do nas trafiła, Ketho?

— Poczekaj, sprawdzę w katalogu. Mam go tutaj. Dostaliśmy to od tych troglo… trollów czy jak im tam. Tu jest napisane, że mają obsesję handlową; musieliśmy pozwolić im „kupić” ten statek, AD-4, na którym przybyli. Klejnot był częścią zapłaty. To ich własna robota.

— Założę się, że nie potrafią już robić takich rzeczy, odkąd

skierowano ich na drogę przemysłową.

— Wygląda, że uważają tę rzecz za jej własność, a nie swoją lub naszą. To musi być ważne, skoro poświęcili tyle czasu, żeby zająć się jej sprawą. Przecież obiektywna różnica między nami a Fomalhautem musi być niemała!

— Niewątpliwie wynosi kilka lat — powiedział etnograf, któremu nieobce były poślizgi czasowe. — Nie tak wiele. Niestety, ani Podręcznik, ani Przewodnik nie podają cyfr pozwalających na dokładniejszą ocenę tej różnicy. Te gatunki ludzi nie były w ogóle porządnie zbadane. Może ci mali faceci wyświadczają jej zwykłą grzeczność, a może od tego cholernego klejnotu zależy wybuch wojny między gatunkami. Może spełniają jej zachcianki, bo uznają jej wyższość. Albo mimo pozorów ona jest ich więźniem i używają jej na wabia. Co my o nich wiemy?… Czy możesz oddać tę rzecz, Ketho?

— Tak. Wszystkie exotica są teoretycznie wypożyczone, gdyż czasem wypływają podobne roszczenia. Zwykle ustępujemy. Pokój ponad wszystko, dopóki nie wybuchnie wojna…

— Proponuję więc, żeby jej to oddać.

— Z przyjemnością — uśmiechnął się Ketho. Otworzywszy gablotę wyjął złoty łańcuch i w swojej nieśmiałości podał go Rocannonowi mówiąc:

— Ty jej to daj.

I w ten sposób błękitny klejnot znalazł się najpierw przez chwilę w dłoni Rocannona.

Nie myślał o nim; zwrócił się z dłonią pełną błękitnego ognia i złota wprost do pięknej, nieziemskiej kobiety. Semley nie wyciągnęła do niego rąk, tylko pochyliła głowę i Rocannon założył jej naszyjnik, który zabłysnął ogniem na jej złotobrązowej szyi. Posłała znad niego spojrzenie tak przepełnione dumą, radością i wdzięcznością, że Rocannon stał bez słowa, mały kustosz zaś szeptał pośpiesznie w swoim języku:

— Bardzo proszę, bardzo proszę.

Semley skłoniła złotą głowę przed nim i Rocannonem, potem odwróciła się, skinęła swoim przysadzistym przewodnikom — a może strażnikom? — i otuliwszy się znoszonym błękitnym płaszczem odeszła niknąc w perspektywie długiego korytarza. Ketho i Rocannon odprowadzali ją wzrokiem. — Mam uczucie… — zaczął Rocannon.

— Jakie? — spytał zdławionym głosem Ketho po dłuższej chwili.

— Mam czasami uczucie… wiesz, przy spotkaniach z mieszkańcami światów, o których wiemy tak niewiele… uczucie, że natknąłem się na strzęp legendy albo tragicznego mitu, których nie rozumiem…

— Tak — odezwał się kustosz odchrząknąwszy — ciekawe… ciekawe, jak ona ma na imię.

Piękna Semley, Semley złotowłosa, Semley z naszyjnikiem. Narzuciła swoją wolę Gliniakom a nawet Władcom Gwiazd w tym okropnym miejscu, do którego zabrali ją Gliniacy, w tym mieście na krańcu nocy. Nawet oni ustąpili i chętnie oddali ze swego skarbca jej klejnot rodzinny.

Ale wciąż jeszcze nie mogła się otrząsnąć z nastroju tych jaskiń, gdzie skały nawisały nad głową, gdzie nie wiedziało się, kto mówi, ani co się dzieje wokół, gdzie dudniły głosy i wyciągały się szare ręce… Dość tego. Zapłaciła za swój naszyjnik, bardzo dobrze. Teraz jest jej. Cena została zapłacona, co przeszło, minęło.

Jej wiatrogon wyczołgał się z jakiejś zagrody z mętnym okiem, z futrem pokrytym szronem i początkowo, kiedy już wyszli z gdemiarskich jaskiń, nie chciał wzlecieć. Teraz jakby doszedł do siebie i płynął przez jasne niebo na łagodnym południowym wietrze ku Hallan.

— Szybciej, szybciej — przynaglała go Semley zaczynając się śmiać w miarę jak wiatr oczyszczał jej umysł z ciemności. — Chcę jak najszybciej zobaczyć Durhala…

Lecieli szybko i przybyli do Hallan o zmierzchu drugiego dnia. Jaskinie Gliniaków wydawały jej się zeszłorocznym złym snem, kiedy jej wiatrogon pokonywał tysiąc stopni Hallanu i Most Nad Przepaścią, gdzie las zapadał się nagle na setki metrów. W złotym świetle wieczoru zsiadła ze swego wierzchowca na dziedzińcu i resztę schodów przeszła między sztywnymi, rzeźbionymi postaciami bohaterów i dwoma strażnikami, którzy skłonili się przed nią nie mogąc oderwać wzroku od pięknego ognistego przedmiotu na jej szyi.

W sieni zatrzymała przechodzącą dziewczynę, bardzo piękną dziewczynę, z wyglądu jedną z krewniaczek Durhala, chociaż Semley nie mogła sobie przypomnieć jej imienia.

— Czy znasz mnie, panienko? Jestem Semley, żona Durhala. Czy nie zechciałabyś pójść do pani Durossy i powiedzieć jej, że wróciłam?

Dziewczyna spojrzała na nią z dziwnym wyrazem twarzy, ale wyjąkała:

— Tak, pani — i pobiegła do wieży.

Semley stała czekając w pozłacanej zrujnowanej sali. Ani żywego ducha: czyżby wszyscy byli przy stole w Wielkiej Sali? Panowała niepokojąca cisza. Po chwili Semley ruszyła w kierunku Wieży. Naprzeciwko niej spieszyła po kamiennej posadzce stara zapłakana kobieta i wyciągając ramiona wołała:

— Semley, Semley!

Semley cofnęła się, gdyż nigdy nie widziała tej siwowłosej kobiety.

— Kim jesteś, pani? — Jestem Durossa.

Stała w milczeniu, bez ruchu, podczas gdy Durossa obejmowała ją

z płaczem i pytała, czy to prawda, że Gliniacy schwytali ją i trzymali przez tyle długich lat pod zaklęciem, czy też może były to sztuczki Fiia? Potem, odsunąwszy się na krok, Durossa przestała łkać.

— Jesteś nadal młoda, Semley. Jak w dniu, kiedy odjechałaś. I masz na szyi naszyjnik…

— Przywiozłam posag mojemu mężowi Durhalowi. Gdzie on jest?

— Durhal nie żyje. Semley znieruchomiała.

— Twój mąż a mój brat Durhal, pan na Hallan, zginął w bitwie siedem lat temu. Władcy Gwiazd nie przyjeżdżają już więcej. Wdaliśmy się w wojnę ze Wschodnimi Zamkami, z Angyarami z Log i Hul-Orren. Durhal zginął w walce przeszyty włócznią średniaka, gdyż miał marną zbroję dla ciała i żadnej dla ducha. Leży pochowany na polach koło orreńskich bagien.

Semley odwróciła się.

— Pójdę zatem do niego — powiedziała dotykając ręką łańcucha ciążącego jej na szyi. — Zaniosę mu mój dar.

— Zaczekaj, Semley! To córka Durhala, twoja córka, Piękna Haldre!

Była to dziewczyna, którą zatrzymała i posłała po Durossę, lat około dziewiętnastu, z oczami ciemnoniebieskimi, jak oczy Durhala. Stała obok Durossy wpatrując się tymi oczami w kobietę, która była jej matką i rówieśniczką. Były w tym samym wieku, miały takie same złote włosy i były równie piękne. Tylko Semley była nieco wyższa i miała błękitny klejnot na piersi.

— Weź to, weź to. Przywiozłam to z krańca długiej nocy dla Durhala i dla ciebie! — krzyknęła Semley schylając głowę, żeby zdjąć ciężki łańcuch i upuściła go na kamienie z zimnym, płynnym szczękiem. — Weź go, Haldre! krzyknęła jeszcze raz, a potem z głośnym płaczem odwróciła się i wybiegła z Hallan. Przebyła most, potem długie, szerokie schody i jak uciekające dzikie stworzenie rzuciła się ku lasom porastającym zbocza gór. I znikła.

Część pierwsza
WŁADCA GWIAZD

I

Tak kończy się pierwsza część legendy; wszystko to jest prawdą. A teraz kilka również prawdziwych faktów, zaczerpniętych z „Podręcznika Strefy Galaktycznej 8”:

Numer 62: Fomalhaut II.

Typ AE — formy życia oparte na węglu. Planeta z żelaznym jądrem średnica 6600 mil, atmosfera bogata w tlen. Czas obiegu: 800 ziemskich dni 8 godz. 11 min. 42 sek. Czas obrotu: 29 godz. 51 min. 02 sek. Średnia odległość od Słońca: 3,2 JA{JA — Jednostka Astronomiczna}, odchylenie orbity niewielkie. Nachylenie ekliptyki 27°20'20", powodujące wyraźnie zaznaczone pory roku. Grawitacja: 0,86 standardowej.

Cztery główne kontynenty: Północno-zachodni, Południowo-zachodni, Wschodni i Antarktyczny, zajmują 38% powierzchni planety. Cztery satelity (typy: Perner, Loklik, R-2 i Fobos). Gromada Fomalhaut widoczna jako superjasna gwiazda.

Najbliższa planeta Ligi: Nowa Południowa Georgia, stolica Kerguelen (7,88 lat świetln.).

Historia: Planeta odkryta przez Ekspedycję Ełiesona w 202, zbadana przez sondy bezzałogowe w 218.

Pierwsza Wyprawa Geograficzna: 235-6. Kierownik: J. Kiolaf. Główne kontynenty zostały zbadane z powietrza (patrz mapy 3114-a, b, c, 3115-a, b.). Lądowanie, badania geologiczne i biologiczne oraz kontakt z Inteligentnymi Gatunkami przeprowadzono jedynie na Wschodnim i Północno-zachodnim Kontynentach (patrz opis inteligentnych gatunków poniżej).

Misja Rozwoju Technologicznego dla Gatunku I-A 252-4. Kierownik: J. Kiolaf (tylko kontynent Północno-zachodni).

Misje Kontrolne i Podatkowe dla Gatunków I-A i II prowadzone pod auspicjami Fundacji Strefy Fomalhaut w Kerguelen, N.Pd. Georgia, w 254, 258, 262, 266, 270; w 275 planeta została obłożona interdyktem przez Wszechświatowy Zarząd d/s Inteligentnych Form Życia do czasu przeprowadzenia bardziej szczegółowych badań wszystkich inteligentnych gatunków.

Pierwsza Misja Etnograficzna: 321. Kierownik: G. Rocannon.

Wysoki słup oślepiającej bieli wystrzelił bezgłośnie w niebo spoza Południowej Grani. Strażnicy na wieżach zamku Hallan zakrzyknęli, uderzając brązem o brąz. Ich wątłe głosy i ostrzegawczy brzęk metalu pochłonął ogłuszający ryk, huraganowy podmuch wiatru, skrzypienie drzew w lesie.

Mogien z Hallan spotkał swego gościa, Władcę Gwiazd, gdy ten biegł do zamkowego lądowiska.

— Czy to twój statek był za Południową Granią, Władco Gwiazd?

Władca Gwiazd, choć bardzo blady, odpowiedział głosem spokojnym jak zawsze:

— Tak.

— Chodź ze mną.

Mogien posadził swego gościa na grzbiecie pocztowego wiatrogona, który już osiodłany czekał na lądowisku. Wiatrogon wzbił się w niebo i sfrunął ponad tysiącem stopni, ponad Mostem Otchłani, ponad zalesionymi wzgórzami Hallan niczym zielony liść unoszony wiatrem.

Kiedy przeleciał nad Południową Granią, jeźdźcy ujrzeli błękitny dym wzbijający się w górę w pierwszych, poziomych, złotych promieniach wstającego słońca. W lesie na zboczu góry ogień z sykiem przedzierał się przez wilgotne zarośla porastające łożysko strumienia.

W dole, na stoku zapadł się nagle grunt tworząc wielką, czarną jamę wypełnioną dymiącym czarnym pyłem. Krąg anihilacji otaczały powalone drzewa, spalone na węgiel, z wierzchołkami rozrzuconymi promieniście od centrum wybuchu.

Młody władca Hallan zatrzymał swojego szarego wiatrogona we wstępującym prądzie powietrza ponad zniszczoną doliną i w milczeniu spoglądał w dół. Dawne opowieści z czasów jego dziadka i pradziadka mówiły o pierwszym przybyciu Władców Gwiazd, o tym, jak płonęły wzgórza i gotowała się woda w morzu, kiedy użyli swej straszliwej broni, i jak pod groźbą owej broni zmusili panów z Angien do złożenia przysięgi na wierność i płacenia daniny. Dopiero teraz Mogien uwierzył w te opowieści. Przez chwilę nie mógł złapać tchu.

— Twój statek był…

— Statek był tutaj. Miałem się dzisiaj spotkać z innymi. Książę Mogienie, rozkaż swoim ludziom, żeby unikali tego miejsca. Przez jakiś czas. Do następnej zimnej pory, dopóki nie przejdą deszcze.

— Zaklęcie?

— Trucizna. Deszcze wypłuczą ją z ziemi.

Głos Władcy Gwiazd nadal był spokojny, ale jego oczy spoglądały w dół i nagle przemówił ponownie, zwracając się nie do Mogiena, lecz do tej czarnej jamy w ziemi, rozświetlonej teraz jasnymi promieniami słońca. Mogien nie zrozumiał ani słowa, ponieważ Władca Gwiazd

przemawiał w swoim własnym języku, języku Władców Gwiazd; a żaden człowiek w Angien ani na całym świecie nie znał tej mowy.

Młody Angya ściągnął wodze swego nerwowego wierzchowca. Za nim Władca Gwiazd odetchnął głęboko i odezwał się:

— Wracajmy do Hallan. Tu nic nie ma…

Wiatrogon zatoczył koło ponad dymiącymi wzgórzami. — Książę Rokananie, jeśli twoi ludzie walczą teraz wśród gwiazd, ślubuję wznieść miecze Hallan w twojej obronie!

— Dziękuję ci, książę Mogienie — odparł Władca Gwiazd, mocniej przytrzymując się siodła, podczas gdy pęd powietrza uderzał w jego pochyloną, siwiejącą głowę.

Długi dzień się skończył. Porywiste podmuchy nocnego wiatru wpadały przez okno pokoju Rocannona na wieży zamku Hallan, przygaszając ogień płonący w wielkim kominku. Zimna pora zbliżała się ku końcowi, wiatr niósł ze sobą niecierpliwą zapowiedź wiosny. Kiedy Rocannon podniósł głowę, czuł stęchły, słodki zapach butwiejących gobelinów z trawy, zawieszonych na ścianach, i świeży, słodki zapach nocnego lasu. Ponownie przemówił do nadajnika:

— Tu Rocannon. Mówi Rocannon. Czy mnie słyszycie? Przez długą chwilę słuchał ciszy płynącej z odbiornika, a potem spróbował jeszcze raz na częstotliwości statku:

— Tu Rocannon… — i spostrzegł się, że mówi bardzo cicho, niemal szeptem.

Wyłączył nadajnik. Nie żyli, wszyscy nie żyli, czternastu ludzi, jego towarzysze i przyjaciele. Wszyscy znajdowali się na pokładzie statku, ponieważ on ich tam wezwał. Przebywali na Fomalhaut II przez połowę długiego planetarnego roku i nadszedł już czas na wymianę poglądów oraz porównanie notatek. Więc Smate i jego załoga przylecieli ze Wschodniego Kontynentu, zabierając po drodze załogę z Antarktyki, i wylądowali tutaj, żeby się spotkać z Rocannonem, kierownikiem Pierwszej Misji Etnograficznej, człowiekiem, który ich tu sprowadził. A teraz wszyscy byli martwi.

I cała ich praca — wszystkie notatki, taśmy, zdjęcia, wszystko, co mogłoby usprawiedliwić ich śmierć — wszystko to również zostało zniszczone, zamienione w pył wraz z nimi, utracone bezpowrotnie wraz z nimi.

Rocannon jeszcze raz włączył radio nastawiając je na częstotliwość alarmową, ale nawet nie podniósł nadajnika. Wezwać pomocy znaczyło powiadomić wroga, że ktoś przeżył. Siedział bez ruchu. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, powiedział w dziwnym języku, którego od tej chwili będzie musiał używać:

— Proszę wejść!

Do komnaty wkroczył Mogien, młody władca Hallan, który dotąd był głównym informatorem Rocannona w sprawach kultury i

obyczajów Gatunku II i od którego obecnie zależał jego los. Mogien był bardzo wysoki, ciemnoskóry i jasnowłosy jak wszyscy Angyarowie. Na jego przystojnej twarzy malował się wystudiowany wyraz surowego spokoju, spod którego od czasu do czasu przebłyskiwały silne emocje: gniew, radość, ambicja. Za nim postępował Rano, służący; postawił na skrzyni żółtą flaszkę i dwa puchary, napełnił je i wycofał się za drzwi. Dziedzic Hallan przemówił:

— Wypijmy ze sobą, Władco Gwiazd.

— Niech będzie przyjaźń między naszymi rodami, a synowie nasi niech się staną braćmi — odparł etnograf, który mieszkając na dziewięciu rozmaitych planetach nauczył się doceniać wartość dobrych manier.

Obaj wznieśli drewniane, okute srebrem puchary i wypili. — Mówiąca skrzynka — powiedział Mogien, patrząc na radio — nie przemówi już nigdy.

— Nie przemówi głosami moich przyjaciół.

Ciemna jak orzech twarz Mogiena nie wyrażała żadnych uczuć, kiedy stwierdził:

— Książę Rokananie, ta broń, która ich zabiła, przechodzi ludzką wyobraźnię.

— Liga Wszystkich Światów zachowuje tę broń na Wojnę Która Nadejdzie. Nie używa jej przeciwko własnym światom.

— Więc wojna nadeszła?

— Nie sądzę. Yaddam, którego znałeś, był przez cały czas na statku; usłyszałby wiadomość przez przenośnik i natychmiast zawiadomiłby mnie przez radio. Na pewno zostalibyśmy ostrzeżeni. To musi być jakieś powstanie przeciwko Lidze. Kiedy opuszczałem Kerguelen, na świecie zwanym Faraday zanosiło się na wybuch powstania, a według czasu słonecznego było to dziewięć lat temu.

— Ta mała mówiąca skrzynka nie może przemówić do miasta Kerguelen?

— Nie. Nawet gdyby to było możliwe, słowa wędrowałyby tam przez osiem lat, a drugie osiem lat musiałbym czekać na odpowiedź. — Rocannon mówił swoim zwykłym, spokojnym, uprzejmym tonem, ale w jego głosie pobrzmiewały głuche nuty, kiedy wyjaśniał przyczyny swego wygnania. — Pamiętasz przesyłacz, tę wielką maszynę, którą ci pokazałem na statku, maszynę, która może rozmawiać z innymi światami natychmiast, nie tracąc czasu — przypuszczam, że o nią właśnie im chodziło. To zwykły pech, że wszyscy moi przyjaciele byli wtedy na pokładzie. Bez tej maszyny nic nie mogę zrobić.

— Ale jeśli twoi ludzie, twoi przyjaciele w mieście Kerguelen wezwą cię przez przesyłacz i nie otrzymają odpowiedzi, czy nie przylecą sprawdzić… — Mogien dostrzegł odpowiedź w tej samej

chwili, kiedy Rocannon odparł:

— Za osiem lat…

Kiedy w swoim czasie Rocannon oprowadzał Mogiena po statku Misji i pokazywał mu natychmiastowy nadajnik — przesyłacz — opowiedział mu również o statkach nowego typu, które przelatują od gwiazdy do gwiazdy w zerowym czasie.

— Czy statek, który zabił twoich przyjaciół, był statkiem nadświetlnym? — spytał teraz angyarski wojownik.

— Nie. To był statek załogowy. Tutaj, na tej planecie jest teraz wróg.

To się stało jasne dla Mogiena, kiedy przypomniał sobie, co mu powiedział Rocannon — że żywe istoty nie mogą podróżować na nadświetlnych statkach; statki te używane były jedynie jako automatyczna broń — bombowce, które w mgnieniu oka pojawiają się, zrzucają ładunek i znikają bez śladu. To było bardzo dziwne, ale Mogien znał jeszcze dziwniejszą, a mimo to prawdziwą historię: mówiono, że chociaż statek, na którym tu przyleciał Rocannon, potrzebował wielu lat, żeby przebyć noc pomiędzy gwiazdami, to dla ludzi na statku wszystkie te lata trwały zaledwie parę godzin. W mieście Kerguelen na gwieździe Forrosul ten człowiek, Rocannon, rozmawiał z Semley z Hallan i dał jej naszyjnik Oko Morza, prawie pół wieku temu. Semley, która w ciągu jednej nocy przeżyła szesnaście lat, nie żyła od dawna, jej córka Haldre była starą kobietą, jej wnuk Mogien — dorosłym mężczyzną; a jednak oto siedział tu Rocannon, który nie był stary. Dla niego te lata upłynęły na międzygwiezdnych podróżach. To było bardzo dziwne, ale istniały też inne, jeszcze dziwniejsze opowieści.

— Kiedy matka mojej matki, Semley, jechała przez noc… — zaczął Mogien i urwał.

— Nigdy na żadnym ze światów nie było tak pięknej istoty — stwierdził Władca Gwiazd. Na chwilę smutek pierzchnął z jego twarzy.

— Tego, kto okazał jej przyjaźń, z radością witamy wśród nas — oświadczył Mogien. — Ale chciałem zapytać cię, panie, jakim statkiem jechała. Czy ten statek został kiedykolwiek odebrany Gliniakom? Jeśli jest na nim przesyłacz, mógłbyś powiedzieć swoim rodakom o wrogu.

Przez chwilę Rocannon wyglądał jak ogłuszony, ale zaraz ochłonął. — Nie — odparł — to niemożliwe. Statek został podarowany Gliniakom siedemdziesiąt lat temu; wtedy nie było jeszcze natychmiastowych nadajników. I nie zainstalowano ich później, ponieważ ta planeta znajduje się pod interdyktem od czterdziestu pięciu lat. Dzięki mnie. Ponieważ ja w to wkroczyłem. Ponieważ kiedy ujrzałem panią Semley, poszedłem do moich ludzi i powiedziałem: *Co my robimy z tym światem, o którym nie wiemy nic? Dlaczego zabieramy im pieniądze i wtrącamy się w ich życie? Jakie mamy do tego prawo?* Ale

gdyby nie moja interwencja, przynajmniej ktoś by tu przyjeżdżał co parę lat i nie bylibyście całkowicie zdani na łaskę wroga.

— Czego oni od nas chcą? — zapytał Mogien, po prostu z ciekawości.

— Myślę, że chcą mieć waszą planetę. Wasz świat. Waszą ziemię. Może was samych jako niewolników. Nie wiem. — Jeśli Gliniaki nadal mają ten statek, Rokananie, i jeśli ten statek jedzie do miasta, możesz nim powrócić do swoich ludzi.

Władca Gwiazd patrzył na niego przez chwilę. — Chyba mógłbym — przyznał.

Jego głos ponownie przybrał głuche brzmienie. Na moment zaległo między nimi milczenie, a potem Rocannon oświadczył z pasją:

— Zostawiłem swoich ludzi bezbronnych. Sprowadziłem tu moich ludzi, a teraz wszyscy nie żyją. Nie będę uciekał osiem lat w przyszłość, żeby się potem dowiadywać, co się tu wydarzyło! Posłuchaj, Mogienie, jeśli pomożesz mi dotrzeć na południe do Gliniaków, mogę zabrać statek i używać go tutaj, na planecie, przeprowadzić zwiad. A jeśli nie będę umiał zmienić zaprogramowanej trasy lotu, mógłbym przynajmniej wysłać go do Kerguelen z wiadomością. Ale sam zostanę tutaj.

— Opowieść mówi, że Semley znalazła go w jaskiniach Gdemiarów nad morzem Kirien.

— Czy pożyczysz mi wiatrogona, panie?

— Ofiaruję ci go wraz ze swoim towarzystwem, jeśli je przyjmiesz.

— Z wdzięcznością!

— Gliniaki niezbyt uprzejmie traktują samotnych przybyszów — oznajmił Mogien.

Wydawał się zadowolony. Nawet wspomnienie tej okropnej czarnej jamy wypalonej w górskim zboczu nie mogło uśmierzyć jego chęci walki. Ręce go swędziały, żeby użyć dwóch wielkich mieczów wiszących mu u pasa. Dużo czasu już upłynęło od ostatniego najazdu.

— Oby nasi wrogowie zmarli nie spłodziwszy synów — uroczyście zaintonował Angya, ponownie wznosząc napełniony puchar.

Rocannon, którego przyjaciele zostali zabici bez ostrzeżenia, kiedy znajdowali się w nie uzbrojonym statku, nie zawahał się.

— Oby zmarli nie spłodziwszy synów — powtórzył i spełnił toast, tutaj, w żółtym świetle świec i podwójnego księżyca, na wysokiej wieży Hallan.

II

Wieczorem drugiego dnia Rocannon był cały zesztywniały i twarz go paliła od wiatru, ale nauczył się swobodnie siedzieć na wysokim siodle i dość zręcznie kierować wielką, skrzydlatą bestią ze stadniny Hallan. Teraz unosił się w różowych blaskach długiego, powolnego zachodu, omywany przez krystalicznie czyste powietrze. Wiatrogony wzlatywały wysoko, żeby jak najdłużej wygrzewać się w blasku słońca, ponieważ podobnie jak wielkie koty uwielbiały ciepło. Mogien na swoim czarnym rumaku — czy to jest ogier, zastanawiał się Rocannon, czy też kocur? — rozglądał się szukając miejsca na obozowisko, jako że wiatrogony nie latały po ciemku. Dwóch średnich ludzi leciało z tyłu na mniejszych, białych wierzchowcach, których skrzydła zabarwiły się różowością w ostatnich promieniach wielkiego słońca Fomalhaut.

— Spójrz tutaj, Władco Gwiazd!

Wiatrogon Rocannona wstrzymał lot i zawarczał dostrzegłszy to, co wskazywał Mogien: mały, czarny obiekt przelatujący nisko w dole przed nimi, za którym w wieczornej ciszy ciągnął się słaby terkoczący odgłos. Rocannon na migi pokazał, że mają lądować natychmiast. Na leśnej polanie, gdzie zsiedli na ziemię, Mogien zapytał:

— Czy to był taki statek jak twój, Władco Gwiazd?

— Nie. To był pojazd planetarny, helikopter. Mógł być tutaj przywieziony tylko na statku o wiele większym niż mój, na fregacie kosmicznej lub na transportowcu. Musieli zgromadzić tu wielkie siły. I musieli zacząć, zanim tu przybyłem. A swoją drogą chciałbym wiedzieć, co oni mają zamiar zrobić z tymi bombowcami i helikopterami?… Mogliby powystrzelać nas z powietrza. Będziemy musieli się ich wystrzegać, książę Mogienie.

— Ta rzecz przyleciała z terenów Gliniaków. Mam nadzieję, że nas nie uprzedzili.

Rocannon tylko kiwnął głową, przepełniony gniewem na widok tej czarnej plamy na jasnym niebie, tej skazy na pięknym krajobrazie. Kimkolwiek byli ci ludzie, którzy bez ostrzeżenia zbombardowali nie uzbrojony statek badawczy, najwyraźniej mieli zamiar podbić tę planetę i skolonizować ją lub wykorzystać do celów militarnych. Istoty rozumne, których na planecie żyły co najmniej trzy gatunki, wszystkie znajdujące się na niskim stopniu rozwoju technicznego, zostaną albo zignorowane, albo wytępione, albo zmienione w niewolników — zależnie od tego, która możliwość okaże się najdogodniejsza. Ponieważ dla najeźdźców liczyła się tylko technologia.

I może w tym właśnie, powiedział sobie Rocannon przyglądając się, jak średni ludzie zdejmują uprząż z wiatrogonów i wypuszczają je

na nocne polowanie, może w tym właśnie tkwiła słabość Ligi. Liczyła się tylko technologia. W minionym stuleciu dwie wyprawy rozpoczęły na tej planecie akcję kierowania jednego z gatunków na drogę rozwoju technologii przedatomowej, zanim jeszcze zbadały pozostałe kontynenty i zanim nawiązały kontakt z wszystkimi rasami obdarzonymi inteligencją. Rocannon zażądał, żeby z tym skończyli, i udało mu się nawet zorganizować Misję Etnograficzną, ale nie miał żadnych złudzeń co do jej rezultatów. Wiedział, że jego praca w ostatecznym rozrachunku posłuży najwyżej za materiał informacyjny ułatwiający wdrażanie postępu technicznego dla najbardziej odpowiedniego gatunku czy kultury. W taki sposób liga Wszystkich Światów przygotowywała się na spotkanie ze swym ostatecznym wrogiem. Setki światów zostały wyćwiczone i uzbrojone, tysiące innych uczono używać stali i metali, traktorów i reaktorów. Ale Rocannon, kosmiczny etnograf, którego zajęcie polegało na uczeniu się, a nie nauczaniu innych, Rocannon, który mieszkał na wielu zacofanych światach, powątpiewał w mądrość opartą na maszynach i broni. Albowiem Liga, zdominowana przez agresywne, wytwarzające narzędzia, humanoidalne rasy z Centaura, Ziemi i Ceti, lekceważyła rozliczne umiejętności, zdolności i możliwości rozwoju inteligentnego życia i oceniała je zbyt jednostronnie.

Ten świat, nie posiadający nawet innej nazwy poza Fomalhaut II, nigdy prawdopodobnie nie zwróci na siebie uwagi, ponieważ przed przybyciem Ligi żaden z zamieszkujących go gatunków nie znał innej technologii prócz narzędzi prostych. Inne rasy, na innych światach, można było szybciej skierować na drogę rozwoju, żeby uzyskać od nich pomoc, kiedy w końcu powróci pozagalaktyczny wróg. A to nastąpi z pewnością. Pomyślał o Mogienie, ofiarującym miecze Hallanu do; walki z flotą podświetlnych bombowców. Ale jeśli w porównaniu z bronią Nieprzyjaciela podświetlne czy nawet nadświetlne bombowce będą nie więcej warte niż miecze z brązu? Jeśli bronią Nieprzyjaciela była potęga umysłu? Czyż nie byłoby wskazane nauczyć się co nieco o rozmaitych właściwościach umysłu i siłach w nim zawartych? Polityka Ligi była zbyt krótkowzroczni, zbyt często prowadziła do marnotrawstwa, a teraz widocznie doprowadziła do wybuchu powstania. Jeśli burza zbierająca się na Faraday dziesięć lat temu w końcu wybuchła, znaczyło to, że nowy świat Ligi, dobrze uzbrojony i przygotowany do walki, próbował teraz wyrzeźbić sobie pośród gwiazd własne imperium.

Rocannon, Mogien i dwóch ciemnowłosych służących gryźli kromki twardego, smacznego chleba z kuchni Hallan, popijali żółtym vaskanem ze skórzanej flaszki i wcześnie położyli się spać. Wokół ich małego ogniska stały ciemne, wyniosłe drzewa o gałęziach uginających się od ciemnych, kanciastych, niedojrzałych szyszek. W

nocy chłodny, ożywczy deszcz szeptał wśród gałęzi. Rocannon naciągnął na głowę miękkie, lekkie jak puch futro herilora i zasnął słuchając szepczących kropel. Wiatrogony powróciły o świcie i przed wschodem słońca znowu wznieśli się w powietrze, mknąc na skrzydłach wiatru ku płaskim wybrzeżom zatoki, gdzie mieszkały Gliniaki.

Około południa wylądowali na spłachetku surowej gliny. Rocannon i dwóch służących, Raho i Yahan, rozglądali się bezmyślnie dookoła, nie dostrzegając żadnych śladów życia. Mogien, pokładający absolutną wiarę w wyższość swojej kasty, zapewnił ich:

— Przyjdą.

I przyszli, sześciu ludzi, niskie, niezgrabne hominidy, jakie Rocannon widział niegdyś w muzeum wiele lat temu, sięgające Rocannonowi do piersi, a Mogienowi zaledwie do pasa. Byli nadzy, o białoszarej skórze koloru gliny — dziwaczne podziemne stwory. Niesamowite było, kiedy przemówili, ponieważ nie wiadomo było, który z nich się odezwał; wydawało się, że mówią wszyscy jednocześnie, jednym zgrzytliwym głosem. Zjawisko kolonii telepatycznych — przypomniał sobie Rocannon słowa „Podręcznika" i z większym szacunkiem popatrzył na małych, brzydkich ludzików posiadających ów rzadki dar. Jego trzej wysocy towarzysze nie podzielali tych uczuć. Wyglądali ponuro.

— Czego szukają Angyarowie i słudzy Angyarów na ziemi Panów Nocy? — zapytał jeden z Gliniaków czy też zapytały Gliniaki we Wspólnej Mowie, dialekcie angyarskim używanym przez wszystkie gatunki.

— Jestem książę Hallan — odparł Mogien. Przy małych ludzikach wydawał się gigantem. — Obok mnie stoi Rokanan, władca gwiazd i dróg prowadzących przez noc, poddany Ligi Wszystkich Swiatów, gość i przyjaciel Rodu Hallan. Wielkim zaszczytam jest go gościć! Zaprowadźcie nas do tych, którzy są godni z nami rozmawiać. Są słowa, które wypowiedzieć trzeba, albowiem wkrótce śnieg zacznie padać w ciepłej porze, wiatry wiać będą do tyłu, a drzewa rosnąć będą korzeniami do góry!

Słuchanie angyarskiej przemowy było prawdziwą przyjemnością, pomyślał Rocannon, chociaż mówca nie odznaczał się szczególnym taktem.

Gliniaki stały przez chwilę w niepewnym milczeniu.

— Czy to prawda? — zapytał w końcu jeden z nich albo zapytali wszyscy.

— Tak, a morze zmieni się w piasek, a kamieniom wyrosną palce! Zaprowadźcie nas do waszych przywódców, którzy wiedzą, kim jest Władca Gwiazd, i nie marnujcie więcej czasu!

Znowu milczenie. Stojąc wśród niskich troglodytów Rocannon

miał niemiłe uczucie, że skrzydełka ćmy muskają mu uszy. Podejmowano decyzję.

— Chodźcie — powiedziały głośno Gliniaki i ruszyły przez grząskie pole.

Pospiesznie podeszły do jakiegoś miejsca, zatrzymały się, **a potem** odstąpiły na bok, odsłaniając dziurę w ziemi i wystającą z niej drabinę: wejście do Królestwa Nocy.

Podczas gdy średni ludzie czekali z wiatrogonami na powierzchni, Mogien i Rocannon zeszli po drabinie w podziemny świat krzyżujących się, rozgałęzionych tuneli wydrążonych w glinie, wyłożonych szorstkim cementem, oświetlonych elektrycznością, wypełnionych odorem potu i stęchłego pożywienia. Przewodnicy, drepcząc na przodzie na swoich płaskich, szarych stopach, zaprowadzili ich do okrągłej, słabo oświetlonej komnaty, przypominającej bąbel powietrza uwięziony w skale, i zostawili ich samych.

Czekali. Czekali długo.

Dlaczego, u diabła, pierwsze wyprawy wybrały właśnie tych ludzi na członków Ligi? Rocannon miał na to gotową odpowiedź: dwie pierwsze misje przyleciały z zimnego Centaura i odkrywcy z radością zagłębiali się w jaskinie Gliniaków uciekając przed żarem i potokami jaskrawego światła, buchającego z wielkiego Słońca typu A-3. Dla nich ten świat nie nadawał się do zamieszkania; rozsądni ludzie żyli tu pod ziemią. Dla Rocannona natomiast to wszystko — gorące, białe słońce, jasne noce rozświetlone blaskiem czterech księżyców, gwałtowne zmiany pogody i nieustanny wiatr, gęsta atmosfera i słaba grawitacja umożliwiająca powstanie tych latających gatunków — były nie tylko znośne, ale wręcz rozkoszne. A jednak, napomniał się w myśli, właśnie z tego powodu Centauryjczycy lepiej od niego potrafili ocenić ten podziemny naród. Ci troglodyci niewątpliwie byli utalentowani. Posiadali również zdolności telepatyczne — zjawisko o wiele rzadsze i o wiele bardziej niezrozumiałe niż elektryczność — ale pierwsi odkrywcy niczego specjalnego się w tym nie dopatrzyli. Podarowali Gliniakom generator i zautomatyzowany statek, nauczyli ich podstaw matematyki, poklepali po ramieniu i pozostawili samym sobie. Co robiły od tego czasu małe ludziki? Zapytał o to Mogiena.

Młody książę, który nigdy w życiu nie widział żadnych urządzeń do oświetlania prócz świec i żywicznych pochodni, bez odrobiny zainteresowania patrzył na elektryczną żarówkę wiszącą mu nad głową.

— Gliniaki zawsze umiały robić różne rzeczy — powiedział swoim zwykłym, królewsko wyniosłym tonem.

— Czy ostatnio robiły jakieś nowe rzeczy?

— Kupujemy od nich nasze stalowe miecze; za czasów mojego

dziadka mieli kowali, którzy potrafili obrabiać stal; ale co było przedtem — nie wiem. Moi ludzie przez długi czas żyli obok Gliniaków, pozwalali im drążyć tunele w granicach swoich posiadłości, płacili im srebrem za stalowe miecze. Podobno Gliniaki mają wielkie bogactwo, ale dla nas stanowią tabu. Wojny plemion to złe sprawy. Nawet kiedy mój dziad Durhal szukał u nich swojej żony, podejrzewając, że ją porwali, nie odważył się złamać tabu i zmusić ich do mówienia. Gliniaki nie powiedzą ci ani prawdy, ani kłamstwa, jeśli mogą tego uniknąć. Nie lubimy ich, a one nie lubią nas; myślę, że wciąż pamiętają dawne czasy, zanim wprowadzono tabu. Nie są dzielni.

Donośny głos zahuczał za ich plecami:

— Pochylcie głowy w obecności Panów Nocy! Odwracając się Rocannon ściskał swój laserowy pistolet, a Mogien chwycił rękojeści mieczów; ale Rocannon od razu zauważył głośnik umieszczony na wklęsłej ścianie i mruknął do Mogiena:

— Nie odpowiadaj.

— Mówcie, o przybysze w Jaskiniach Nocy! — Potężny ryk brzmiał zastraszająco, ale Mogien stał niewzruszony, z lekka unosząc wysokie łuki brwi. Na koniec odezwał się:

— Teraz, kiedy przez trzy dni ujeżdżałeś wiatrogony, powiedz, panie, czy zaczynasz odnajdywać w tym przyjemność?

— Mówcie, a będziecie wysłuchani!

— O tak. Mój pasiasty wierzchowiec frunie lekko jak zachodni wiatr w ciepłej porze — odparł Rocannon, cytując komplement podsłuchany przy stole w sali biesiadnej.

— Pochodzi z bardzo dobrej rasy. — Mówcie! Słuchamy was!

Rozpoczęli dyskusję o hodowli wiatrogonów, podczas gdy ściana dalej wrzeszczała i nalegała. Wreszcie w tunelu pojawiło się dwóch Gliniaków.

— Chodźcie — powiedzieli bez entuzjazmu. Zaprowadzili gości przez skomplikowany labirynt korytarzy do małej, czyściutkiej elektrycznej kolejki, przypominającej zabawkę, ale zabawkę doskonale funkcjonującą. Przejechali nią kilka mil z zawrotną szybkością; po jakimś czasie pozostawili za sobą wyżłobione w glinie tunele i wyglądało na to, że wjechali do wapiennych jaskiń. Końcowy przystanek znajdował się u wejścia do rzęsiście oświetlonej sali; na jej odległym krańcu czekali trzej troglodyci, stojący na niewielkim podium. W pierwszej chwili, ku zawstydzeniu Rocannona jako etnografa, wszyscy trzej wyglądali dla niego jednakowo. Jak Chińczycy dla białego człowieka, jak Rosjanie dla Centauryjczyka… Potem dostrzegł wyróżniającą się indywidualność środkowego Gliniaka, którego biała, pobrużdżona twarz pod żelazną koroną tchnęła poczuciem siły.

— Czego szuka Władca Gwiazd w Jaskiniach Nocy? Sztywne formułki Wspólnej Mowy znakomicie pasowały do tego, co chciał wyrazić Rocannon, kiedy odpowiadał:

— Pragnąłbym przyjść do tych jaskiń jako gość, poznać drogi, którymi chadzają Panowie Nocy, i ujrzeć cuda przez nich stworzone. Nadal tego pragnę. Ale zło czai się o krok i dlatego przybywam w pośpiechu i potrzebie. Jestem oficerem Ligi Wszystkich Światów. Proszę was, byście zaprowadzili mnie do statku, który otrzymaliście od Ligi jako rękojmię wzajemnego zaufania.

Trzej troglodyci spoglądali na niego beznamiętnie. Dzięki podium ich twarze znajdowały się w jednym poziomie z twarzą Rocannona. Oglądane z tej pozycji owe płaskie, pozbawione wyrazu twarze i twarde, kamienne spojrzenia wywierały głębokie wrażenie. Potem ten, który stał po lewej, odezwał się w łamanym języku galaktycznym:

— Nie mieć statek. — Macie statek.

Po chwili Gliniak powtórzył niejasno: — Nie mieć statek.

— Mówcie we Wspólnej Mowie. Potrzebuję waszej pomocy. Na tej planecie przebywają wrogowie Ligi. Jeśli pozwolicie im tu pozostać, ten świat przestanie do was należeć.

— Nie mieć statek — powtórzył Gliniak stojący po lewej. Pozostali dwaj stali nieruchomo jak stalagmity.

— A więc mam powiedzieć innym książętom Ligi, że Gliniaki zawiodły ich zaufanie i nie warto o nie walczyć w Wojnie Która Nadejdzie?

Milczenie. — Zaufanie może być tylko obustronne — powiedział we Wspólnej Mowie środkowy Gliniak w żelaznej koronie.

— Czyż prosiłbym was o pomoc, gdybym wam nie ufał? Zróbcie przynajmniej jedno: wyślijcie statek z wiadomością do Kerguelen. Nikt nie musi nim lecieć i tracić lat; statek poleci sam.

Znowu milczenie.

— Nie mieć statek — powtórzył zgrzytliwym głosem ten, który stał z lewej strony.

— Chodźmy, książę — mruknął Rocannon do Mogiena, odwracając się do nich plecami.

— Ci, którzy zdradzają Władców Gwiazd — oznajmił Mogien swoim czystym, aroganckim głosem — łamią stare przysięgi. Dawno temu zrobiłyście dla nas miecze, Gliniaki. Te miecze jeszcze nie zardzewiały. — I dumnie krocząc obok Rocannona wyszedł wraz z nim za niskimi przewodnikami, którzy w milczeniu poprowadzili ich z powrotem do kolejki, a potem przez labirynt jaskrawo oświetlonych, ociekających wilgocią korytarzy, i wreszcie w górę, w światło dnia.

Dosiadłszy wiatrogonów przelecieli kilka mil na zachód, żeby wydostać się z terytorium Gliniaków. Wylądowali w lesie nad brzegiem rzeki i odbyli naradę.

Mogien czuł, że zawiódł swego gościa; nie przywykł do tego, żeby coś stawało na drodze jego wielkoduszności, i stracił nieco ze swego opanowania.

— Nędzne kreatury! — oświadczył. — Tchórzliwe robaki! Nigdy nie powiedzą wprost, o co im chodzi. Wszyscy Mali Ludzie są tacy, nawet Fiia. Ale Fiia można wierzyć. Myślisz, że Gliniaki oddały statek wrogom?

— Skąd mamy to wiedzieć?

— Wiem jedno: nie oddaliby go nikomu, dopóki nie otrzymaliby za niego podwójnej ceny. Rzeczy, rzeczy — nie myślą o niczym innym, tylko o gromadzeniu rzeczy. Co miał na myśli ten stary mówiąc, że zaufanie musi być obustronne?

— Chyba chciał nam dać do zrozumienia, że jego ludzie uważają, iż my — Liga-zawiedliśmy ich. Najpierw udzielamy im poparcia, a potem nagle porzucamy ich na czterdzieści pięć lat, nie kontaktujemy się z nimi, zniechęcamy ich do składania wizyt, każemy im samym się o siebie troszczyć. A to wszystko stało się przeze mnie, chociaż oni o tym nie wiedzą. I właściwie dlaczego mieliby robić mi przysługi? Wątpię, czy zdążyli się już porozumieć z wrogiem — ale nawet gdyby przehandlowali swój statek, to nie miałoby żadnego znaczenia. Wróg miałby z niego jeszcze mniej pożytku niż ja. — Rocannon stał na brzegu, zgarbiony, i wpatrywał się w przejrzystą wodę.

— Rokananie — odezwał się Mogien, po raz pierwszy zwracając się do niego jak do przyjaciela — za tym lasem, w twierdzy Kyodor mieszka mój kuzyn. To silna twierdza, trzydziestu angyarskich wojowników i trzy wioski średnich ludzi. Pomogą nam ukarać Gliniaków za ich zuchwałość…

— Nie — sprzeciwił się ostro Rocannon. — Powiedz swoim ludziom, żeby mieli oko na Gliniaków; wróg może próbować ich przekupić. Ale nie będzie żadnego łamania tabu ani prowadzenia wojen z mojego powodu. Nie ma takiej potrzeby. W tych czasach, Mogienie, los jednego człowieka się nie liczy.

— Cóż w takim razie się liczy?-zapytał Mogien unosząc swoją ciemną twarz.

— Panie — odezwał się szczupły, młody średni człowiek imieniem Yahan — ktoś tam jest w krzakach. — Pokazał im kolorowy błysk wśród ciemnych, iglastych zarośli na drugim brzegu.

— Fiia! — zawołał Mogien. — Spójrzcie na wiatrogony! — Wszystkie cztery zwierzęta wpatrywały się w drugi brzeg z postawionymi uszami.

— Mogien, książę Hallan, wkracza na drogi Fiia jako przyjaciel! — Głos Mogiena zadźwięczał donośnie ponad płytką, szeroko rozlaną, szemrzącą wodą i natychmiast na drugim brzegu, w plątaninie blasków i cieni zalegającej pod drzewami, pojawiła się mała

figurka.

Drżące, migotliwe światło sprawiało, że figurka wydawała się tańczyć, aż trudno było na nią patrzeć. Kiedy zaczęła się zbliżać, Rocannon miał wrażenie, że jej stopy zaledwie muskają powierzchnię wody, tak lekko biegła, nie mącąc rozsłonecznionych płycin. Pasiasty wiatrogon podniósł się i bezszelestnie podkradł na sam brzeg na swoich grubych, lekkich łapach. Kiedy Fian wyszedł z wody, wielka bestia pochyliła łeb, a człowiek wyciągnął rękę i podrapał ją za uszami porośniętymi pasiastym futrem. Potem podszedł do nich.

— Witaj, Mogienie, słonecznowłosy dziedzicu Hallan, noszący miecz! — Głos był wysoki i słodki jak głos dziecka, ciało drobne i lekkie jak ciało dziecka; ale twarz nie była dziecięcą twarzą. — Witaj, gościu Halla, Władco Gwiazd, Wędrowcze! — Duże, jasne oczy o dziwnym spojrzeniu przez chwilę spoczęły na twarzy Rocannona.

— Fiia znają wszystkie wieści i imiona — uśmiechnął się Mogien, ale mały Fian nie odpowiedział mu uśmiechem. Nawet Rocannon, który wcześniej zdążył zaledwie złożyć krótką wizytę w wiosce Fiia wraz ze swym zespołem, był tym zaskoczony.

— O Władco Gwiazd-powiedział słodki, drżący głos — kto prowadzi powietrzne statki, które niosą śmierć?

— Niosą śmierć… twoim ludziom?

— Całej wiosce — odparł mały człowiek. — Byłem ze stadem na wzgórzach. Usłyszałem w myślach krzyk moich ludzi i wróciłem, i widziałem, jak płonęli w ogniu. Były tam dwa statki z wirującymi skrzydłami. Wypluwały z siebie ogień. Teraz jestem sam i muszę mówić słowami. Tam gdzie w moich myślach byli moi ludzie, teraz jest tylko ogień i milczenie. Dlaczego tak się stało, o panie?

Przeniósł spojrzenie z Rocannona na Mogiena. Obaj milczeli. Fian zgiął się wpół jak śmiertelnie ranny człowiek, przypadł do ziemi i ukrył twarz w dłoniach.

Mogien stanął nad nim oparłszy ręce na rękojeściach mieczy, trzęsąc się z gniewu.

— Przysięgam zemstę tym, którzy skrzywdzili Fiia! Rokananie, jak to możliwe? Fiia nie noszą mieczy, nie gromadzą bogactw, nie mają wrogów! Popatrz, jego ludzie nie żyją, wszyscy ci, z którymi rozmawiał bez słów, jego współplemieńcy. Żaden Fian nie może żyć samotnie. On umrze. Dlaczego pozabijali jego ludzi?

— Żeby pokazać swoją siłę — odpowiedział szorstko Rocannon. — Zabierzmy go ze sobą do Hallan.

Wysoki książę ukląkł obok małej, skulonej postaci.

— Fian, przyjacielu ludzi, jedź ze mną. Nie potrafię rozmawiać z tobą w myślach jak twoi krewniacy, ale słowa dźwięczące w powietrzu również mogą coś znaczyć.

W milczeniu dosiedli wiatrogonów. Fian usiadł na wysokim siodle

przed Mogienem jak dziecko. Cztery wiatrogony wzbiły się w powietrze. Wiatr z południa, niosący deszcze, popychał ich od tyłu; o schyłku drugiego dnia Rocannon ujrzał marmurowe schody wyłaniające się spośród drzew, Most Otchłani przerzucony nad zieloną przepaścią i wieże Hallan oświetlone długimi promieniami zachodzącego słońca.

Mieszkańcy zamku, jasnowłosi panowie i ciemnowłosi słudzy, zgromadzili się wokół nich na lądowisku, pragnąc jak najszybciej podzielić się wieścią o spaleniu zamku Reohan położonego najbliżej na wschód i wymordowaniu wszystkich ludzi. Znowu dokonały tego dwa helikoptery i kilku mężczyzn uzbrojonych w laserową broń; wojownicy i wieśniacy z Reohan zostali zaszlachtowani bez żadnej możliwości obrony. Ludzie z Hallan znajdowali się na granicy szaleństwa wywołanego bólem i wściekłością, do których przyłączyło się uczucie zgrozy, kiedy zobaczyli Fiana siedzącego przed ich młodym księciem i usłyszeli jego opowieść. Wielu spośród nich, mieszkając w tej najdalej na północ wysuniętej fortecy Angien, nigdy przedtem nie widziało żadnego z Fiia, ale wszyscy słyszeli o nich jako o legendarnych istotach, chronionych potężnym tabu. Zaatakowanie jednego z ich zamków, choć zakończyło się krwawo, pasowało do ich wyobrażeń o wojnie; ale zaatakowanie Fiia było świętokradztwem. Owładnęła nimi groza pomieszana z wściekłością. Tego wieczoru Rocannon siedząc w swoim pokoju na wieży słyszał tumult dochodzący z dołu, z sali biesiadnej, gdzie zebrali się wszyscy Angyarowie z Hallan, ślubując wrogom śmierć i zniszczenie w przemowach pełnych potoczystych metafor i grzmiących hiperboli. Dumną rasą byli ci Angyarowie: mściwi, aroganccy, nieprzejednani, nie znający pisma i nie posiadający w swoim języku formy czasownika „nie móc” w pierwszej osobie. W ich legendach nie było bogów, tylko bohaterzy.

W odległy gwar wmieszał się nagle jakiś zaskakująco bliski głos. Ręka Rocannona sama skoczyła do odbiornika. Nareszcie trafił na częstotliwość wroga. Trzeszczący głos mówił w języku, którego Rocannon nie znał. Byłoby to nazbyt szczęśliwym zbiegiem okoliczności, gdyby wróg używał języka galaktycznego; wśród planet Ligi istniały setki tysięcy narzeczy, nie licząc tych światów, które dotąd nie zostały odkryte. Głos zaczął czytać listę numerów, którą Rocannon zrozumiał, ponieważ były wymienione po cetiańsku — w języku rasy, której matematyczne osiągnięcia sprawiły, że w całej Lidze zaczęto stosować cetiańską matematykę, a co za tym idzie, cetiańskie liczby. Słuchał z napiętą uwagą, ale to nic nie znaczyło — zwykła seria liczb.

Głos zamilkł nagle i słychać było tylko szum zakłóceń. Rocannon popatrzył na małego Fiana, który prosił, żeby mu pozwolono z nim

zostać, a teraz siedział bez ruchu, ze skrzyżowanymi nogami, na podłodze przy oknie.

— To był wróg, Kyo.

Twarz Fiana była bardzo spokojna.

— Kyo — zaczął Rocannon (zwracając się do Fiana używano zazwyczaj angyarskiej nazwy jego wioski, ponieważ nikt nie wiedział, czy poszczególni Fiia mają własne imiona) — Kyo, czy mógłbyś usłyszeć w myślach naszych wrogów, gdybyś spróbował?

W swoich notatkach, sporządzonych podczas krótkiego pobytu w wiosce Fiia, Rocannon zaznaczył, że przedstawiciele gatunku I-B rzadko odpowiadają wprost na zadane pytanie; dobrze zapamiętał ich uśmiechnięte wykręty. Ale Kyo, osamotniony w obcym świecie słów, posłusznie odpowiedział:

— Nie, panie.

— A czy potrafiłbyś rozmawiać w myślach z innymi ludźmi twojego gatunku, w innych wioskach?

— Trochę. Gdybym żył pomiędzy nimi, być może… Fiia czasami odchodzą, żeby zamieszkać w innych wioskach. Powiedziane jest nawet, że niegdyś Fiia i Gdemiarowie rozmawiali ze sobą w myślach jak jeden lud, ale to było bardzo dawno temu. Powiedziane jest… — urwał.

— Twoi ludzie i Gliniaki rzeczywiście stanowią jedną rasę, chociaż teraz wasze drogi się rozeszły. Co jeszcze, Kyo? — Powiedziane jest, że bardzo dawno temu na południu, w wysokich miejscach, wśród skał, żyli ci, którzy rozmawiali w myślach z każdą istotą. Słyszeli wszystkie myśli, ci Najstarsi, Najdawniejsi… Ale potem zeszliśmy z gór, zamieszkaliśmy w dolinach i w jaskiniach, i droga została zapomniana.

Rocannon zamyślił się na chwilę. Na południe od Hallan nie było żadnych gór na tym kontynencie. Wstał i sięgnął po swój „Podręcznik Strefy Galaktycznej 8", zawierający mapy, kiedy z radia, szumiącego wciąż na tej samej częstotliwości, dobiegł dźwięk, który go powstrzymał. Przez zakłócenia przebijał się jakiś głos, słaby, odległy, nasilający się i zanikający na przemian, ale przemawiający w języku galaktycznym: — *Numer Sześć, zgłoś się. Numer Sześć, zgłoś się. Tu Foyer. Zgłoś się, Numer Sześć.* — Wezwanie powtarzało się bez końca. Po przerwie głos kontynuował: — *Tu Piątek. Nie, tu Piątek… Tu Foyer; czy mnie słyszysz, Numer Sześć? Nadświetlne przylatują jutro i chcą mieć pełny raport o rozlokowaniu Siedem Sześć i o łączności. Zostawcie plan uderzenia dla Oddziału Wschodniego. Słyszysz mnie, Numer Sześć? Jutro będziemy mieli połączenie z Bazą przez przesyłacz. Natychmiast przekaż mi informacje o rozlokowaniu. Rozlokowanie Siedem Sześć. Nie trzeba…* — Nagły wybuch gwiezdnych wyładowań zagłuszył resztę zdania, a kiedy głos powrócił, można było wyłowić jedynie strzępki

słów. Przez dziesięć długich minut słychać było tylko ciszę, szum i urywki zdań, a potem włączył się bliższy głos i zaczął coś szybko mówić w tym samym co poprzednio obcym języku. Mówił i mówił; minuty mijały, a Rocannon słuchał, zastygły w bezruchu, z dłonią na okładce „Podręcznika". Równie nieruchomo Fian siedział w półmroku na drugim końcu pokoju. Głos wymienił i powtórzył dwie pary liczb; za drugim razem Rocannon pochwycił cetiańskie słowo oznaczające „stopnie". Szybko otworzył notes i zapisał podane cyfry; potem, nie przerywając nadsłuchiwania, otworzył „Podręcznik" na mapach Fomalhaut II.

Liczby, które zanotował, brzmiały: 28˚28 i 121˚40. Jeśli to oznaczało współrzędne szerokości i długości geograficznej… Przez chwilę pochylał się nad mapą, szukając ołówkiem właściwego punktu i trafiając za każdym razem na puste morze. Wreszcie, kiedy spróbował 28˚ szerokości północnej i 121 ˚ długości zachodniej, ołówek sunący na południe zatrzymał się tuż za pasmem górskim, pośrodku Kontynentu Południowo-Zachodniego. Rocannon usiadł wpatrując się w mapę. Głos w radiu zamilkł.

— Władco Gwiazd?

— Chyba powiedzieli mi, gdzie się ukrywają. Nie jestem pewien. I mają tam przesyłacz. — Popatrzył na Kyo niewidzącym wzrokiem, potem znów pochylił się nad mapą. — Gdyby tam byli…, gdybym mógł się tam dostać i pokrzyżować im plany, gdybym mógł wysłać z ich przesyłacza chociaż jedną wiadomość do Ligi, gdybym mógł…

Kontynent Południowo-Zachodni został zbadany tylko z powietrza, dlatego na mapie zaznaczono jedynie linię brzegową, góry i główne rzeki; pozostawały setki kilometrów niezbędnej pustki — i nieznany cel.

— Ale przecież nie mogę tu siedzieć z założonymi rękami — mruknął Rocannon. Podniósł wzrok i napotkał czyste, nieodgadnione spojrzenie Kyo.

Przespacerował się po kamiennej podłodze tam i z powrotem. Radio szumiało i trzeszczało.

Jedna rzecz przemawiała na jego korzyść: wróg nie będzie się go spodziewał. Wróg był przekonany, że ma całą planetę dla siebie. Ale była to jedyna przewaga Rocannona.

— Chciałbym użyć przeciwko nim ich własnej broni wyznał. — Myślę, że spróbuję ich odnaleźć. Na południu… Posłuchaj, Kyo, obcy zabili moich ludzi, podobnie jak twoich. Obaj — ty i ja — jesteśmy tu samotni, i obaj musimy mówić obcym językiem. Chciałbym, żebyś mi towarzyszył.

Sam nie bardzo wiedział, co popchnęło go do złożenia tej propozycji.

Przez twarz Fiana przemknął cień uśmiechu. Mały człowiek

wyciągnął ręce przed siebie, rozkładając dłonie. Płomyki świec tkwiących w ściennych lichtarzach drgnęły, pochyliły się i zamigotały.

— Przepowiedziane było, że Wędrowiec będzie sobie wybierał towarzyszy — powiedział Kyo. — Na jakiś czas. — Wędrowiec? — powtórzył Rocannon, lecz tym razem Fian nie odpowiedział na jego pytanie.

III

Pani zamku powoli przeszła przez wysoko sklepioną komnatę, szeleszcząc spódnicami po kamiennej podłodze. Jej ciemna twarz z wiekiem pociemniała jeszcze bardziej, jak na starych ikonach, jasne włosy stały się białe; ale jej rysy zachowały piękno świadczące o pochodzeniu ze starego rodu. Rocannon skłonił się i pozdrowił ją na sposób jej ludzi:

— Witaj, pani na Hallan, córko Durhala, Piękna Haldre! — Witaj, Rokananie, mój gościu — odpowiedziała, spoglądając na niego z góry spokojnym wzrokiem. Podobnie jak większość angyarskich kobiet i wszyscy mężczyźni, była od niego znacznie wyższa. — Powiedz mi, dlaczego wyruszasz na południe.

Powoli szła przed siebie, a Roccanon szedł obok niej. Otaczał ich półmrok i kamień, na wyniosłych ścianach wisiały ciemne gobeliny; zimne światło poranka, wpadające przez rząd okiem w głównej nawie, załamywało się pośród czarnych krokwi nad głowami.

— Jadę, żeby odnaleźć swych wrogów, pani. — A kiedy już ich znajdziesz?

— Mam nadzieję, że zdołam wejść do ich… ich zamku i skorzystać z ich… urządzenia do wysyłania wiadomości, żeby zawiadomić Ligę, że są tu, na tym świecie. Ukrywają się tutaj i mała jest szansa, że ktoś ich odnajdzie: światów jest tyle, ile ziarenek piasku na morskim brzegu. A jednak trzeba, żeby ich odnaleziono. Wyrządzili wam krzywdę i będą robić jeszcze gorsze rzeczy na innych światach. Haldre skinęła głową.

— Czy naprawdę chcesz jechać tylko z kilkoma ludźmi? — Tak, pani. To długa droga. Musimy przepłynąć morze. A wobec ich przewagi jedyną moją szansą jest chytrość, nie siła.

— Będziesz potrzebował nie tylko chytrości, Władco Gwiazd — powiedziała stara kobieta. — Zatem dam ci czterech lojalnych średnich ludzi, jeśli to ci wystarczy, dwa juczne wiatrogony i sześć pod siodło, jeden czy dwa kawałki srebra na wypadek, gdyby jacyś barbarzyńcy w obcych krajach żądali od was zapłaty za nocleg… a także mojego syna, Mogiena.

— Mogien pojedzie ze mną? Obdarowałaś mnie hojnie, pani, ale to jest największy dar!

Przez chwilę patrzyła na niego jasnym, posępnym, nieugiętym wzrokiem.

— Cieszę się, że jesteś zadowolony, Władco Gwiazd.

Podjęła na nowo przerwaną przechadzkę z Rocannonem u boku. — Mogien pragnie tej wyprawy z miłości do ciebie i powodowany żądzą przygód; a ty, wielki książę, podejmujący

ryzykowną misję, pragniesz jego towarzystwa. Sądzę zatem, że jego droga jest twoją drogą. Ale chcę, żebyś zapamiętał, co ci teraz powiem, i nie obawiał się mego gniewu, jeśli powrócisz: nie przypuszczam, aby Mogien powrócił wraz z tobą.

— Ależ, pani, on jest dziedzicem Hallan.

Haldre szła przez jakiś czas w milczeniu. Przy końcu komnaty, pod pociemniałym ze starości gobelinem przedstawiającym walkę uskrzydlonych gigantów z jasnowłosymi ludźmi, zawróciła i dopiero wtedy odezwała się ponownie:

— Hallan znajdzie innych dziedziców. — Jej głos był spokojny, zimny i pełen goryczy. — Wy, Władcy Gwiazd, znowu pojawiliście się wśród nas, przynosząc nowe drogi i nowe wojny. Reohan zmienił się w proch; jak długo będzie stał Hallan? Nasz świat jest zaledwie ziarnkiem piasku na brzegach nocy. Wszystko się teraz zmienia. Ale jednego jestem pewna: nad naszym rodem zawisła ciemność. Moja matka, którą znałeś, w swym szaleństwie zabłądziła w lesie; mój ojciec został zabity w bitwie, mój mąż — zdradą: a kiedy urodziłam syna, moja dusza rozpaczała wśród radości przeczuwając, że jego życie będzie krótkie. Nie rozpaczam dlatego, że musi umrzeć: on jest Angya, nosi podwójne miecze. Ale moim ciemnym przeznaczeniem jest rządzić samotnie tym upadającym królestwem, żyć i żyć, i przeżyć was wszystkich…

Ponownie zamilkła na chwilę.

— Będziesz potrzebował większego skarbu, niż mogę ci dać, żeby okupić swoje życie lub swoją drogę. Weź to. Daję to tobie, Rokanonie, nie Mogienowi. Ciemność, która nad tym ciąży, nie jest związana z tobą. Czyż nie należał niegdyś do ciebie w mieście na krańcu nocy? Dla nas był tylko ciężarem i cieniem. Zabierz to z powrotem, Władco Gwiazd, i użyj jako okup lub podarek.

Zdjęła z szyi złoty łańcuch z wielkim, błękitnym kamieniem — naszyjnik, który kosztował życie jej matki — i podała go Rocannonowi w wyciągniętej dłoni. Wziął go, niemal ze zgrozą rejestrując cichy, zimny brzęk złotych ogniw, i podniósł oczy na Haldre. Stała naprzeciw niego, bardzo wysoka; jej błękitne oczy wydawały się ciemne w ciemnościach zalegających komnatę.

— Teraz zabierz ze sobą mojego syna, Władco Gwiazd, i idź swoją drogą. Oby twoi wrogowie zmarli nie spłodziwszy synów.

Światło pochodni, dym i pośpieszna krzątanina cieni na zamkowym lądowisku, głosy zwierząt i ludzi, gwar i zamieszanie — wszystko to pasiasty wiatrogon Rocannona pozostawił za sobą jednym uderzeniem skrzydeł. Hallan leżał teraz w dole, pod nimi — mała plamka jasności na ciemnym kolisku wzgórz; jedynym dźwiękiem był szum powietrza, kiedy wielkie, ledwo widoczne skrzydła wznosiły się i opadały miarowo. Z tyłu, na wschodzie, niebo pobladło, a Wielka

Gwiazda płonęła jak jasny kryształ, obwieszczając nadejście słońca; ale do świtu było jeszcze daleko. Dzień i noc następowały po sobie statecznie i bez pośpiechu na tej planecie, której obrót trwał trzydzieści godzin. Pory roku również zmieniały się powoli; właśnie zbliżało się wiosenne zrównanie dnia z nocą, po którym nastąpić miało czterysta dni wiosny i lata.

— Będą śpiewać o nas pieśni w zamkach — powiedział Kyo, siedzący za Rocannonem na grzbiecie pasiastego wiatrogona. — Będą śpiewać o tym, jak Wędrowiec i jego towarzysze jechali po niebie w ciemnościach, na południe, zanim nastała wiosna… — Zaśmiał się z cicha.

Wzgórza i żyzne pola Angien rozwijały się pod nimi jak pejzaż namalowany na szarym jedwabiu; po trochu zaczynały się rozjaśniać, aż wreszcie rozkwitły jaskrawymi barwami, kiedy za ich plecami majestatycznie wzeszło słońce.

W południe przez parę godzin odpoczywali nad rzeką płynącą na południowy zachód, której bieg miał ich doprowadzić do morza. O zmierzchu wylądowali w niewielkim zamku, zbudowanym na szczycie wzgórza jak wszystkie zamki Angyarów, w zakolu tej samej rzeki. Zostali tu gościnnie przyjęci przez pana zamku i jego domowników. Niewątpliwie dręczyła go ciekawość na widok Fiana jadącego na jednym wierzchowcu z Rocannonem, czterech średnich ludzi i jednego obcego, który mówił z dziwnym akcentem, był ubrany jak książę, ale nie nosił mieczów i miał twarz białą jak średni człowiek. Wiadomo było, że kasty Angyarów i Olgyiorów mieszały się ze sobą częściej, niż większość Angyarów chciała przyznać; zdarzali się jasnoskórzy wojownicy i złotowłosi służący; jednakże ten Wędrowiec był czymś niepojętym. Rocannon, nie chcąc rozpuszczać pogłosek o swojej obecności na planecie, prawie się nie odzywał, a ich gospodarz nie ośmielił się wypytywać dziedzica Hallan; dopiero więc wiele lat później, z pieśni śpiewanych przez minstreli, dowiedział się, kim był jego dziwny gość.

Następny dzień upłynął podobnie dla siedmiu podróżników, jadących na wietrze ponad piękną krainą. Noc spędzili w wiosce Olgyiorów nad rzeką, a trzeciego dnia znaleźli się w okolicy, której nie znał nawet Mogien. Rzeka, skręciwszy na południe, tworzyła pętle i zakola, wzgórza przechodziły w rozległe równiny, a ponad dalekim horyzontem niebo jaśniało bladym, odbitym światłem. Później tego dnia dotarli do samotnego zamku stojącego na białym, urwistym cyplu, za którym rozciągały się głębokie laguny, szare piaski plaży i otwarte morze.

Zsiadając ze swojego wierzchowca, sztywny, zmęczony i z szumem w głowie od wiatru i szybkości, Rocannon pomyślał, że była to najbardziej żałosna twierdza Angyarów, jaką kiedykolwiek widział.

Małe chatki skupiły się jak zmokłe kurczęta pod skrzydłami nisko przykucniętej, rozsypującej się budowli. Średni ludzie, bladzi i wynędzniali, wałęsali się tu i tam, zerkając na nich ukradkiem.

— Wyglądają tak, jakby wychowali się wśród Gliniaków — zauważył Mogien. — Tu jest brama, a jeśli wiatr nie sprowadził nas na manowce, trafiliśmy do miejsca zwanego Tolen.

— Ho! Panowie Tolen, przed waszą bramą czeka gość! Z zamku nie dobiegł żaden dźwięk.

— Brama Tolen chwieje się na wietrze — odezwał się Kyo, a wtedy spostrzegli, że drewniane, okute brązem wierzeje kołyszą się luźno na zawiasach w ostrych podmuchach zimnego, morskiego wiatru.

Mogien pchnął je końcem miecza. Wewnątrz była ciemność, łopot pierzchających skrzydeł i przejmująco wilgotny zapach.

— Panowie Tolen nie spodziewali się gości — stwierdził Mogien. — Ano, Yahanie, pogadaj z tymi szpetnymi ludziskami i znajdź dla nas schronienie na noc.

Młody Olgyia przemówił do miejscowych, którzy zgromadzili się na odległym krańcu zamkowego dziedzińca, żeby się pogapić. Jeden z nich zdobył się na odwagę i wystąpił do przodu, kłaniając się i przemykając bokiem jak jakiś morski krab. Uniżonym tonem zwrócił się do Yahana. Rocannon, który częściowo rozumiał dialekt Olgyiorów, dosłyszał, że staruszek przeprasza, iż w wiosce nie ma odpowiednich pomieszczeń dla pedana, cokolwiek by to miało znaczyć. Wysoki średni człowiek Raho przyłączył się do Yahana i powiedział coś ostrym tonem, ale staruszek tylko kłaniał się, kulił i mamrotał, aż w końcu Mogien postąpił krok do przodu. Według kodeksu Angyarów nie wolno mu było rozmawiać z poddanymi z innych majątków, wyciągnął więc z pochwy jeden ze swoich mieczy i wzniósł go nad głową. Klinga rozbłysła w zimnym świetle. Starzec zaskomlał, wyciągnął ręce przed siebie, odwrócił się i poczłapał przez ciemniejące uliczki wioski. Podróżni ruszyli za nim prowadząc wiatrogony, których zwinięte skrzydła ocierały się o niskie, czerwone dachy po obu stronach wąskiego przejścia.

— Kyo, kto to jest pedan?

Mały człowiek uśmiechnął się bez słowa. — Yahanie, co oznacza słowo pedan?

Młody Olgyia, dobroduszny, szczery chłopiec, wyglądał nieswojo.

— Cóż, panie, pedan to… ten, który chodzi pomiędzy ludźmi…

Rocannon kiwnął głową, zadowolony z każdego strzępka informacji. Podczas swoich studiów nad tym gatunkiem próbował dowiedzieć się czegoś o ich religii. Wydawali się nie wyznawać żadnej wiary, a jednak byli zadziwiająco łatwowierni i przesądni. Traktowali poważnie istnienie czarów, zaklęć i magii, przejawiali skrajnie

animistyczny stosunek do sił przyrody; ale nie mieli bogów. To słowo — pedan — emanowało czymś nadnaturalnym. Jeszcze nie podejrzewał, że dziwne określenie miało związek z jego osobą.

Trzy nędzne chaty zaledwie zdołały pomieścić całą siódemkę, wiatrogony zaś musieli uwiązać na dworze, gdyż w całej wiosce nie było dość dużego domu. Zwierzęta stłoczyły się razem, strosząc futro na przejmującym morskim wietrze. Pasiasty wiatrogon Rocannona skrobał w ścianę, warczał i pomiaukiwał żałośnie, skarżąc się na swój los, dopóki Kyo nie wyszedł na dwór i nie podrapał go za uszami.

— Biedne zwierzaki, wkrótce czekają ich gorsze przejścia — westchnął Mogien, siedzący obok Rocannona przy ogniu płonącym w zimnej jamie. — Nie znoszą wody.

— W Hallan mówiłeś, że wiatrogony nie polecą nad morzem, a ci wieśniacy z pewnością nie mają statków dość dużych, żeby je uniosły. W jaki sposób przedostaniemy się na drugi brzeg?

— Czy masz swój obraz ziemi? — spytał Mogien. Angyarowie nie znali map i Mogien był zafascynowany mapami Misji Geograficznej znajdującymi się w „Podręczniku". Rocannon wyjął książkę ze starej skórzanej torby, która towarzyszyła mu we wszystkich podróżach i którą miał ze sobą w Hallan, kiedy jego statek został zniszczony. Torba zawierała skromny ekwipunek — „Podręcznik" i notesy, broń i narzędzia, zestaw medyczny i radio, komplet ziemskich szachów i sczytany tom haińskiej poezji. Początkowo trzymał tu również naszyjnik z szafirem, ale poprzedniej nocy, dręczony myślą o wartości klejnotu, ukrył szafir w niewielkim, zaszytym woreczku z miękkiej skóry herilora — tak że wyglądał jak amulet — i owinął łańcuch wokół szyi, pod koszulą i płaszczem. Teraz nie mógł go zgubić, chyba że razem z własną głową.

Mogien przesunął długim, twardym palcem wzdłuż konturów oznaczających położone naprzeciwko siebie wybrzeża dwóch Zachodnich Kontynentów: odległy, południowy brzeg Angien z dwiema głębokimi zatokami i rozdzielającym je wielkim cyplem skierowanym na południe — a po drugiej stronie kanału najbardziej na północ wysunięty przylądek Kontynentu Południowo-Zachodniego, który Mogien nazywał „Fiern".

— Tutaj jesteśmy — powiedział Rocannon, kładąc na czubku przylądka rybią ość pozostałą z kolacji.

— A tutaj, jeśli ci tchórzliwi zjadacze ryb nie kłamią, jest zamek Plenot. — Mogien umieścił drugą rybią ość pół cala na prawo od pierwszej i przyjrzał się jej. — Z góry wieża wygląda bardzo podobnie. Kiedy wrócę do Hallan, wyślę setkę ludzi na wiatrogonach nad cały kraj, a potem według ich wskazówek wyrzeźbimy w kamieniu wielki obraz Angien. A więc w Plenot będą statki — pewnie nie tylko ich własne, ale również statki stąd, z Tolen. Była wojna pomiędzy tymi

książętami i to dlatego w Tolen włada teraz wiatr i noc. Tak powiedział Yahanowi ten stary człowiek.

— Czy w Plenot pożyczą nam statki?

— W Plenot nie pożyczą nam niczego. Książę Plenot jest Wygnańcem. — W skomplikowanym systemie powiązań pomiędzy rodami Angyarów oznaczało to księcia banitę, stojącego poza prawem, którego nie dotyczyły obowiązujące wszędzie zasady gościnności, honoru i poszanowania dla cudzej własności.

— Ma tylko dwa wiatrogony — dodał Mogien, odpasując na noc swoje miecze. — A jego zamek, jak mówią, jest zbudowany z drewna.

Następnego ranka, kiedy wiatr zaniósł ich nad ten drewniany zamek, straże spostrzegły ich niemal natychmiast. Dwa wiatrogony wzbiły się wkrótce w powietrze i okrążały wieżę; niebawem mogli także rozróżnić małe, uzbrojone w łuki figurki, wychylające się ze szczelin okiennych. Książę Wygnaniec wyraźnie nie oczekiwał przyjaciół. Rocannon zrozumiał teraz, dlaczego zamki Angyarów miały tak szerokie dachy, nie dopuszczające światła do wnętrza, ale chroniące przed atakiem z powietrza. Plenot był niewielką osadą, jeszcze bardziej prymitywną niż Tolen, przycupniętą na wrzynającym się w morze rumowisku czarnych głazów; nie było tu nawet wioski średnich ludzi. Jednak mimo całej tej nędzy pewność Mogiena, że sześciu ludzi zdoła podbić zamek, wydawała się przesadna. Rocannon sprawdził pasy udowe przy siodle, mocniej uchwycił długą lancę do walki w powietrzu, którą dał mu Mogien, i przeklinał swojego pecha. Nie było to odpowiednie miejsce dla czterdziestotrzyletniego etnografa.

Mogien, który wysunął się znacznie do przodu na swoim czarnym rumaku, uniósł lancę i krzyknął. Wierzchowiec Rocannona pochylił łeb i runął do przodu. Czarno-szare skrzydła tylko migały w powietrzu łopocząc jak chorągwie, długie, silne, lekkie ciało było napięte jak struna, serce biło głośno. W uszach mieli gwizd wiatru; kryta słomą wieża Plenot, okrążana przez dwa ryczące gryfy, wydawała się pędzić im naprzeciw. Rocannon przywarł do grzbietu wiatrogona, pochylając do uderzenia długą lancę. Kipiała w nim radość, dawno zapomniane uczucie szczęścia; śmiał się pędząc na wietrze. Coraz bliżej i bliżej była okrągła wieża i jej dwaj skrzydlaci strażnicy. Nagle z przeszywającym okrzykiem Mogien cisnął swoją lancę w powietrze jak strzałę ze srebra. Lanca trafiła jednego z jeźdźców prosto w pierś. Uderzenie było tak silne, że pękły pasy na udach; jeździec jak w zwolnionym tempie pięknym łukiem przeleciał nad zadem wierzchowca i spadł tysiąc stóp w dół, pomiędzy przybrzeżne fale rozbijające się bezgłośnie o skały. Mogien przemknął obok pozbawionego jeźdźca wiatrogona i zaatakował z bliska drugiego strażnika, usiłując dosięgnąć go mieczem, podczas gdy tamten dźgał i

parował ciosy swoją lancą, której nie wypuścił z ręki.

Czterej średni ludzie na swoich biało-szarych wiatrogonach krążyli w pobliżu jak stado gołębi, nie wtrącając się na razie do pojedynku swego księcia, ale gotowi pomóc w każdej chwili. Wznieśli się tak wysoko, żeby strzały łuczników w dole nie mogły przebić skórzanych kolczug na brzuchach wiatrogonów. Nagle wszyscy czterej z tym samym wysokim, szarpiącym nerwy krzykiem przyłączyli się do pojedynku. Przez chwilę w górze kotłowało się kłębisko białych skrzydeł i połyskującej stali. Potem oderwała się od niego pojedyncza figurka, która jakby próbowała położyć się w powietrzu, obracając się na wszystkie strony i wymachując bezwładnymi kończynami, aż wreszcie uderzyła o dach zamku i ześlizgnęła się po nim w dół, na twarde kamienie.

Rocannon zobaczył teraz, dlaczego tamci wmieszali się do pojedynku: strażnik złamał reguły walki i zranił wiatrogona zamiast jeźdźca. Wierzchowiec Mogiena, z jednym czarnym skrzydłem splamionym purpurową krwią, opuszczał się z wysiłkiem na wydmy. Nad nim pędzili średni ludzie w pościgu za dwoma uwolnionymi od jeźdźców wiatrogonami, które wciąż próbowały zawracać do swoich bezpiecznych stajni na zamku. Rocannon wyprzedził ich, podrywając swego wierzchowca wyżej, nad dachy zamku. Zobaczył, że Raho łapie na sznur jedno ze zwierząt, i w tej chwili poczuł, że coś użądliło go w nogę. Nagły ruch jeźdźca zdezorientował wierzchowca; Rocannon szarpnął wodze zbyt mocno, a wtedy wiatrogon wygiął grzbiet w łuk i po raz pierwszy od początku drogi stanął dęba, tańcząc i wirując na wietrze ponad wieżą. Strzały śmigały wokół jak deszcz. Średni ludzie i Mogien, dosiadający żółtego wiatrogona o dzikim spojrzeniu, przemknęli obok wśród śmiechu i nawoływań. Wierzchowiec Rocannona otrząsnął się i ruszył za nimi.

— Trzymaj, Władco Gwiazd! — wrzasnął Yahan. Rocannon ujrzał nadlatującą wprost na niego kometę z czarnym warkoczem. Złapał ją w odruchu samoobrony. Była to płonąca żywiczna pochodnia. Pozostali okrążyli już wieżę z bliska, usiłując podpalić słomiany dach i drewniane ściany. Rocannon przyłączył się do nich.

— Masz strzałę w lewej nodze — zawołał do niego Mogien, przelatując obok.

Rocannon zaśmiał się radośnie i cisnął swoją pochodnię prosto w wąską szczelinę okienną, z której wychylał się łucznik.

— Dobry rzut! — krzyknął Mogien i spadł jak kamień na dach wieży, żeby po chwili wznieść się w rozbłysku płomienia.

Yahan i Raho powrócili z nowymi wiązkami dymiących pochodni, które zebrali na wydmach, i rzucali je wszędzie, gdzie dostrzegli słomę lub drewno, które mogły się zapalić. Wieża wyrzucała już z siebie syczące fontanny iskier, a wiatrogony, doprowadzone do szału przez

piekące ukąszenia iskier na skórze i ustawiczne szarpanie cugli, pikowały na dachy zamku z przerażającym, kaszlącym rykiem. Skierowany ku górze deszcz strzał przerzedził się, a po chwili na dziedziniec zamku wyskoczył mężczyzna. Na głowie miał coś, co przypominało drewnianą miskę na sałatę. W rękach trzymał przedmiot, który Rocannon w pierwszej chwili wziął za lustro, a który okazał się misą pełną wody. Ściągając z całych sił wodze żółtego wierzchowca, który wciąż usiłował zawrócić do stajni, Mogien przeleciał nad głową mężczyzny i krzyknął:

— Mów szybko! Moi ludzie już zapalają nowe pochodnie!

— Z jakich włości, książę? — Hallan!

— Władco Hallan, Książę Wygnaniec z Plenot błaga o czas na ugaszenie ognia!

— Zgadzam się w zamian za życie i majątek ludzi z Tolen. — Niech tak będzie — odkrzyknął mężczyzna i nie wypuszczając z rąk misy z wodą schronił się do budynku.

Atakujący wycofali się na wydmy i stamtąd przyglądali się, jak mieszkańcy Plenot pośpiesznie przygotowują pompę i organizują brygadę z wiadrami, czerpiącą wodę z morza.

Było ich zaledwie parę tuzinów, wliczając w to kilka kobiet. Wieża się spaliła, ale zdołali ocalić ściany i główny budynek. Kiedy ogień został ugaszony, grupka ludzi wyszła pieszo przez bramę i zeszła ze skalnej ostrogi na wydmy. Na czele szedł wysoki, szczupły mężczyzna z ciemną jak orzech skórą i płomienistymi włosami Angyarów; za nim postępowało dwóch żołnierzy, wciąż jeszcze noszących swoje drewniane hełmy, a z tyłu dreptała grupka sześciu obdartych mężczyzn i kobiet, patrzących bojaźliwym wzrokiem. Wysoki mężczyzna uniósł w obu dłoniach glinianą misę pełną wody.

— Jestem Ogoren z Plenot, Książę-Wygnaniec tych włości.

— Jestem Mogien, dziedzic Hallan.

— Życie mieszkańców Tolen należy do ciebie, panie — Ogoren kiwnął głową w stronę grupki obdartusów. — Nie było żadnych skarbów w Tolen.

— Były dwa statki, Wygnańcze.

— Z północy nadlatuje smok i widzi wszystko — powiedział Ogoren kwaśno. — Statki z Tolen są twoje.

— A ty otrzymasz z powrotem swoje wiatrogony, kiedy statki znajdą się na przystani w Tolen — przyrzekł wspaniałomyślnie Mogien.

— Kim jest ten drugi książę, z którym miałem honor walczyć? — zapytał Ogoren, zerkając na Rocannona, który miał na sobie kompletną brązową zbroję angyarską z wyjątkiem mieczów.

Mogien również spojrzał na swego przyjaciela, a Rocannon odpowiedział pierwszym imieniem, które mu przyszło na myśl,

imieniem, którym nazwał go Kyo — „Olhor”; Wędrowiec.

Ogoren przyjrzał mu się ciekawie, potem skłonił się przed nimi i rzekł:

— Misa jest pełna, panowie.

— Niech ta woda nie będzie rozlana, a przymierze niech nie będzie złamane!

Władca Plenot odwrócił się i wielkimi krokami podążył do swego dopalającego się zamku, nie spojrzawszy nawet na uwolnionych więźniów, stłoczonych na wydmie. Mogien powiedział do nich tylko:

— Zaprowadźcie do domu mojego wiatrogona, ma zranione skrzydło — i dosiadłszy ponownie żółtego rumaka z Plenot, wzbił się w powietrze.

Rocannon ruszył za nim, oglądając się do tyłu, na małą żałosną gromadkę, która rozpoczynała mozolną wędrówkę do swoich zrujnowanych domostw.

Zanim dotarł do Tolen, jego duch bojowy osłabł i ponownie zaczął w duchu kląć swoją głupotę. Opuściwszy się na wydmę przekonał się, że w jego łydce rzeczywiście tkwiła strzała. Nie czuł bólu, dopóki jej nie wyciągnął; dopiero wtedy zobaczył, że grot był haczykowato zagięty. Angyarowie nie używali oczywiście trucizny, ale istniało niebezpieczeństwo zakażenia krwi. Porwany autentyczną odwagą swoich towarzyszy wstydził się nakładać do tej bitwy swój ochronny kombinezon. Posiadając taką zbroję, niemal niewidoczną, a jednak zdolną wytrzymać strzał z lasera-mógł umrzeć w tej przeklętej ruderze od draśnięcia strzałą z brązu. Chciał ratować tę planetę, a nie potrafił nawet uratować własnej skóry.

Najstarszy ze średnich ludzi z Hallan, krępy, milkliwy mężczyzna imieniem Iot, zbliżył się bez słowa, ukląkł i delikatnie przemył oraz opatrzył ranę Rocannona. Potem nadszedł Mogien, jeszcze w pełnej zbroi; w swoim hełmie z pióropuszem i wielkich, sztywnych, przypominających skrzydła naramiennikach przyczepionych do płaszcza wydawał się mierzyć dziesięć stóp wzrostu i pięć stóp szerokości w ramionach. Za nim szedł Kyo, milczący jak dziecko zabłąkane pośród wojowników z silniejszej rasy. Potem zjawili się Yahan i Raho, i młody Bien; chata pękała w szwach, kiedy wszyscy przykucnęli przy palenisku. Yahan napełnił siedem okutych srebrem pucharów, które Mogien podawał im uroczyście. Wypili i Rocannon poczuł się lepiej. Mogien zapytał o jego nogę. Rocannon poczuł się o wiele lepiej. Wypili jeszcze trochę vaskanu, podczas gdy zalęknione, pełne podziwu twarze wieśniaków ukazywały się co chwila w drzwiach, zaglądając do środka i natychmiast znikając w zapadającym zmierzchu. Rocannon był w nastroju bohaterskim i łaskawym. Zjedli i znowu wypili, a potem w dusznej chacie, cuchnącej dymem, potem, smażoną rybą i smarem z uprzęży, Yahan wstał trzymając lirę z brązu

o srebrnych strunach i zaśpiewał. Spiewał o Durhalu z Hallan, który uwolnił więźniów z Korhalt w czasach Czerwonego Księcia, na moczarach Born; a kiedy już opisał rodowód każdego wojownika biorącego udział w tej bitwie i każdy zadany cios, bez żadnego przejścia zaczął śpiewać o uwolnieniu ludzi z Tolen i spaleniu Wieży Plenot, o pochodni Wędrowca płonącej jasno w deszczu strzał, o wspaniałym rzucie Mogiena, dziedzica Hallan, o tym, jak lanca ciśnięta w powietrze odnalazła swój cel niczym niechybiająca lanca Hendina w dawnych dniach. Rocannon, pijany i szczęśliwy, pozwalał się unosić pieśni, czując, że teraz w pełni tu przynależy, że własną krwią przypieczętował swój związek z tym światem, do którego przybył jako obcy przez ocean nocy. A obok siebie wyczuwał nieustanną obecność małego Fiana, samotną, uśmiechniętą, pogodną.

IV

Morze przelewało wielkie, spokojne fale w siąpiącym deszczu. Świat był wyprany z barw. Dwa wiatrogony ze spętanymi skrzydłami, uwiązane do łańcucha na rufie, skomlały i rozpaczały głośno, a z drugiej łódki poprzez deszcz i mgłę dobiegało ponad falami żałosne echo.

Spędzili w Tolen wiele dni czekając, aż zagoi się noga Rocannona, a czarny wiatrogon znowu będzie mógł latać. Chociaż były to ważne powody zwłoki, prawdą było również, że Mogien wzdragał się przed dalszą wędrówką, przed wypłynięciem na morze, które musieli przebyć. Włóczył się samotnie wśród szarych piasków otaczających laguny poniżej Tolen, próbując zwalczyć w sobie to samo przeczucie, które nawiedziło jego matkę, Haldre. Wszystko, co potrafił powiedzieć Rocannonowi, to że widok i głos morza kładą mu się ciężarem na sercu. Kiedy już czarny wiatrogon całkowicie wyzdrowiał, Mogien nagle postanowił odesłać go z powrotem do Hallan pod opieką Biena, jakby chciał ocalić choć jedną cenną rzecz od zagłady. Zgodzili się również pozostawić dwa juczne wiatrogony i większość bagaży staremu księciu Tolen i jego siostrzeńcom, którzy wciąż kręcili się przy nich, usiłując połatać swoją dziurawą siedzibę. Dlatego też w dwóch łodziach o smoczych łbach znajdowało się teraz tylko sześciu podróżnych i pięć wiatrogonów; wszyscy byli przemoczeni, a większość narzekała.

Łódź prowadziło dwóch posępnych rybaków z Tolen. Yahan próbował uspokoić uwiązane wiatrogony śpiewając długą, monotonną, żałobną pieśń o dawno nieżyjącym księciu; Rocannon i Fian, zakutani w płaszcze, z kapturami naciągniętymi na głowy, siedzieli na dziobie.

— Kyo, kiedyś wspomniałeś o górach na południu.

— O, tak — potwierdził mały człowiek, rzucając szybkie spojrzenie za siebie, w stronę niewidocznych wybrzeży Angien.

— Czy wiesz cokolwiek o ludziach, którzy żyją na południu, na lądzie Fiern?

„Podręcznik" nie okazał się w tym wypadku zbyt pomocny; poza tym Rocannon po to przecież zorganizował swoją Misję, żeby wypełnić luki w informacjach. „Podręcznik" podawał, że na planecie występuje pięć rozumnych gatunków, ale opisywał tylko trzy z nich: Angyarów/Olgyiorów, Fiia i Gdemiarów oraz niehumanoidalne gatunki odkryte na wielkim Wschodnim Kontynencie po drugiej stronie planety. Zapiski geografów dotyczące Kontynentu Południowo-Zachodniego były zwykłymi pogłoskami: *Gatunek 4? (nie potwierdzony): Rasa wielkich humanoidów, rzekomo zamieszkujących ogromne miasta (?). Gatunek 5? (nie potwierdzony): Skrzydlate torbacze.*

Ogółem biorąc było to równie pomocne jak informacje uzyskane od Kyo, który chyba czasem myślał, że Rocannon zna odpowiedzi na wszystkie pytania, które zadaje, i odpowiadał wówczas jak uczeń w szkole.

— Na Fiern żyją Stare Rasy, prawda?

Rocannon musiał się kontentować widokiem mgły, za którą na południu skrywał się tajemniczy ląd. Słuchał skomlenia wielkich, związanych bestii, podczas gdy przejmująco zimna wilgoć spływała mu po szyi.

Raz wydawało mu się, że słyszy w górze warkot helikoptera, i ucieszył się, że mgła ich kryje; po chwili jednak wzruszył ramionami. Po co się kryć? Armia, która przeznaczyła tę planetę na swoją bazę w międzygwiezdnej wojnie, z pewnością niezbyt się przerazi widokiem dziesięciu ludzi i pięciu przerośniętych kotów moknących na deszczu w dwóch dziurawych łódkach…

Płynęli dalej w nieustającym deszczu. Z morza podnosiła się mglista ciemność. Minęła długa, zimna noc, zajaśniał szary świt i ponownie ujrzeli fale, deszcz i mgłę. Naraz czterej posępni żeglarze w dwóch łodziach powrócili do życia. Dwaj z nich pochwycili stery i wpatrywali się z niepokojem przed siebie. Po chwili spośród kłębiących się w górze tumanów mgły wynurzyła się nieoczekiwanie skalna ściana. Płynęli u jej podnóża, a głazy i karłowate, przygięte wiatrem drzewa przesuwały się wysoko nad ich głowami.

Yahan wypytywał jednego z żeglarzy.

— Mówi, że będziemy teraz mijali ujście wielkiej rzeki, a po drugiej stronie jest jedyne nadające się do lądowania miejsce na wiele mil dookoła.

W tej samej chwili piętrząca się nad nimi skała ponownie znikła we mgle, gęsty tuman zawirował wokół nich, łódka zaskrzypiała, kiedy silny prąd uderzył w kil. Wyszczerzona smocza głowa w dziobie zachybotała się i obróciła. Powietrze było białe i mętne; woda kotłująca się za burtą była mętna i czerwona. Żeglarze na dwóch łodziach krzyczeli coś do siebie.

— Rzeka przybiera! — zawołał Yahan. — Próbują zawrócić… Trzymajcie się!

Rocannon złapał Kyo za ramię; łódka zboczyła z kursu, zatrzęsła się i przechyliła porwana wirem, wykonując jakiś szaleńczy taniec, podczas gdy żeglarze walczyli, żeby utrzymać ją prosto. Oślepiająca mgła zakryła wodę, a wiatrogony szarpały się na uwięzi i warczały z przerażenia.

Smocza głowa przez chwilę wydawała się płynąć prosto; naraz w podmuchu wiatru niosącego kolejny tuman mgły niezgrabna łódź stanęła dęba i przechyliła się na bok. Żagiel z klaśnięciem uderzył o powierzchnię wody i przykleił się do niej, jeszcze mocniej

przechylając łódź. Ciepła, czerwona fala zalała twarz Rocannona, bezgłośnie wypełniła mu usta i oczy. Walczył o dostęp do powietrza ściskając coś w rękach ze wszystkich sił. To było ramię Kyo. Obaj szamotali się we wzburzonym morzu, ciepłym jak krew, które miotało nimi na wszystkie strony i znosiło coraz dalej od przewróconej łódki. Rocannon krzyknął o pomoc, ale jego głos rozpłynął się w gęstych, dławiących oparach, unoszących się nad powierzchnią wody. Gdzie był brzeg — w której stronie, jak daleko? Płynął za rozmazanym kształtem łodzi holując Kyo, uczepionego jego ramienia.

— Rokananie!

Smoczy łeb szczerząc zęby wychynął z białego chaosu. Mogien płynął za burtą, walcząc z prądem, który go znosił. W rękach miał linę, którą opasał pierś Kyo. Rocannon wyraźnie widział jego twarz; wysokie łuki brwi i żółte włosy, pociemniałe od wody. Po kolei wciągnięto ich na łódkę, Mogiena na końcu.

Yahan i jeden z rybaków z Tolen zostali wyłowieni w następnej kolejności. Drugi żeglarz i dwa wiatrogony utonęli, wciągnięci pod przewróconą łódź. Odpłynęli dość daleko na zatokę, tam gdzie prąd przepływu i wiatr z ujścia rzeki stały się słabsze. Łódka, wypełniona milczącymi, przemoczonymi ludźmi, kołysała się na czerwonych falach, otoczona przez kłębiące się tumany mgły.

— Rokananie, jak to się stało, że nie jesteś mokry? Rocannon, wciąż oszołomiony, popatrzył na swoje przemoczone ubranie i nie zrozumiał. Kyo, uśmiechnięty, dygoczący z zimna, odpowiedział za niego:

— Wędrowiec nosi drugą skórę.

Dopiero wtedy Rocannon zrozumiał i pokazał Mogienowi „skórę" swojego ochronnego kombinezonu, który nałożył dla ciepła poprzedniej deszczowej nocy, pozostawiając jedynie głowę i ręce odkryte. Nadal miał go na sobie, więc Oko Morza nadal spoczywało bezpiecznie na jego piersi, ale radio, mapy, broń — wszystko, co jeszcze łączyło go z cywilizacją — było stracone.

— Yahanie, wrócisz do Hallan.

Pan i sługa stali naprzeciwko siebie na mglistym wybrzeżu nieznanego lądu. Fale przyboju syczały u ich stóp. Yahan nie odpowiadał.

Było ich sześciu, a mieli teraz tylko trzy wiatrogony. Kyo mógł jechać z jednym ze średnich ludzi, a Rocannon z drugim, ale Mogien był za ciężki, żeby na dłuższy dystans zabierać dodatkowego pasażera; w tej sytuacji któryś ze średnich ludzi musiał wrócić razem z łódką do Tolen. Mogien zdecydował, że pojedzie Yahan, najmłodszy.

— Nie odsyłam cię z powodu twojego postępowania, Yahanie. Teraz idź już — żeglarze czekają.

Służący stał bez ruchu. Za jego plecami żeglarze rozrzucali

kopniakami ognisko, przy którym wcześniej jedli. Iskry wzlatywały w górę i znikały we mgle.

— Panie — wyszeptał Yahan — odeślij Iota.

Twarz Mogiena pociemniała, jego dłoń spoczęła na rękojeści miecza.

— Ruszaj, Yahan! — Nie pójdę, panie.

Miecz ze świstem wysunął się z pochwy. Yahan z okrzykiem przerażenia cofnął się, odwrócił i zanurkował we mgłę. — Zaczekajcie jakiś czas na niego, a potem płyńcie swoją drogą — polecił Mogien rybakom z twarzą bez wyrazu. — My musimy teraz odnaleźć własną drogę. Mały panie, czy zechcesz dosiąść mego wiatrogona?

— Kyo siedział skulony, jakby mu było bardzo zimno; odkąd wylądowali na wybrzeżu Fiern, nie wziął nic do ust i nie odezwał się ani słowem. Mogien posadził go na grzbiecie szarego wiatrogona, ujął wodze i ruszył w głąb lądu prowadząc za sobą wielką bestię. Rocannon szedł za nim, oglądając się co chwila do tyłu, gdzie został Yahan, i popatrując na Mogiena. Zastanawiał się, kim był naprawdę ten dziwny człowiek, jego przyjaciel, który dopiero co zamierzał z zimną krwią zabić człowieka, a w następnej chwili przemawiał z niewymuszoną uprzejmością. Arogancki i lojalny, bezlitosny i uprzejmy, pełen nie dających się pogodzić sprzeczności — Mogien był prawdziwym księciem.

Rybacy powiedzieli im, że na wschód od zatoczki znajduje się osada; ruszyli więc na wschód, brodząc w białej mgle, która otaczała ich zewsząd i tworzyła niskie sklepienie nad głowami. Na wiatrogonach mogliby wznieść się ponad mgłę, ale zwierzęta, wyczerpane i rozdrażnione po dwóch dniach niewoli na łódkach, nie chciały lecieć. Mogien, Iot i Raho prowadzili je, a Rocannon szedł za nimi, rozglądając się ukradkiem za Yahanem, którego zdążył polubić. Nadal miał na sobie kombinezon dla ochrony przed zimnem, nie założył tylko kaptura, który całkowicie odizolowałby go od świata. Mimo to czuł się nieswojo wędrując po nieznanej okolicy w oślepiającej mgle, patrzył więc pod nogi szukając jakiegoś kija czy laski. Między koleinami wyżłobionymi przez ciągnące się po ziemi skrzydła wiatrogonów; pośród festonów wodorostów pokrytych nalotem soli zauważył długi, biały kij wyrzucony przez fale; wydobył go z piasku i tak uzbrojony poczuł się pewniej. Ale zatrzymując się stracił z oczu towarzyszy. Pospieszył ich śladem przez mgłę. Po jego prawej ręce wyrosła jakaś postać. Zauważył natychmiast, że nie był to żaden z jego przyjaciół, i podniósł kij w górę jak szermierczą pałkę, ale ktoś złapał go od tyłu i przewrócił na wznak. Coś przypominającego zimną, mokrą skórę opadło mu na twarz. Uwolnił się mocnym szarpnięciem i został nagrodzony uderzeniem w głowę, po którym stracił przytomność.

Stopniowo świadomość powróciła, poprzedzona falą bólu. Leżał na plecach na piasku. Wysoko nad jego głową dwie ogromne, niewyraźne postacie sprzeczały się niemrawo.

Tylko częściowo rozumiał dialekt Olgyiorów, którego używały.

— Zostawmy to tutaj — powiedziała jedna, a druga odpowiedziała coś w rodzaju:

— Zabijmy to tutaj, to nie ma nic.

— Po tych słowach Rocannon przekręcił się na bok, naciągnął kaptur swego ochronnego kombinezonu na głowę i zapiął go. Jeden z gigantów odwrócił się, żeby mu się przyjrzeć, a wtedy Rocannon przekonał się, że był to tylko masywnie zbudowany średni człowiek, zakutany w futra.

— Zabierzmy to do Zgamy, może Zgama chce to mieć — powiedział drugi.

Po krótkiej dyskusji złapali Rocannona za ramiona i zaczęli go wlec po ziemi. Poruszali się szybkim truchtem. Rocannon opierał się, ale zakręciło mu się w głowie i mgła ogarnęła jego umysł. Niejasno uświadamiał sobie nagły półmrok, głosy, ścianę z drewnianych kołków przeplecionych wodorostami i umocnionych gliną, pochodnię płonącą w uchwycie na tej ścianie. Później był dach nad głową, więcej głosów i ciemność. Kiedy wreszcie doszedł do siebie, zorientował się, że leży twarzą ku ziemi na kamiennej podłodze. Podniósł głowę.

Obok niego, na kominku wielkim jak dom, płonęły kłody drzewa. Gołe nogi, wystające spod wystrzępionych zwierzęcych skór, otaczały go zwartym szeregiem. Podniósł wzrok wyżej i zobaczył twarz jakiegoś mężczyzny: średni człowiek, białoskóry i czarnowłosy, z gęstą brodą, odziany w pasiaste, czarno-zielone futra, w kwadratowej futrzanej czapce na głowie.

— Czym ty jesteś? — zapytał ów człowiek niskim, szorstkim głosem, spoglądając w dół na Rocannona.

— Ja… oddaję się pod opiekę gospodarzom tego miejsca — odparł Rocannon podnosząc się na kolana. W tym momencie nie było go stać na nic więcej.

— Już się tobą zaopiekowaliśmy — oznajmił brodacz przyglądając się, jak Rocannon obmacuje guz na potylicy. — Chcesz więcej? — Brudne nogi i obszarpane futra zatańczyły w miejscu, ciemne oczy rozbłysły, białe twarze wykrzywiły się szyderczo.

Rocannon wstał i wyprostował się. Stał bez ruchu, nie mówiąc nic, dopóki nie ustąpił łomoczący ból pod czaszką. Kiedy poczuł, że całkowicie odzyskał władzę w nogach, podniósł głowę i spojrzał w błyszczące oczy swego prześladowcy.

— Ty jesteś Zgama — powiedział.

Brodaty mężczyzna cofnął się o krok, zalękniony. Rocannon, który bywał w trudnych sytuacjach na wielu światach, postarał się jak

najlepiej wykorzystać swoją przewagę.

— Jestem Olhor, Wędrowiec. Przychodzę z północy i z morza, z kraju, który leży poza słońcem. Przychodzę w pokoju i odchodzę w pokoju. Idę na południe przez ziemie Zgamy. Niech nikt nie próbuje mnie zatrzymać!

— Aaach — jęknęły jednocześnie wszystkie białe twarze, gapiące się na niego z otwartymi ustami.

On sam nie spuszczał oczu z twarzy Zgamy.

— Ja tu jestem panem — oświadczył ostrym, napastliwym tonem krzepki mężczyzna. — Nikt nie przechodzi przez moje ziemie!

Rocannon nie odpowiedział i dalej wpatrywał się w niego nieruchomym wzrokiem. Zgama zorientował się, że nie wygra w tym pojedynku spojrzeń; jego ludzie nadal wytrzeszczali oczy na obcego.

— Przestań się tak gapić! — rozkazał.

Rocannon ani drgnął. Wiedział, że trafił na przeciwnika o twardym charakterze; ale teraz było już za późno, żeby zmieniać taktykę.

— Nie gap się! — ryknął ponownie Zgama, po czym wyszarpnął spod futrzanego płaszcza swój miecz, zakręcił nim w powietrzu i potężnym zamachem spróbował ściąć obcemu głowę.

Ale głowa nie spadła; obcy zachwiał się wprawdzie od ciosu, ale miecz Zgamy odbił się od niego jak od skały. Ludzie zgromadzeni przy ogniu ponownie wyszeptali:

— Aaach!

Obcy złapał równowagę i stanął nieruchomo, wbijając spojrzenie w Zgamę.

Zgama zadrżał; już miał się cofnąć i rozkazać, żeby uwolniono tego niesamowitego przybysza. Ale upór właściwy jego rasie zwyciężył nad strachem i niepewnością.

— Trzymajcie go… złapcie go za ręce! — wrzasnął, a kiedy jego ludzie nie poruszyli się, sam złapał Rocannona za ramiona i obrócił dookoła.

Dopiero wtedy pozostali przyłączyli się do akcji. Rocannon nie stawiał oporu. Kombinezon chronił go przed obcymi ciałami, wahaniami temperatury, radioaktywnością, wstrząsami oraz niezbyt mocnymi uderzeniami, jak ciosy mieczem lub trafienie kulą; ale nie mógł go uwolnić z rąk dziesięciu czy piętnastu silnych mężczyzn.

— Żaden człowiek nie przejdzie przez ziemie Zgamy, Władcy Długiej Zatoki! — Brodacz dał upust swojej wściekłości, kiedy co dzielniejsi z jego ludzi związali Rocannonowi ręce. — Jesteś szpiegiem Żółtogłowych z Angien! Już ja cię znam! Przychodzisz z tą swoją angyarską mową, czarami i zaklęciami, a za tobą przypłyną z północy łodzie o smoczych łbach. Ale nie tutaj! Jestem panem tych, co nie mają panów. Niechże przyjdą Żółtogłowi ze swoimi płaszczącymi się

niewolnikami — damy im posmakować naszych mieczy! Wypełzłeś z morza i prosisz o miejsce przy ogniu, tak? Ogrzejemy cię, szpiegu. Nakarmimy cię pieczonym mięsem, szpiegu. Przywiązać go tam do pala!

Chełpliwe, brutalne pogróżki dodały ducha jego ludziom, którzy hurmem rzucili się, żeby przywiązać obcego do jednego ze słupów podtrzymujących ogromny rożen zawieszony nad ogniem i zgromadzić stertę drewna wokół jego nóg.

Potem zapadła cisza. Zgama wystąpił naprzód, ponury i masywny w swoich futrach, podniósł z paleniska gałąź i potrząsnął nią przed twarzą Rocannona, a potem podpalił stos. Stos zapłonął z trzaskiem. Ubranie Rocannona, brązowy płaszcz i tunika z Hallan, natychmiast zajęło się płomieniem, który objął jego twarz i wzniósł się nad głową.

— Aaach — po raz trzeci jęknęli ludzie Zgamy. Naraz jeden z nich krzyknął:

— Patrzcie!

Ogień opadł i poprzez dym ujrzeli nieruchomą postać patrzącą prosto na Zgamę. Płomienie lizały jej nogi, a na nagiej piersi błyszczał jak otwarte oko wielki klejnot, zawieszony na złotym łańcuchu.

— Pedan, pedan — zapiszczały kobiety kryjące się po ciemnych kątach.

Zgama swoim grzmiącym głosem przełamał narastającą falę paniki:

— On się spali! Niech się pali! Deho, dorzuć do ognia, szpieg piecze się wolno!

Zaciągnął młodego chłopca przed kominek, między skaczące odblaski płomieni, i zmusił go, żeby dorzucił drew do stosu.

— Czyż nie mamy nic do jedzenia? Przynieście mięso, kobiety! Widzisz naszą gościnność, Olhorze, widzisz, jak jemy?

Porwał płat mięsa z drewnianego półmiska, który podawała mu jakaś kobieta, i stanąwszy przed Rocannonem szarpał mięso zębami pozwalając, żeby sok ściekał mu po brodzie. Paru jego zbirów naśladowało go, trzymając się trochę dalej. Większość z nich wolała nie zbliżać się do kominka; ale Zgama kazał im jeść i pić, i krzyczeć, aż wreszcie kilku chłopców odważyło się podejść bliżej i dorzucić jakiś patyk do stosu, gdzie milczący, nieruchomy człowiek stał wśród płomieni muskających jego dziwnie błyszczącą skórę czerwonym odblaskiem:

Wreszcie ogień wypalił się, a hałas przycichł. Mężczyźni i kobiety zasnęli zwinięci w kłębki pod podartymi futrami, na podłodze, po kątach, w ciepłym popiele. Kilku mężczyzn zasiadło na straży trzymając miecze na kolanach i flaszki w dłoniach.

Rocannon pozwolił opaść powiekom. Skrzyżowawszy dwa palce rozpiął kaptur kombinezonu i odetchnął świeżym powietrzem. Długa

noc mijała powoli i powoli zajaśniał świt.

W szarym świetle poranka, sączącym się przez tumany mgły, nadszedł Zgama ślizgając się po plamach tłuszczu na podłodze i przestępując przez chrapiące ciała. Popatrzył na swoją ofiarę. Ofiara patrzyła ponuro i nieustępliwie, prześladowca z bezsilną złością.

— Spalić, spalić! — warknął Zgama i odszedł.

Gdzieś z zewnątrz, spoza ścian prymitywnej budowli, dobiegło Rocannona gruchające pomrukiwanie herilorów, tłustych, puchatych zwierząt domowych, które Angyarowie hodowali na mięso, przycinając im skrzydła. Tutaj pasły się one prawdopodobnie na nadmorskich urwiskach. W budynku poza Rocannonem pozostało tylko kilkoro dzieci i kobiet, które trzymały się od niego z dala nawet wtedy, kiedy przyszła pora pieczenia mięsa na kolację.

Rocannon stał przykuty do pala już od trzydziestu godzin i oprócz bólu dręczyło go pragnienie. Pragnienie wyznaczało granice jego możliwości. Mógł obyć się bez jedzenia przez dłuższy czas i przypuszczalnie mógłby wytrzymać w łańcuchach co najmniej równie długo, chociaż już zaczynało mu się kręcić w głowie; ale bez wody mógł przeżyć najwyżej jeszcze jeden z tych długich dni.

Był całkowicie bezsilny; gdyby spróbował odezwać się do Zgamy, każde jego słowo — czy byłaby to groźba, czy próba przekupstwa — umocniłoby tylko upór barbarzyńcy.

Tej nocy kiedy płomienie tańczyły mu przed oczami, a pomiędzy nimi widział białą, masywną, brodatą twarz Zgamy, oczyma duszy ujrzał inną twarz, ciemną i jasnowłosą: twarz Mogiena, którego pokochał jak przyjaciela i trochę jak syna. A gdy noc i ogień dopalały się z wolna, pomyślał o małym Kyo, milczącym i tajemniczym, z którym związany był w jakiś niepojętny sposób; usłyszał, jak Yahan śpiewa o bohaterach, a Iot i Raho narzekają i śmieją się pospołu, czyszcząc zgrzebłem wielkie, skrzydlate wiatrogony; i ujrzał Haldre zdejmującą złoty łańcuch z szyi. Nie nawiedziły go żadne obrazy z jego poprzedniego życia, chociaż przeżył wiele lat na wielu światach, wiele się nauczył i wiele dokonał. To wszystko spłonęło jak garść trawy. Zdawało mu się, że jest w Hallan, że stoi w długiej sali obwieszonej gobelinami przedstawiającymi walkę ludzi i gigantów, a Yahan podaje mu puchar pełen wody.

— Wypij to, Władco Gwiazd. Wypij. Więc wypił.

V

Feni i Feli, dwa największe księżyce, rzucały białe blaski na roztańczoną powierzchnię wody, kiedy Yahan podawał mu następny puchar. Na palenisku żarzyło się zaledwie parę węgielków. W ciemnościach widać było wyraźne smużki i plamki księżycowej poświaty, ciszę mąciły jedynie poruszenia i oddechy śpiących ludzi.

Yahan ostrożnie rozluźnił łańcuchy, a Rocannon oparł się całym ciężarem o słup, gdyż nogi tak mu zdrętwiały, że nie mógł ustać o własnych siłach.

— Pilnują zewnętrznej bramy przez całą noc — szeptał mu Yahan do ucha — a ci strażnicy nie śpią. Jutro wyprowadzą stada…

— Jutro wieczorem. Nie mogę biec. Będę musiał użyć podstępu. Zapnij łańcuch, Yahanie, żebym mógł się na nim oprzeć. Przyczep hak tutaj, obok mojej ręki.

Któryś ze śpiących usiadł ziewając; Yahan zanurkował w ciemność i zanim rozpłynął się wśród cieni, w świetle księżyca przez chwilę zajaśniał jego uśmiech.

Rocannon ujrzał go ponownie o świcie. Yahan wraz z innymi wypędzał herilory na pastwisko. Podobnie jak tamci odziany był w obszarpane futra, a jego czarne włosy sterczały jak szczotka. Nadszedł Zgama i obrzucił swoją ofiarę ponurym spojrzeniem. Rocannon wiedział, że ten człowiek oddałby połowę swoich stad i wszystkie żony, żeby tylko się pozbyć swojego gościa nie z tej ziemi, ale własne okrucieństwo wpędziło go w pułapkę bez wyjścia: dozorca jest więźniem swojego więźnia. Zgama spał w ciepłym popiele i miał włosy tak wysmarowane sadzą, że wydawał się bardziej ucierpieć od ognia niż Rocannon, którego naga, błyszcząca skóra jaśniała bielą. Wyszedł tupiąc głośno i znowu przez cały dzień budynek był pusty z wyjątkiem strażników pilnujących drzwi. Rocannon wykorzystywał ten czas na ukradkowe ćwiczenia gimnastyczne. Kiedy przechodząca kobieta zauważyła, że się prostuje i przeciąga, wyprostował się jeszcze bardziej, kołysząc się i zawodząc jękliwie niskim, niesamowitym głosem. Kobieta przypadła do ziemi i z piskiem umknęła na czworakach.

Mglisty zmierzch zapadał za oknami, posępne kobiety gotowały gulasz z mięsa i morskich wodorostów, powracające stada odzywały się setką głosów na zewnątrz, a potem wszedł Zgama ze swoimi ludźmi. Kropelki wilgoci połyskiwały w ich brodach i futrach. Zasiedli na podłodze do posiłku. Izba wypełniła się hałasem, zaduchem i parującym smrodem. Nieustanna obecność tajemniczego gościa powodowała widoczną atmosferę napięcia: twarze były ponure, głosy brzmiały kłótliwie.

— Dołóżcie do ognia, trzeba go upiec! — krzyknął Zgama i zerwał się na nogi, żeby wepchnąć na stos płonącą kłodę.

Nikt z jego ludzi się nie poruszył.

— Zjem twoje serce, Olhorze, kiedy usmaży ci się w piersi! Będę nosił ten błękitny kamień zamiast kolczyka! — Zgama trząsł się w furii, doprowadzony do szału przez to milczące, uporczywe spojrzenie, które musiał znosić od dwóch dni. Już ja cię zmuszę, żebyś zamknął oczy! — wrzasnął, chwycił ciężki drąg leżący na podłodze i z trzaskiem opuścił go na głowę Rocannona, jednocześnie odskakując do tyłu, jakby obawiał się jakiegokolwiek kontaktu z dziwnym przybyszem. Drąg spadł pomiędzy płonące kłody i utknął jednym końcem w jakiejś szparze.

Rocannon powoli wyciągnął prawą rękę, zacisnął palce na kiju i wyszarpnął go z ognia. Wymierzył płonący koniec w twarz Zgamy, a potem z wolna postąpił krok do przodu. Krępujące go łańcuchy opadły. Płomień strzelił do góry, sypnął iskrami i rozstąpił się wokół jego nagich stóp.

— Precz! — wyrzekł Rocannon. Szedł prosto na Zgamę, a Zgama cofał się krok po kroku. — Nie jesteś już tu panem. Człowiek łamiący prawo jest niewolnikiem, człowiek okrutny jest niewolnikiem, człowiek nie mający rozumu jest niewolnikiem. Jesteś moim niewolnikiem, a ja wypędzę cię jak dziką bestię. Precz!

Zgama oburącz chwycił się framugi drzwi, ale płonąca gałąź mignęła mu przed nosem, aż przypadł do ziemi. Strażnicy skulili się i zamarli w bezruchu. Pochodnie z sitowia, umieszczone przy zewnętrznej bramie, rozświetlały mrok; nie słychać było żadnego dźwięku prócz mamrotania herilorów w zagrodach i sum morskich fal, rozbijających się o skały. Krok po kroku Zgama cofał się przez podwórze, aż dotarł do bramy. Jego ciemne oczy w białej, nieruchomej jak maska twarzy wpatrywały się w zbliżający się płomień. Ogłupiały ze strachu, przywarł kurczowo do jednego ze słupów bramy, wypełniając wejście swym masywnym ciałem. Rocannon, wyczerpany i doprowadzony do ostateczności, w odruchu zemsty mocno pchnął go w pierś płonącym końcem kija, zwalając go z nóg, i przestąpił nad jego ciałem. Za bramą otoczył go skłębiony tuman mgły. Przeszedł w ciemności około pięćdziesięciu kroków, potknął się, upadł i nie zdołał już wstać.

Nikt go nie ścigał. Nikt nie wyszedł z twierdzy. Leżał na porośniętej trawą wydmie, chwilami tracąc przytomność. Po jakimś czasie pochodnie przy bramie wypaliły się lub zostały zgaszone i pozostała tylko ciemność. Wiatr zawodził wieloma głosami wśród traw, a w dole szumiało morze.

Kiedy mgła rozproszyła się przepuszczając światło księżyca, Yahan znalazł go w tym miejscu, opodal krawędzi skały. Z jego

pomocą Rocannon zdołał wstać. Wymacując drogę przed sobą, potykając się i pełznąc na czworakach, kiedy trafili na trudniejszy odcinek, posuwali się z trudem na południowy wschód, byle dalej od wybrzeża. Zatrzymywali się kilka razy, żeby odetchnąć i zorientować się w terenie, a wtedy Rocannon natychmiast zasypiał. Yahan budził go i zmuszał do dalszego marszu. Tuż przed świtem dotarli do doliny o stromych zboczach, porośniętych lasem, który w mglistej ciemności wydawał się czarny. Yahan i Rocannon zagłębili się weń idąc z biegiem strumienia, ale nie zaszli daleko. Rocannon zatrzymał się i powiedział w swoim własnym języku:

— Nie mogę już iść.

Yahan wyszukał piaszczystą łachę pod wysokim, podmytym brzegiem, który zakrywał ich przynajmniej od góry. Rocannon wczołgał się tam jak zwierzę do swojej kryjówki i zasnął.

Kiedy obudził się po piętnastu godzinach, zapadał zmierzch, a obok Yahana leżała niewielka kupka zielonych pędów i jadalnych korzeni.

— Za wcześnie jeszcze na owoce — tłumaczył się Olgyia — a te wyrzutki z twierdzy zabrały mój łuk. Zastawiłem parę sideł, ale przed zmrokiem nic się w nie nie złapie.

Rocannon żarłocznie pochłonął jarzyny, popił je wodą ze strumienia, przeciągnął się, a kiedy poczuł, że odzyskał jasność myśli, zapytał:

— Yahanie, jak tam trafiłeś — do tej twierdzy wyrzutków?

Młody Olgyia, ze spuszczoną głową, przysypywał piaskiem niejadalne końcówki korzeni.

— Cóż, panie, sam wiesz, że… zdradziłem mojego pana, Mogiena. Więc po tym wszystkim pomyślałem sobie, że mógłbym przyłączyć się do tych, co nie mają panów.

— Słyszałeś już o nich wcześniej?

— W moim kraju opowiadają o miejscach, gdzie my, Olgyiorowie, jesteśmy i panami, i sługami. Mówi się nawet, że w dawnych czasach w Angien mieszkaliśmy tylko my, średni ludzie; polowaliśmy w lasach i nie mieliśmy panów, a potem Angyarowie przybyli z południa na łodziach o smoczych łbach… No więc znalazłem twierdzę, a ludzie Zgamy zabrali mnie ze sobą uciekając z jakiegoś innego miejsca na wybrzeżu. Odebrali mi łuk, zagonili mnie do pracy i nie zadawali żadnych pytań. I tak odnalazłem ciebie. Ale uciekłbym stamtąd nawet wtedy, gdybym cię ie znalazł. Nie chcę być panem pomiędzy takimi wyrzutkami!

— Czy wiesz, gdzie są nasi towarzysze? — Nie. Będziesz ich szukał, panie?

— Mów mi po imieniu, Yahanie. Tak, będę ich szukał, jeśli jest jakaś szansa, żeby ich odnaleźć. Nie zdołamy przejść przez cały

kontynent na piechotę, sami, bez broni i ubrań.

Yahan w milczeniu wygładzał piasek, patrząc na strumień, który płynął, ciemny i czysty, pod nisko zwieszonymi gałęziami iglastych drzew.

— Nie zgadzasz się?

— Jeśli mój pan Mogien mnie znajdzie, zabije mnie. To jego prawo.

Według kodeksu Angyarów była to prawda; a jeśli ktoś przestrzegał kodeksu, tym kimś był właśnie Mogien.

— Gdybyś znalazł nowego pana, twój dawny pan nie miałby prawa cię tknąć; czyż nie tak, Yahanie?

Chłopiec przytaknął.

— Ale ten, kto się buntuje, nie znajduje nowego pana. — To zależy. Złóż mi przysięgę wierności, a ja obronię cię przed Mogienem… o ile go znajdziemy. Nie wiem, jakie słowa wymawiacie.

— Powiadamy — Yahan mówił bardzo cicho — mojemu panu oddaję całe moje życie wraz ze śmiercią.

— Zwróciłeś mi moje życie, a teraz ofiarowujesz mi swoje. Przyjmuję.

Woda z donośnym szumem przelewała się przez skalny próg w górze strumienia, a niebo pociemniało złowrogo. W zapadającym zmierzchu Rocannon wyślizgnął się ze swego kombinezonu i zanurzył się cały w strumieniu, pozwalając, żeby chłodna woda obmywała jego ciało, spłukiwała brud, zmęczenie i strach, i wspomnienie ognia liżącego mu twarz. Pusty kombinezon składał się zaledwie z garstki przezroczystych strzępków materii, cieniutkich jak włos, ledwie widocznych drucików i przewodów oraz kilku półprzezroczystych sześcianów wielkości paznokcia. Yahan przyglądał się niespokojnym wzrokiem, jak Rocannon nakłada kombinezon z powrotem, ponieważ nie miał żadnego innego ubrania, a Yahan zmuszony był zamienić swój angyarski strój na parę brudnych skór herilorów.

— Książę Olhorze — zapytał w końcu — czy to… czy to ta skóra chroniła cię przed ogniem? Czy też… ten klejnot? Naszyjnik, o który Yahan pytał, schowany był teraz w jego własnym woreczku na amulety, zawieszonym na szyi Rocannona. Rocannon odpowiedział łagodnie:

— To ta skóra, a nie żadne czary. To rodzaj bardzo silnej broni.

— A ta biała rzecz?

Rocannon popatrzył na swój kij wydobyty z piasku, z jednym końcem mocno nadpalonym; Yahan znalazł go w trawie na wydmach zeszłej nocy. Ludzie Zgamy przynieśli ten kawałek drewna do twierdzy razem z właścicielem, uważając widocznie, że nie powinno się ich rozłączać. Czym byłby czarodziej bez swojej laski?

— Cóż — odparł Rocannon — laska może się przydać, jeśli

będziemy musieli iść piechotą.

Przeciągnął się i zamiast kolacji napił się jeszcze raz z ciemnego, bystrego, chłodnego strumienia.

Następnego ranka obudził się wypoczęty i z wilczym apetytem. Yahan odszedł o świcie, żeby sprawdzić sidła, a także dlatego, że w nocy zmarzł i nie mógł już dłużej leżeć na wilgotnym piasku. Wrócił przynosząc tylko trochę ziół i niezbyt dobre wiadomości. Wdrapał się na zalesioną grań, która biegła równolegle do wybrzeża, i z jej szczytu ujrzał następną szeroką morską odnogę, zagradzającą im drogę na południe.

— Czyżby ci nędzni zjadacze ryb z Tolen wysadzili nas na wyspie? — jęknął. Jego zwykły optymizm został pokonany przez głód, zimno i zmęczenie.

Rocannon spróbował przypomnieć sobie zarys linii brzegowej na utopionej mapie. Rzeka wpadająca do morza z zachodu brała początek z północy, z długiego języka lądu, stanowiącego część górskiego łańcucha, który ciągnął się wzdłuż wybrzeża z zachodu na wschód; pomiędzy tym językiem a głównym lądem znajdowała się cieśnina dostatecznie szeroka, żeby wyraźnie zaznaczyć się na mapach i w jego pamięci.

— Jak szeroka? — zapytał Yahana, który odparł posępnie: .

— Bardzo szeroka. Nie umiem pływać, panie.

— Możemy iść pieszo. Ta grań łączy się z głównym lądem na zachodzie. Mogien pewnie będzie nas szukał w tej stronie. Wiedział, że powinien teraz objąć dowodzenie — Yahan zrobił już więcej, niż do niego należało — ale na myśl o czekającej ich wędrówce przez nieznane, wrogie okolice duch w nim upadł. Yahan nie spotkał nikogo, ale widział wydeptane ścieżki; w tych lasach musieli żyć jacyś ludzie, co stanowiło dodatkowe niebezpieczeństwo.

Jeśli jednak chcieli, żeby Mogien ich znalazł — o ile on sam jeszcze żył, był wolny i nie stracił wiatrogonów — musieli iść na południe, i to w miarę możliwości po otwartym terenie. Mogien będzie ich szukał na południu, jako że był to główny kierunek ich podróży.

— Chodźmy — powiedział Rocannon i ruszyli w drogę. Wczesnym popołudniem spoglądali z grani w dół, na szeroką zatokę, ołowianoszarą pod niskim niebem, ciągnącym się na wschód i zachód tak daleko, jak sięgał wzrok. Południowy brzeg widać było tylko jako niewyraźną linię niskich, ciemnych wzgórz. Zimny wiatr wiejący znad cieśniny przenikał ich do szpiku kości, kiedy zeszli na brzeg i ruszyli wzdłuż niego na zachód. Yahan popatrzył na chmury, wciągnął głowę w ramiona i złowróżbnym tonem oznajmił:

— Będzie śnieg.

I rzeczywiście śnieg zaczął padać, mokry, wiosenny śnieg,

mieciony wiatrem, znikający równie szybko w zetknięciu z wilgotną ziemią jak z ciemnymi wodami zatoki. Kombinezon Rocannona chronił go przed zimnem, ale głód i męczący niepokój dawały mu się we znaki; Yahan również był zmęczony i bardzo zmarznięty. Wlekli się dalej, bo nie pozostało im nic innego. Przeszli w bród strumyk, wdrapali się na stromy brzeg brnąc przez szorstką trawę w zacinającym śniegu i na szczycie wzniesienia stanęli twarzą w twarz z jakimś człowiekiem.

— Huf! — parsknął nieznajomy, przyglądając im się ze zdziwieniem i ciekawością. Widział bowiem dwóch mężczyzn brnących przez śnieżną zamieć, z których jeden, trzęsący się z zimna i z posiniałymi ustami, ubrany był w wystrzępione futra, a drugi był całkiem nagi.

— Ha, huf! — powtórzył obcy. Był wysokim, kościstym, zgarbionym mężczyzną, brodatym, z dzikim wejrzeniem ciemnych oczu. — Ha, wy tam! — powiedział w mowie Olgyiorów — zamarzniecie na śmierć!

— Musieliśmy płynąć… nasza łódź zatonęła… — pospiesznie improwizował Yahan. — Czy masz dom i ogień, łowco pelliunarów?

— Płynęliście przez cieśninę z południa?

Mężczyzna wyglądał na zaniepokojonego. Yahan odpowiedział wymijającym gestem.

— Jesteśmy ze wschodu… Chcieliśmy kupić futra pelliunarów, ale wszystkie nasze towary popłynęły z wodą.

— Ha, hm — mruknął dziki człowiek; nadal był zaniepokojony, ale jego dobroduszna natura wydawała się przezwyciężać strach.

— Chodźcie, mam ogień i jedzenie — powiedział i odwróciwszy się zanurkował w rzadki, porywisty śnieg. Idąc za nim dotarli wkrótce do chaty, usadowionej na zboczu pomiędzy zalesioną granią a brzegiem zatoki. Z zewnątrz i od wewnątrz wyglądała jak zwyczajna zimowa chata średnich ludzi z lasów i wzgórz Angien. Yahan czuł się w niej jak w domu. Od razu przykucnął przy ogniu z westchnieniem prawdziwej ulgi. To uspokoiło ich gospodarza skuteczniej niż najbardziej pomysłowe wyjaśnienia.

— Dorzuć no do ognia, chłopcze — powiedział i podał Rocannonowi grubo tkany płaszcz, żeby gość mógł się czymś okryć.

Zrzuciwszy swój własny płaszcz, postawił w ciepłym popiele gliniany garnek z gulaszem i przysiadł poufale między nimi, przewracając oczami to na jednego, to na drugiego.

— Zawsze pada śnieg o tej porze roku, a wkrótce będzie jeszcze więcej śniegu. Znajdzie się dla was dużo miejsca; jest nas tu trzech tej zimy. Tamci wrócą wieczorem albo jutro, albo za jakiś czas; przeczekają zamieć wysoko na grani, tam gdzie polują. Jesteśmy łowcami pelliunarów, jak to zauważyłeś po moich piszczałkach, co,

chłopcze?

Dotknął szeregu ciężkich, drewnianych fujarek dyndających mu u pasa i wyszczerzył zęby. Wprawdzie wyglądał jak nieokrzesany, nierozgarnięty dzikus, ale o jego gościnności świadczyły namacalne fakty. Dał im po pełnej misce mięsnego gulaszu, a kiedy zapadł zmrok, zaproponował, żeby się położyli. Rocannon nie tracąc czasu zawinął się w cuchnące futra, leżące w kącie do spania, i zasnął jak dziecko.

Rano nadal padał śnieg, a świat był biały i pozbawiony konturów. Towarzysze gospodarza jeszcze nie wrócili.

— Musieli zostać na noc w wiosce Timash, po drugiej stronie Grzbietu.

— Grzbiet… to jest ta morska odnoga?

— Nie, to jest cieśnina, a po drugiej stronie nie ma żadnych wsi! Grzbiet to jest ta grań, te wzgórza nad nami. Skąd wy w ogóle jesteście? Ty mówisz prawie tak samo jak ludzie stąd, ale twój wuj — nie.

Yahan rzucił przepraszające spojrzenie Rocannonowi, który dotąd nie wiedział, że kiedy spał, przybył mu siostrzeniec.

— Och… on jest z Rubieży; oni tam mówią inaczej. My również nazywamy tę wodę cieśniną. Dobrze by było znaleźć kogoś, kto ma łódkę, żeby nas przewieźć na drugą stronę. — Chcecie jechać na południe?

— Cóż, teraz, kiedy wszystkie nasze towary przepadły, staliśmy się żebrakami. Musimy wracać do domu.

— Jest łódka na brzegu, kawałek drogi stąd. Kiedy się przejaśni, zobaczymy, co dalej. Powiem ci, chłopcze, że kiedy tak spokojnie mówisz o podróży na południe, krew się we mnie ścina. Żaden człowiek nie mieszka między cieśniną a wielkimi górami, nigdy o czymś takim nie słyszałem. Chyba że masz na myśli tych, o których się nie mówi. A to są tylko stare opowieści. Skąd wiadomo, czy tam w ogóle są jakieś góry? Byłem tam, po drugiej stronie cieśniny — niewielu ludzi mogłoby ci to powiedzieć. Byłem tam. Polowałem na wzgórzach. Jest tam mnóstwo pelliunarów, w pobliżu wody. Ale nie ma żadnych osad. Żadnych ludzi. Nikogo. I nie chciałbym zostać tam na noc.

— My tylko pójdziemy południowym brzegiem na wschód — odparł Yahan obojętnym tonem, ale wyglądał na zmieszanego; z każdym pytaniem zmuszony był uciekać się do coraz bardziej skomplikowanych kłamstw.

Ale jego pierwsze, instynktowne kłamstwo okazało się słuszne, kiedy Piai, gospodarz, zmienił temat.

— Przynajmniej nie przypłynęliście z północy! — rzucił, ostrząc na osełce swój długi nóż z klingą w kształcie liścia. — Nie ma żadnych ludzi za cieśniną, a za morzem żyją tylko nędzne kreatury, co to służą

Żółtogłowym jak niewolnicy. Czy twoi ludzie o nich nie słyszeli? Za morzem, w północnej krainie jest rasa ludzi z żółtymi głowami. To prawda. Powiadają, że ci ludzie mieszkają w domach wysokich jak drzewa, noszą miecze ze srebra i jeżdżą na grzbietach wiatrogonów! Uwierzę w to, jak to zobaczę. Za futra wiatrogonów dostaje się dobrą cenę na wybrzeżu, ale na te bestie niebezpiecznie jest nawet polować, a co dopiero oswajać je i na nich jeździć. Nie można wierzyć we wszystkie bajki, jakie ludzie opowiadają. Zarabiam dosyć na futrach pelliunarów. Mogę je przywołać w każdej chwili. Posłuchaj!

Przytknął fujarki do swoich włochatych ust i dmuchnął, najpierw bardzo leciutko, ledwie słyszalna, nieśmiała skarga, która wzbierała i opadała, uderzała i załamywała się w pół dźwięku, wznosząc się w niemal melodyjnej frazie, brzmiącej jak krzyk dzikiej bestii. Rocannonowi mróz przeszedł po plecach: słyszał już tę melodię w lasach Hallan. Yahan, który był szkolony na myśliwego, wyszczerzył zęby w podnieceniu i krzyknął jak na widok zdobyczy:

— Śpiewaj! śpiewaj! nadlatuje!

Przez resztę popołudnia on i Piai opowiadali sobie myśliwskie historyjki. Wiatr ucichł, ale śnieg padał wciąż, cicho i spokojnie.

Następnego dnia o świcie niebo było czyste. Jak zwykle w zimnej porze okryte białym śniegiem wzgórza skrzyły się oślepiająco w różowo-białych promieniach słońca. Przed południem zjawili się dwaj towarzysze Piaia niosąc kilka szarych, puszystych futer pelliunarów. Czarnobrewi i żylaści jak wszyscy Olgyiorowie z południa, wydawali się jeszcze bardziej dzicy niż Piai; nieufni wobec obcych jak zwierzęta, obchodzili ich z daleka i tylko ukradkiem zerkali na nich spode łba.

— Nazywają moich ludzi niewolnikami — powiedział Yahan do Rocannona, kiedy tamci wyszli z chaty. — Lepiej jednak być człowiekiem służącym innym ludziom, niż bestią polującą na inne bestie, jak oni. — Rocannon podniósł ostrzegawczo rękę i Yahan zamilkł, kiedy jeden z południowców wszedł do środka, przypatrując im się z ukosa i nie mówiąc ani słowa.

— Chodźmy-mruknął Rocannon w języku Olgyiorów, którego trochę się poduczył przez ostatnie dwa dni. Żałował, że czekali do powrotu towarzyszy Piaia. Yahan również czuł się nieswojo.

— Pójdziemy już — zwrócił się do Piaia, który właśnie nadszedł. — Pogoda powinna się utrzymać, dopóki nie obejdziemy zatoki. Gdybyś nie udzielił nam schronienia, nie przeżylibyśmy tych dwóch mroźnych dni. Oby twoje łowy zawsze były szczęśliwe!

Ale Piai stał bez ruchu i nie mówił nic. Na koniec odchrząknął, splunął do ognia, przewrócił oczami i warknął: — Obejdziecie zatokę? Przecież chcieliście płynąć łodzią.

Jest łódź na brzegu. To moja łódź. Możemy nią popłynąć. Przewieziemy was przez wodę.

— To wam oszczędzi sześć dni drogi — wtrącił Karmik, niższy z przybyszów.

— Zaoszczędzicie sześć dni drogi — powtórzył Piai. — Przewieziemy was łodzią na drugą stronę. Możemy już iść.

— Zgoda — odparł Yahan spojrzawszy szybko na Rocannona: nic nie mogli zrobić.

— No to chodźmy — mruknął Piai i jakoś tak nagle, nie proponując nawet gościom zapasów na drogę, wyszedł z chaty, a za nim pozostali. Wiał ostry wiatr, słońce świeciło jasno; chociaż gdzieniegdzie w zagłębieniach gruntu leżał jeszcze śnieg, rozmiękła od wilgoci ziemia chlupotała pod nogami. Ruszyli wzdłuż brzegu kierując się na zachód. Słońce już zachodziło, kiedy po długim marszu dotarli do niewielkiej zatoczki, gdzie na skalistym brzegu pośród trzcin leżała wyciągnięta z wody łódka. Wody zatoki i niebo na zachodzie powlokły się czerwienią; ponad czerwoną poświatą jaśniał mały księżyc Heliki zbliżający się do pełni, a we wschodniej stronie nieba Wielka Gwiazda — odległa gromada Fomalhaut — lśniła jak opal. Woda i niebo odbijały ten sam blask, a pomiędzy nimi ciągnął się długi, pagórkowaty brzeg, ciemny i niewyraźny.

— To ta łódka — oznajmił Piai zatrzymując się i spoglądając na nich. Na twarz padał mu czerwony odblask zachodu. Dwaj jego towarzysze stanęli w milczeniu pomiędzy Yahanem a Rocannonem.

— Z powrotem będziecie wiosłować po ciemku — zauważył Yahan.

— Świeci Wielka Gwiazda; będzie jasna noc. A teraz, chłopcze, chodzi o to, czym nam zapłacicie za wiosłowanie. — Ach — powiedział Yahan.

— Piai wie, że nie mamy nic. Nawet ten płaszcz dostaliśmy od niego — odezwał się Rocannon, który widząc, skąd wiatr wieje, już przestał się martwić, że jego akcent może ich zdradzić.

— Jesteśmy biednymi myśliwymi. Nie stać nas na robienie prezentów — oświadczył Karmik, ten który miał łagodniejszy głos i wyglądał bardziej rozsądnie i cywilizowanie od Piaia i trzeciego myśliwca.

— Nie mamy nic — powtórzył Rocannon. — Nie mamy czym zapłacić za wiosłowanie. Zostawcie nas tutaj.

Yahan zaczął bardziej obszernie wyjaśniać to po raz trzeci, ale Karmik mu przerwał.

— Nosisz na szyi woreczek, obcy człowieku. Co w nim jest?

— Moja dusza — szybko odpowiedział Rocannon. Wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy, nawet Yahan. Ale blef w tej sytuacji nie był najlepszym wyjściem. Myśliwi szybko otrząsnęli się z zaskoczenia. Karmik położył rękę na swoim myśliwskim nożu z klingą w kształcie liścia i przysunął się bliżej; Piai i drugi łowca zrobili to samo.

— Byliście w twierdzy Zgamy — stwierdził Karmik. — W wiosce Timash wiele o tym mówiono. Podobno nagi człowiek stał w płonącym ogniu, a potem spalił Zgamę ogniem wylatującym z jego białej laski i wyszedł z twierdzy. Na szyi miał wielki klejnot na złotym łańcuchu. W wiosce mówili, że to były czary, ale ja myślę, że to głupcy. Może ciebie nie można zranić, ale jego…

Z szybkością błyskawicy złapał Yahana za długie włosy, przegiął mu głowę do tyłu i przyłożył mu nóż do gardła. — Chłopcze, powiedz temu obcemu, z którym podróżujesz, żeby zapłacił za nocleg, dobrze?

Wszyscy zamarli w bezruchu. Czerwony poblask na wodzie przygasł, Wielka Gwiazda jaśniała na niebie, zimny wiatr owiewał im twarze.

— Nie skrzywdzimy go — warknął Piai. Jego dziką twarz wykrzywiał skurcz. — Zrobimy tak, jak powiedziałem, przewieziemy was przez cieśninę — tylko nam zapłaćcie. Nie mówiliście, że macie złoto, żeby nam zapłacić. Mówiliście, że straciliście całe swoje złoto. Spaliście pod moim dachem. Dajcie nam tę rzecz, a przewieziemy was na drugą stronę.

— Dostaniecie to… po tamtej stronie — oświadczył Rocannon, wskazując na drugi brzeg.

— Nie — powiedział Karmik.

Yahan, bezsilny w jego rękach, nie mógł nawet drgnąć; Rocannon widział pulsującą arterię na jego szyi i przyłożone do niej ostrze noża.

— Po tamtej stronie — powtórzył z posępnym uporem i potrząsnął swoją białą laską próbując zrobić na nich wrażenie. — Przewieziecie nas na drugą stronę; dam wam tę rzecz. Obiecuję wam to. Ale jeśli go skrzywdzicie, umrzecie tutaj, zaraz. Obiecuję wam to!

— Karmik, on jest pedan — mruknął Piai. — Rób, co ci mówi. Mieszkali ze mną pod jednym dachem, przez dwie noce. Puść chłopca. On ci obiecuje to, czego chciałeś.

Karmik popatrzył spode łba na niego, na Rocannona i w końcu powiedział:

— Wyrzuć tę białą laskę. Wtedy was przewieziemy.

— Najpierw puść chłopca — odparł Rocannon, a kiedy Karmik uwolnił Yahana, roześmiał mu się w twarz, zakręcił kijem nad głową i cisnął go z rozmachem w wodę.

Z obnażonymi nożami w dłoniach trzej myśliwi poprowadzili podróżnych do łódki; musieli brnąć przez wodę, po śliskich skałach, na których łamały się drobne, czerwone fale. Piai i trzeci myśliwiec wiosłował, a Karmik usiadł między pasażerami z nożem w ręku.

— Czy oddasz im klejnot? — szepnął Yahan we Wspólnej Mowie, której ci Olgyiorowie z półwyspu nie znali. Rocannon kiwnął głową.

Yahan szeptał dalej, ochryple, trzęsącym się głosem:

— Skacz i płyń do brzegu, panie, kiedy się zbliżymy. Zabierz

klejnot. Puszczą mnie wolno, jak zobaczą…

— Poderżną ci gardło. Szsz.

— Oni rzucają czary, Karmik — odezwał się trzeci mężczyzna. — Chcą zatopić łódź…

— Wiosłuj, ty śmierdzący rybi flaku. A wy siedźcie cicho, bo poderżnę gardło chłopcu.

Rocannon siedział cierpliwie na ławce wioślarza, patrząc na wodę, która powlekała się mglistą szarością w miarę, jak oba odległe brzegi ogarniała noc. Noże myśliwych nie mogły go zranić, ale nie zdołałby im przeszkodzić, gdyby chcieli zabić Yahana. Mógł z łatwością uciec wpław, ale Yahan nie umiał pływać. Nie było wyjścia. Przynajmniej dostaną się na drugi brzeg i zapłata nie pójdzie na marne.

Zamglone kontury wzgórz na południowym brzegu z wolna przybliżały się i nabrały ostrości. Niewyraźne szare cienie przesunęły się na zachód, a na szarym niebie pojawiło się kilka gwiazd; światło odległych słońc Wielkiej Gwiazdy zdominowało nawet blask księżyca Heliki, którego teraz ubywało. Słyszeli już szum fal rozbijających się o brzeg.

— Przestańcie wiosłować — rozkazał Karmik i odwrócił się do Rocannona. — Daj mi teraz tę rzecz.

— Bliżej do brzegu — odparł beznamiętnie Rocannon. — Poradzę sobie od tego miejsca, panie — wymamrotał Yahan drżącym głosem. — Z brzegu wystaje sitowie…

Łódka przesunęła się do przodu o kilka uderzeń wioseł i zatrzymała się ponownie.

— Skacz, kiedy ja skoczę — rzucił Rocannon w stronę Yahana, a sam powoli podniósł się i stanął na ławce. Rozpiął od góry kombinezon, który nosił tak długo, jednym szarpnięciem zerwał z szyi skórzany rzemień, cisnął na dno łodzi woreczek zawierający szafir na złotym łańcuchu, zapiął kombinezon i w tej samej chwili skoczył.

W parę minut później stał obok Yahana na skalistym brzegu i patrzył, jak czerniejąca na wodzie plama łodzi maleje w szarym półmroku.

— Ażebyście zgnili, żeby robaki zżerały wam wnętrzności, żeby kości zmieniły wam się w próchno! — zawołał Yahan i rozpłakał się.

Najadł się porządnie strachu, ale nie tylko reakcja po gwałtownych wzruszeniach była powodem jego załamania. Widział coś, co nie mieściło mu się w głowie — widział, jak „książę” składa w okupie klejnot wartości królestwa, żeby uratować życie zwykłego Olgyiora, jego życie — i ta świadomość zwaliła się na niego ciężarem nie do zniesienia.

— Nie miałeś racji, panie! — wykrzyknął. — Nie miałeś racji!

— Kupując twoje życie za kawałek kamienia? Przestań, Yahanie,

weź się w garść. Zamarzniesz na śmierć, jeśli nie rozpalimy ognia. Masz swoje krzesiwo? Tam w zaroślach jest dużo gałęzi. Rusz się!

Udało im się rozpalić ognisko na brzegu, a potem dorzucali do ognia tak długo, aż odpędzili ciemność i przejmujący chłód. Rocannon oddał Yahanowi futrzany płaszcz myśliwych i młodzieniec zawinąwszy się weń wkrótce zasnął. Rocannon siedział pilnując ognia. Nie chciało mu się spać. Czuł się nieswojo. Martwił się, że musiał oddać naszyjnik, nie z powodu jego wielkiej wartości, ale dlatego, że niegdyś dał go Semley, której piękność, nie dająca się zapomnieć, przywiodła go po wielu latach na tę planetę; dlatego, że go dostał od Haldre, która — jak wiedział — miała nadzieję przekupić tym los, odwrócić cień przedwczesnej śmierci ciążący na jej synu. Może wraz ze śmiercią Mogiena miała zniknąć również ta rzecz, tak niebezpiecznie piękna. I może, co najgorsze, Mogien nigdy się nie dowie o utracie naszyjnika, ponieważ nigdy się nie spotkają; może Mogien już nie żyje… Odsunął od siebie tę myśl. Mogien szukał jego i Yahana; na tym musiał się oprzeć. Będzie ich szukał na szlaku prowadzącym na południe. Cóż bowiem mogli zrobić innego, niż iść na południe, aby znaleźć tam wroga lub — jeśli wszystkie jego przypuszczenia były błędne — nie znaleźć tam wroga. W każdym razie, z Mogienem czy bez Mogiena, on pójdzie na południe.

Wyruszyli o świcie. W szarym brzasku wspięli się na nadbrzeżne wzgórza, a kiedy dotarli na szczyt, w blaskach wschodzącego słońca rozpostarł się przed nimi aż po horyzont pusty, rozległy płaskowyż, pokreślony przez długie cienie padające od zarośli. Okazało się, że Piai miał rację, kiedy mówił, że na południe od cieśniny nie ma ludzi. Przynajmniej Mogien będzie mógł ich dostrzec z odległości wielu mil. Ruszyli więc na południe.

Było zimno, lecz pogodnie. Yahan nałożył na siebie wszystkie ubrania, jakie mieli, a Rocannon — swój kombinezon. Co jakiś czas przechodzili przez strumyki wpadające do zatoki, dostatecznie często, żeby nie groziło im pragnienie. Szli przez cały dzień i przez dzień następny, żywiąc się korzeniami rośliny zwanej peya. Schwytali także kilka stworzeń podobnych do królików z małymi skrzydełkami, które poruszały się na przemian podskakując i podlatując w powietrzu. Yahan strącał je kijem na ziemię i piekł na ogniu z gałązek, który rozniecał swoim krzesiwem. Nie widzieli żadnych innych żywych stworzeń. Płaska, trawiasta, bezdrzewna równina rozpościerała się szeroko pod czystym niebem, pusta i milcząca.

Przytłoczeni jej bezmiarem dwaj wędrowcy siedzieli przy ogniu w zapadającym z wolna zmierzchu, nie mówiąc nic. Gdzieś z góry, z wysoka dobiegał ich w regularnych odstępach czasu odległy krzyk, niczym powolne pulsowanie ogromnego serca nocy. To były barilory, wielcy, dzicy kuzyni udomowionych herilorów, odbywający wiosenną

migrację na północ. Od czasu do czasu lecące stada przesłaniały gwiazdy na szerokość dłoni, ale za każdym razem rozlegał się tylko pojedynczy krzyk, jak uderzenie pulsu.

— Z której gwiazdy przybyłeś, Olhorze? — zapytał cicho Yahan, wpatrując się w niebo.

— Urodziłem się na planecie zwanej Hain przez ludzi mojej matki, a Devenant przez ludzi mojego ojca. Nazywacie jej słońce Zimową Koroną. Ale opuściłem ją dawno temu…

— A więc wy, Władcy Gwiazd, nie jesteście jednym plemieniem?

— Są wśród nas setki plemion. Z urodzenia należę całkowicie do rasy mojej matki; mój ojciec, który był Ziemianinem, zaadoptował mnie. Taki jest zwyczaj, kiedy pobierają się ludzie różnych ras, którzy nie mogą mieć dzieci. To tak, jakby ktoś z twego plemienia poślubił kobietę Fiia.

— To się nie zdarza — oświadczył sztywno Yahan.

— Wiem. Ale Ziemianie i Devenantanie są tak do siebie podobni, jak ty i ja. Niewiele jest światów zamieszkanych przez tak wiele różnych ras jak wasz. Najczęściej na planecie żyje jedna rasa, bardzo podobna do nas, a prócz niej są tylko zwierzęta pozbawione mowy.

— Widziałeś wiele światów — powiedział z rozmarzeniem chłopiec, próbując to sobie wyobrazić.

— Zbyt wiele — odparł starszy mężczyzna. — Według waszej rachuby mam czterdzieści lat, ale urodziłem się sto czterdzieści lat temu. Nie przeżyłem tych stu lat; straciłem je podróżując z jednego świata na drugi. Gdybym wrócił na Devenant albo na Ziemię, mężczyźni i kobiety, których znałem, nie żyliby od stu lat. Mogę tylko iść dalej lub zatrzymać się gdzieś… Co to jest?

Świadomość czyjejś obecności wydawała się uciszać nawet szept wiatru pośród traw. Coś poruszyło się na samej granicy światła — wielki cień, plama czerni. Rocannon ukląkł w napięciu; Yahan odskoczył od ogniska.

Nic się nie poruszyło. Wiatr nadal szeptał pośród traw w słabej poświacie gwiazd. Nad horyzontem na czystym niebie świeciły gwiazdy, nie przesłonięte żadnym cieniem. Dwaj wędrowcy wrócili do ogniska.

— Co to było? — zapytał Rocannon. Yahan potrząsnął głową.

— Piai mówił… o czymś…

Spali po kolei, zmieniając się na straży. Kiedy nadszedł długi świt, byli bardzo zmęczeni. Szukali jakichś śladów w miejscu, gdzie — jak im się wydawało — stał w nocy cień, ale świeża trawa była nietknięta. Zadeptali więc ogień, kierując się na południe według słońca.

Spodziewali się, że wkrótce znowu natkną się na strumień, ale się przeliczyli. Albo strumienie płynęły tutaj z północy na południe, albo po prostu ich zabrakło. W miarę, jak posuwali się naprzód, równina

czy też pampa, pozornie niezmienna, stawała się coraz bardziej sucha, coraz bardziej szara. Tego ranka nie widzieli już krzaków peya, a tylko szorstką, szarozieloną trawę ciągnącą się dalej i dalej, aż po horyzont.

W południe Rocannon przystanął.

— To nie ma sensu, Yahanie — powiedział.

Yahan poskrobał się po karku, rozejrzał się dookoła, a potem zwrócił ku niemu swoją młodą, mizerną, zmęczoną twarz.

— Jeśli chcesz iść dalej, panie, pójdę z tobą.

— Nie poradzimy sobie beż wody i żywności. Wracajmy.

Ukradniemy łódź na wybrzeżu i wrócimy do Hallan. To nie ma sensu. Chodź.

Odwrócił się i ruszył na północ. Yahan poszedł za nim. Czyste niebo jarzyło się błękitem, odwieczny wiatr szeptał wśród bezkresnych traw. Rocannon przygarbiwszy plecy szedł naprzód uparcie, krok po kroku, z każdym krokiem pokonując ogarniające go zmęczenie i zniechęcenie. Nawet się nie odwrócił, kiedy Yahan nagle stanął.

— Wiatrogony!

Dopiero wtedy podniósł wzrok i ujrzał je, trzy wielkie gryfy, zataczające koła nad ich głowami z pazurami wysuniętymi do lądowania, czarne na tle błękitnego, rozpalonego nieba.

Część druga
WĘDROWIEC

VI

Mogien zeskoczył ze swego wiatrogonu, zanim ten zdążył dotknąć łapami ziemi. Młody książę podbiegł do Rocannona i uściskał go jak brata. W jego głosie dźwięczała radość i ulga.

— Na lancę Hendina, Władco Gwiazd! Dlaczego wędrujesz nago przez tę pustynię? W jaki sposób dotarłeś tak daleko na południe, skoro idziesz na północ? Czy jesteś… — napotkał spojrzenie Yahana i urwał.

— Yahan jest moim sługą — oznajmił Rocannon. Mogien nic nie odpowiedział. Widać było, że walczy ze sobą, po chwili jednak zaczął się uśmiechać, a wreszcie wybuchnął głośnym śmiechem.

— Czy po to nauczyłeś się naszych zwyczajów, żeby kraść mi służących, Rokananie? A kto tobie ukradł ubranie?

— Olhor ma podwójną skórę — odezwał się Kyo zbliżając się swoim lekkim krokiem. — Witaj, Władco Ognia! Poprzedniej nocy słyszałem cię w swoich myślach.

— Kyo zaprowadził nas do ciebie — potwierdził Mogien. — Odkąd postawiliśmy stopę na wybrzeżu Fiern dziesięć dni temu, nie wyrzekł ani słowa, ale zeszłej nocy na brzegu zatoki, kiedy wszedł Lioka, Kyo wysłuchał blasku księżyca i powiedział: „Tam!" Kiedy się rozwidniło, polecieliśmy w tym kierunku i tak was znaleźliśmy.

— Gdzie jest Iot? — zapytał Rocannon widząc tylko Raho trzymającego uzdy wiatrogonów.

Mogien nie zmieniając wyrazu twarzy wyjaśnił:

— Nie żyje. Olgyiorowie napadli na nas we mgle na plaży. Nie mieli innej broni prócz kamieni, ale było ich wielu. Iot został zabity, a ciebie straciliśmy z oczu. Kryliśmy się w jaskini wśród nadbrzeżnych skał, dopóki wiatrogony nie mogły znowu latać. Raho poszedł na zwiady i usłyszał opowieść o obcym, który stał w ogniu i nie spalił się, i nosił błękitny klejnot. A więc kiedy wiatrogony mogły już latać, polecieliśmy do twierdzy Zgamy, a nie znalazłszy tam ciebie podpaliliśmy dach jego plugawego domu i rozpędziliśmy jego stada, a potem zaczęliśmy cię szukać wzdłuż brzegów cieśniny.

— Ten klejnot, Mogienie — przerwał mu Rocannon — naszyjnik Oko Morza… musiałem go oddać jako okup za nasze życie. Straciłem go.

— Klejnot? — powtórzył Mogien przyglądając się mu uważnie. — Naszyjnik Semley? Oddałeś go? Nie po to, żeby ratować swoje życie — któż mógłby cię zranić? Kupiłeś za niego bezwartościowe życie tego pół-człowieka! Tanio cenisz moje dziedzictwo! Masz, weź to; tego się nie traci tak łatwo! — podrzucił coś w powietrze ze śmiechem, złapał i cisnął Rocannonowi, który patrzył w osłupieniu na złoty łańcuch i

klejnot-płonący błękitnym blaskiem w jego dłoni.

— Wczoraj napotkaliśmy na drugim brzegu zatoki dwóch Olgyiorów i trzeciego martwego. Zatrzymaliśmy się, żeby ich zapytać, czy nie widzieli nagiego człowieka wędrującego ze swoim sługą nicponiem. Jeden z nich upadł przed nami na twarz i opowiedział nam wszystko, więc zabrałem drugiemu klejnot, a wraz z nim życie, ponieważ walczył. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że dostałeś się na drugi brzeg; a Kyo doprowadził nas prosto do ciebie. Ale dlaczego szliście na północ, Rokananie?

— Żeby… żeby znaleźć wodę.

— Jest strumień na zachodzie — wtrącił Raho. — Widzieliśmy go tuż przedtem, zanim was dostrzegliśmy. — Ruszajmy więc. Yahan i ja nie piliśmy od zeszłej nocy. Dosiedli wiatrogonów, Yahan razem z Raho, Kyo na swoim dawnym miejscu za Rocannon~m. Falujące na wietrze trawy umknęły spod nich, kiedy wzbili się ku słońcu lecąc na południowy zachód nad rozległą równiną.

Rozbili obóz nad strumieniem, który płynął, czysty i powolny, wśród bezkwietnych traw. Rocannon nareszcie mógł zdjąć swój kombinezon i włożyć na siebie zapasową koszulę i płaszcz Mogiena. Zjedli twardy chleb z Tolen, korzenie peya i cztery skoczki ustrzelone przez Yahana, który cieszył się jak dziecko, że znowu dostał łuk w ręce. Tutaj, na płaskowyżu, zwierzęta same ustawiały się do strzału i pozwalały się wiatrogonom chwytać w locie nie okazując strachu. Nawet małe stworzonka zwane kilar, zielone, żółte i fioletowe, przypominające owady swoimi przezroczystymi, brzęczącymi skrzydełkami, choć w rzeczywistości były maleńkimi torbaczami, tutaj zbliżały się do ludzi ciekawie i bez lęku unosiły się nad czyjąś głową, przyglądając się wszystkiemu okrągłymi, złotymi oczami; to znów przysiadały na czyjejś dłoni lub kolanie, żeby po chwili znowu wzbić się w powietrze. Wydawało się, że cała ta niezmierzona kraina nie zna człowieka. Mogien opowiadał, że kiedy lecieli nad płaskowyżem, nie widzieli ani ludzi, ani zwierząt.

— Zeszłej nocy przy ognisku zdawało nam się, że widzieliśmy jakieś stworzenie — powiedział Rocannon z wahaniem, jako że sam nie był pewien, co właściwie widzieli.

Kyo obejrzał się na niego od ogniska; Mogien, rozpinający swój pas z dwoma mieczami, nie powiedział nic.

O pierwszym brzasku zwinęli obóz i przez cały dzień pędzili na wietrze pomiędzy ziemią a słońcem. Lot nad równiną był równie przyjemny jak ciężka była poprzednia wędrówka. W ten sam sposób minął im następny dzień, a pod wieczór, kiedy rozglądali się już za jednym z tych małych strumieni, które z rzadka przecinały krainę traw, Yahan obrócił się naraz na siodle i zawołał:

— Olhorze! Spójrz przed siebie!

Hen, daleko na południu niewielka zmarszczka szarości przecinała prosty horyzont.

— Góry! — krzyknął Rocannon i poczuł, jak za jego plecami Kyo gwałtownie wciągnął powietrze, jakby przestraszony.

Następnego dnia płaska preria pod nimi stopniowo uniosła się i pofałdowała, tworząc niskie pagórki i hałdy — ogromne fale na nieruchomym morzu. Wysoko spiętrzone chmury płynęły wciąż na północ ponad ich głowami, a daleko przed sobą widzieli poszarpane, ciemne, wyniosłe zbocza. Przed wieczorem zarysy gór stały się wyraźne; chociaż równinę zakryła ciemność, odległe szczyty na południu jeszcze przez długi czas świeciły jasnym, złotym blaskiem. Kiedy wreszcie znikły, wychynął zza nich księżyc Lioka i pożeglował spiesznie po niebie niby wielka, żółta gwiazda. Feni i Feli wyszły wcześniej i poruszały się bardziej statecznie ze wschodu na zachód. Ostatni z czwórki wszedł Heliki i ścigał pozostałe, przybierając i zmniejszając się w półgodzinnych cyklach. Rocannon leżał na plecach, obserwując spomiędzy wysokich, ciemnych łodyg trawy powolny, skomplikowany, świetlisty taniec księżyców.

Następnego ranka, kiedy razem z Kyo mieli wsiąść na szarego pasiastego wiatrogona, stojący przy pysku zwierzęcia Yahan ostrzegł go:

— Jedź na nim dzisiaj ostrożnie, Olhorze.

Wiatrogon zgodził się z nim przeciągłym, kaszlącym warczeniem, a wierzchowiec Mogiena zawtórował mu jak echo.

— Co im dolega?

— Głód! — odparł Raho, mocno ściągając cugle swojego białego wierzchowca. — Najadły się, kiedy znaleźliśmy herilory Zgamy, ale odkąd lecimy nad tą równiną, nie dostały porządnego posiłku, a te latające skoczki wystarczą im ledwie na jeden kęs. Ściągnij porządnie pasem swój płaszcz, książę Olhorze — jeśli twój wiatrogon dosięgnie go zębami, skończysz w jego żołądku.

Raho, którego brązowa skóra i włosy świadczyły o tym, że jego babką musiał się zainteresować jakiś szlachetnie urodzony Angya, był bardziej szorstki w obejściu i skłonny do kpin od większości średnich ludzi. Mogien nigdy go nie karcił, a sam Raho mimo ostrego języka nie krył swego żarliwego przywiązania do młodego księcia. Był to człowiek w średnim wieku; widać było, że uważa całą tę wyprawę za głupotę, i równie widoczne było, że nigdy nie przyszłoby mu do głowy opuścić swojego księcia w niebezpieczeństwie.

Yahan rzucił wodze Rocannonowi i cofnął się pośpiesznie, kiedy uwolniony wiatrogon skoczył w powietrze jak puszczona sprężyna. Przez cały dzień trzy wiatrogony ostro, niezmordowanie pędziły ku myśliwskim terenom, które wyczuwały czy też zwęszyły na południu, a północny wiatr popychał je od tyłu. Zalesione wzgórza, coraz wyższe

i ciemniejsze, wznosiły się ku płynnym zarysom gór. Na równinie rosły teraz drzewa, tworzące kępy i zagajniki, jak wyspy na falującym morzu traw. Zagajniki przechodziły w las, przerywany gdzieniegdzie zielonym pasem trawy. Przed zmierzchem wylądowali przy małym, zarośniętym turzycą jeziorku pośród wzgórz. Pracując sprawnie i z pośpiechem, średni ludzie zdjęli z wiatrogonów wszystkie pakunki i uprząż, odstąpili i puścili je wolno. Trzy bestie z rykiem wystrzeliły w górę, bijąc wielkimi skrzydłami, rozleciały się nad wzgórzami w trzech różnych kierunkach i zniknęły.

— Wrócą, kiedy się najedzą — wyjaśnił Yahan Rocannonowi — albo kiedy książę Mogien na nie zagwiżdże.

— Czasami przyprowadzają ze sobą kolegów, dzikie wiatrogony — dorzucił Raho, zawsze gotów zakpić z nowicjusza.

Mogien i jego ludzie rozeszli się, żeby zapolować na latające skoczki czy też w innych celach. Rocannon wyciągnął z ziemi kilka grubych korzeni peya, zawinął je we własne liście i wsadził do gorącego popiołu, żeby się upiekły. Był ekspertem od wykorzystywania tego, co dana okolica może ofiarować, i uwielbiał to; owe długie loty od świtu do zmierzchu, ciągły, z ledwością zaspokajany głód i noce przesypiane na gołej ziemi w podmuchach wiosennego wiatru pozbawiły go nadmiaru ciała, uczyniły wrażliwym i otwartym na wszelkie doznania. Podniósłszy się zobaczył, że Kyo zawędrował nad sam brzeg jeziora i stał tam — wątła figurka, nie wyższa od sitowia, które zarastało brzegi i szeroki pas wody. Mały Fian patrzył na góry, piętrzące się szarym masywem na południu, które gromadziły wokół swych wierzchołków wszystkie barwy i całą ciszę nieba. Rocannon podchodząc do niego ujrzał w jego oczach strach pomieszany z tęsknotą. Nie odwracając się Kyo powiedział cichym, niepewnym głosem:

— Olhorze, znowu masz swój klejnot.

— Wciąż próbuję się go pozbyć — rzucił Rocapnon z uśmiechem.

— Tam w górze — mówił dalej Fian — będziesz musiał ofiarować więcej niż tylko złoto i kamienie… Co tam utracisz, Olhorze, tam w górze, gdzie jest szaro i zimno? Przez ogień w mróz…

Rocannon słyszał go i widział, ale zauważył, że jego usta się nie poruszały. Przeniknął go chłód i pospiesznie zamknął swój umysł, cofając się przed tym niesamowitym uczuciem przenikającym w jego myśli, w jego osobowość. Po jakiejś minucie Kyo odwrócił się, spokojny i uśmiechnięty jak zwykle, i odezwał się swoim zwykłym głosem:

— Za tymi wzgórzami i lasami, w zielonych dolinach mieszkają Fiia. Moi ludzie chętnie osiedlają się w dolinach, nawet tutaj; lubią blask słońca i zieleń łąk. Znajdziemy ich wioski za kilka dni.

Była to radosna wiadomość dla pozostałych, kiedy Rocannon im

ją powtórzył.

— Myślałem już, że nie znajdziemy tu żadnych stworzeń obdarzonych mową. Taki piękny kraj, a taki pusty — stwierdził Raho.

— Nie zawsze był pusty — sprzeciwił się Mogien, obserwując parę kilarów o ametystowych skrzydełkach, tańczących jak ważki nad powierzchnią jeziora. — Moi ludzie przemierzali go dawno temu, w czasach, kiedy nie było jeszcze bohaterów, zanim zbudowano Hallan i wyniosły Oynhall, zanim Hendin zadał swój cios i Kirfiel zginął na wzgórzu Orren. Przybyliśmy z południa w łodziach o smoczych głowach i znaleźliśmy w Angien dziki lud, kryjący się po lasach i w nadmorskich jaskiniach, lud o białych twarzach. Znasz tę pieśń, Yahanie, Pieśń Orgohien:

> Jechali na wietrze,
> kroczyli po ziemi,
> płynęli przez morze,
> ku gwieździe Brehen,
> na ścieżce Lioki…

— Ścieżka Lioki prowadzi z południa na północ. A pieśń opowiada o tym, jak my, Angyarowie, walczyliśmy i pokonaliśmy dzikich myśliwców, Olgyiorów, jedynych z naszej rasy w Angien; ponieważ wszyscy jesteśmy jedną rasą, Liuarami. Ale pieśń nie wspomina o tych górach. To stara pieśń; być może początek został zapomniany. A może moi ludzie pochodzą z tych wzgórz. To dobra ziemia — lasy do polowania i łąki do wypasania stad, i wzgórza, żeby na nich budować fortece. A jednak wydaje się, że teraz nikt tu nie mieszka…

Yahan nie grał na swojej srebrnostrunnej lutni tej nocy; wszyscy spali niespokojnie, może dlatego, że wiatrogony odleciały, a wśród wzgórz panowała tak martwa cisza, jakby żadne stworzenie nie odważyło się poruszyć w ciemności.

Następnego dnia, zgodziwszy się, że ich obóz znajdował się w zbyt wilgotnym miejscu, ruszyli bez pośpiechu w drogę, zatrzymując się często, żeby zapolować i zebrać świeże zioła. O zmierzchu dotarli do pagórka, którego wierzchołek był płaski i zapadnięty, jak gdyby pod ziemią spoczywały fundamenty zwalonego budynku. Nic nie pozostało, ale można było się domyślić, gdzie niegdyś — w tych czasach tak odległych, że żadna legenda o nich nie wspominała — znajdowało się lądowisko małej fortecy. Rozbili tu obóz, żeby wiatrogony mogły łatwo ich znaleźć, kiedy powrócą.

Późną nocą Rocannon przebudził się i usiadł. Świecił tylko jeden księżyc Lioka, a ogień wygasł. Nie wystawiali żadnej warty; a jednak Mogien stał jakieś piętnaście stóp dalej — nieruchoma, wysoka

sylwetka, ledwie widoczna w świetle gwiazd. Rocannon przyglądał mu się sennie, zastanawiając się, dlaczego płaszcz sprawia, że Mogien wydaje się taki wysoki i wąski w ramionach. Coś tu było nie w porządku. Angyarski płaszcz rozszerzał się w górze jak dach pagody, a poza tym Mogien nawet bez płaszcza był postawny i barczysty. Dlaczego tam stoi, taki wysoki, cienki i zgarbiony?

Postać powoli odwróciła twarz. To nie była twarz Mogiena.

— Kto to?! — zawołał Rocannon zrywając się z ziemi. W martwej ciszy jego głos zadźwięczał głucho.

Raho usiadł, rozejrzał się, złapał swój łuk i zaczął gramolić się na nogi. Za wysoką sylwetką coś się lekko poruszyło: druga taka sama. Wszędzie wokół nich, wśród porosłych trawą ruin, stały w świetle gwiazd wysokie, chude milczące postacie, zakutane w płaszcze, z pochylonymi głowami. Obok wystygłego ogniska stał tylko on i Raho.

— Książę Mogienie! — krzyknął Raho. Nie było odpowiedzi.

— Gdzie jest Mogien? Kim jesteście? Odpowiadajcie… Nie odezwali się, tylko zaczęli powoli przesuwać się do przodu. Raho wypuścił strzałę. Nadal nie wydali z siebie żadnego dźwięku, ale nagle rozpostarli swoje płaszcze niesamowicie szeroko, zamiatając nimi po ziemi, i zaatakowali wszyscy razem. Nadbiegali w wielkich, powolnych susach. Rocannon walcząc z nimi walczył jednocześnie, żeby otrząsnąć się ze snu — to musiał być sen: ta cisza, te powolne ruchy, to wszystko było jakieś nierealne. Nawet nie czuł ich ciosów. Ale przecież miał na sobie swój kombinezon. Słyszał, że Raho krzyczy w desperacji: — Mogienie!

Atakujący przygnietli Rocannona do ziemi całą swoją liczbą i ciężarem, a zanim zdołał się wyswobodzić, został uniesiony w powietrze głową w dół; towarzyszył temu kołyszący, przyprawiający o mdłości ruch. Wykręcając się, żeby uwolnić się z uścisku trzymających go rąk, ujrzał w świetle gwiazd wzgórza i lasy przesuwające się daleko w dole. Poczuł zawrót głowy i wczepił się obiema rękami w chude ramiona stworzeń, które go porwały. Otaczali go zewsząd, ich dłonie podtrzymywały go, powietrze wypełniał łopot czarnych skrzydeł.

To trwało bez końca; co jakiś czas Rocannon ponawiał wysiłki, żeby przebudzić się z tego monotonnego koszmaru strachu, cichych, syczących głosów, łopotania wielkich skrzydeł, z każdym uderzeniem unoszących go coraz dalej i dalej. Potem lot przeszedł nieoczekiwanie w długi, szybujący ześlizg. Pojaśniały na wschodzie horyzont przemknął obok z przerażającą szybkością, ziemia przechyliła się pod Rocannonem, niezliczone silne, miękkie dłonie zwolniły swój uścisk i Rocannon upadł. Nic mu się nie stało, ale był zbyt oszołomiony i obolały, żeby się podnieść, leżał więc i rozglądał się dookoła.

Pod sobą czuł chodnik z płaskich, wypolerowanych płyt. Z prawej i z lewej wznosiły się ściany, osrebrzone brzaskiem, wysokie, proste i

gładkie, jak wykute z metalu. Z tyłu wznosiła się ku niebu potężna budowla, a patrząc przed siebie, przez bramę pozbawioną szczytu, widział ulicę — idealnie równy rząd srebrzystych, identycznych domów bez okien, czysta, geometryczna perspektywa jaśniejąca w czystym świetle poranka. To było miasto, nie wioska z epoki kamiennej ani twierdza z epoki brązu, ale wielkie miasto, surowe i majestatyczne, potężne i doskonałe, produkt wysoko rozwiniętej technologii. Rocannon usiadł, wciąż jeszcze czując zawrót głowy.

W miarę, jak się rozjaśniało, dostrzegał w mroku dziedzińca jakieś kształty, jakby wielkie toboły; koniec jednego z nich połyskiwał żółtawo. Ze wstrząsem, który przełamał jego trans, Rocannon rozpoznał ciemną twarz pod grzywą żółtych włosów. Oczy Mogiena były otwarte, wpatrywały się w niebo bez mrugnięcia.

Wszyscy jego czterej towarzysze wyglądali tak samo, sztywni, z otwartymi ustami. Twarz Raho była szkaradnie wykrzywiona. Nawet Kyo, który w swojej kruchości wydawał się tak odporny, leżał nieruchomo, a w jego wielkich oczach odbijało się blade niebo.

A jednak oddychali, powoli, bezgłośnie, w parosekundowych odstępach czasu; Rocannon przyłożył ucho do piersi Mogiena i usłyszał słabe, powolne uderzenia serca, jakby dochodzące z wielkiej odległości.

Szum powietrza za plecami sprawił, że instynktownie przypadł do ziemi i zamarł w takim samym bezruchu, jak sparaliżowane ciała dookoła. Jakieś ręce chwyciły go za nogi i ramiona. Przewrócono go na plecy i ujrzał pochyloną nad sobą twarz: długą, wąską twarz, mroczną i piękną. Ciemna głowa pozbawiona była włosów i brwi. Spod szerokich, bezrzęsych powiek spoglądały oczy z czystego złota. Małe, delikatnie rzeźbione usta były zamknięte. Miękkie, silne dłonie ujęły jego szczękę i nacisnęły, przemocą otwierając mu usta. Następna wysoka sylwetka pochyliła się nad nim; po chwili kaszlał i krztusił się, kiedy wlewano mu do gardła jakiś płyn — ciepłą wodę, stęchłą i mdłą. Potem dwie wielkie istoty puściły go. Rocannon zerwał się na nogi, wypluł wodę i zawołał:

— Nic mi nie jest, zostawcie mnie!

Ale stworzenia już odwróciły się do niego plecami. Pochyliły się nad Yahanem i podczas gdy jedna naciskała mu szczękę, druga wlewała mu do ust wodę z długiej, srebrzystej wazy.

Były bardzo wysokie, bardzo chude, semi-humanoidalne; po ziemi, która nie była ich żywiołem, poruszały się powoli i dość niezgrabnie. Miały wąskie klatki piersiowe i muskularne ramiona; długie, miękkie skrzydła spływały im z pleców jak szare opończe. Nogi były cienkie i krótkie, a ciemne, szlachetne głowy wydawały się wychylać do przodu spod sterczących w górę zakończeń skrzydeł.

„Podręcznik” Rocannona spoczywał w głębi zasnutych mgłą wód

kanału, ale pamięć podsunęła mu natychmiast: *Istoty rozumne, Gatunek 4? (nie potwierdzony): Wielkie humanoidy, rzekomo zamieszkujące ogromne miasta (?)*. A jemu udało się potwierdzić te domysły, nawiązać pierwszy kontakt z nowym gatunkiem, nową, wysoce rozwiniętą kulturą, nowymi członkami Ligi. Czyste, precyzyjne piękno budynków, bezosobowe miłosierdzie dwóch wielkich, anielskich istot, które przyniosły wodę, ich królewskie milczenie — wszystko to budziło w nim grozę. Na żadnym ze światów nie spotkał podobnej rasy.

Zbliżył się do dwóch istot, które właśnie poiły wodą Kyo, i zwrócił się do nich uprzejmie, choć bez wiary w pomyślny rezultat:

— Czy znacie Wspólną Mowę, skrzydlaci panowie? Nie zwróciły na niego żadnej uwagi. Miękkim, cichym, jakby kalekim chodem zbliżyły się do Raho i wlały wodę w jego skrzywione usta. Woda wypłynęła i ściekła po policzku. Podeszły z kolei do Mogiena, a Rocannon ruszył za nimi.

— Wysłuchajcie mnie! — krzyknął i nagle zamarł w bezruchu; z mdlącym uczuciem zrozumiał, że owe wielkie, złote oczy były ślepe, że te istoty były ślepe i głuche. Nie odezwały się ani nie spojrzały na niego, tylko szły dalej, wysokie, smukłe, eteryczne, okryte miękkimi skrzydłami od stóp do głów. A potem drzwi cicho zamknęły się za nimi.

Rocannon, wziąwszy się w garść, podchodził po kolei do każdego z towarzyszy w nadziei, że antidotum na paraliż zaczyna działać. Nie było żadnej zmiany. Ponownie upewnił się, że u wszystkich słychać jeszcze powolny oddech i słabe bicie serca — u wszystkich prócz Raho. Pierś Raho nie poruszała się, jego żałośnie wykrzywiona twarz była zimna. Policzki nadal mokre od wody, którą poiły go obce stworzenia.

Rocannon czuł, jak obok pełnego zgrozy niedowierzania narasta w nim gniew. Dlaczego te anielskie istoty traktowały ich jak schwytane dzikie zwierzęta? Zostawił swoich przyjaciół i pospieszył przez dziedziniec i bramę pozbawioną szczytu na ulicę nieprawdopodobnego miasta.

Nic się nie poruszało. Wszystkie drzwi były zamknięte. Wysokie, pozbawione okien, srebrzyste fasady domów stały ciche w pierwszych promieniach słońca.

Rocannon naliczył sześć skrzyżowań, zanim dotarł do końca ulicy. Zamykał ją mur wysoki na pięć metrów, ciągnący się nieprzerwanie w obu kierunkach. Rocannon nawet nie próbował iść wzdłuż niego domyślając się, że nie było w nim żadnej bramy. Po co bramy istotom posiadającym skrzydła? Ulice zbiegały się promieniście w centrum miasta; Rocannon zawrócił do głównego gmachu, jedynego budynku w mieście wyróżniającego się kształtem i wielkością pośród

geometrycznych szeregów jednakowych, srebrzystych domów. Ponownie znalazł się na dziedzińcu. Wszystkie drzwi były zamknięte, czyste, puste ulice rozciągały się pod czystym, pustym niebem; jedynym dźwiękiem był odgłos jego kroków.

Załomotał do drzwi zamykających dziedziniec. Nie było odpowiedzi. Pchnął — i drzwi stanęły otworem. Wewnątrz panowała ciepła ciemność; odbierał szmery i szelesty, wrażenie wysokości i rozległej przestrzeni. Wysoka sylwetka chwiejnie przeszła obok, zatrzymała się i znieruchomiała. W smudze światła wpadającej przez otwarte drzwi Rocannon widział, jak żółte oczy skrzydlatej istoty zamknęły się i otworzyły powoli. To światło słońca je oślepiało. Tylko w nocy mogły spacerować po swoich srebrzystych ulicach i wylatywać na zewnątrz.

Patrząc w tę nieodgadnioną twarz Rocannon przybrał postawę, którą etnografowie nazywali NOK — Nawiązanie Ogólnego Kontaktu, dramatyczna, wyrażająca chęć porozumienia poza — i zapytał w języku galaktycznym:

— Kto jest waszym przywódcą?

Wypowiedziane sugestywnym tonem, pytanie to zazwyczaj wywoływało jakąś reakcję. Ale nie tym razem. Skrzydlaty spojrzał wprost na Rocannona z obojętnością gorszą od lekceważenia, zamrugał, zamknął oczy i najwyraźniej zasnął na stojąco.

Oczy Rocannona przyzwyczaiły się już do ciemności i w ciepłym mroku wypełniającym pomieszczenie dostrzegł teraz całe setki wyprostowanych, skrzydlatych sylwetek, stojących w rzędach, nieruchomo, z zamkniętymi oczami.

Przeszedł pomiędzy nimi, a one nawet nie drgnęły. Dawno temu, na swojej ojczystej planecie Davenant, zwiedzał jako dziecko muzeum pełne rzeźb i tak samo przechodził między nimi, podnosząc wzrok na nieruchome twarze starożytnych haińskich bogów.

Zbierając całą odwagę, podszedł do jednej z istot i dotknął jej — jego? — ramienia. Złociste oczy otwarły się, piękna twarz zwróciła się ku niemu, ciemna w gęstniejącym mroku.

— Hassa! — powiedział skrzydlaty, nachylił się szybko, dotknął ramienia ustami, potem cofnął się trzy kroki, ponownie otulił się skrzydłami jak peleryną i znieruchomiał z zamkniętymi oczami.

Rocannon zostawił go w spokoju i poszedł dalej, po omacku odnajdując drogę w ciepłym, miodowym półmroku zalegającym wielką salę. W głębi trafił na drugie drzwi, sięgające od podłogi aż do wysokiego stropu. Za drzwiami było nieco jaśniej, niewielkie otwory w dachu przepuszczały rozproszone, złociste światło. Ściany zakrzywiały się po obu stronach, tworząc w górze wąskie, łukowate sklepienie. Wyglądało to na korytarz okrążający środkowe pomieszczenie — serce całego miasta. Wewnętrzna ściana była

przepięknie udekorowana skomplikowanym deseniem z przeplatających się trójkątów i sześciokątów, sięgającym aż do sufitu. Rocannon poczuł nawrót zawodowego entuzjazmu. Ci ludzie byli wspaniałymi budowniczymi. Wszystkie powierzchnie w ogromnym gmachu były gładkie, wszystkie krawędzie precyzyjnie wykończone; koncepcja była olśniewająca, a wykonanie bezbłędne. Tylko wysoko rozwinięta kultura mogła tego dokonać. Ale nigdy dotąd nie spotkali inteligentnej rasy, której przedstawiciele zachowywali się tak obojętnie. Poza tym dlaczego właściwie sprowadzili tu Rocannona i jego przyjaciół? Czyżby z właściwą sobie milczącą arogancją ratowali wędrowców przed jakimś nocnym niebezpieczeństwem? A może inne rasy służyły im za niewolników? Ale w takim razie powinni byli zauważyć, że Rocannon okazał się odporny na ich paraliżujący środek, i jakoś zareagować. Być może w ogóle nie używali słów; jednakże Rocannon, mając przed oczami ten niewiarygodny pałac, skłonny był przypuszczać, iż zetknął się z inteligencją całkowicie wykraczającą poza zasięg ludzkiego rozumienia. Idąc dalej odnalazł w wewnętrznej ścianie toroidalnego korytarza trzecie drzwi, tak niskie, że musiał się pochylić. Skrzydlaci chyba wczołgiwali się tu na czworakach.

Pomieszczenie wypełniał ten sam ciepły, żółtawy, słodko pachnący mrok, zewsząd dobiegały jakieś szmery, wywoływane lekkimi poruszeniami wielu skrzydlatych ciał, i ciche mamrotanie wielu głosów. Wysoko w górze błyszczało złociste oko światła. Długa, spiralna, łagodnie nachylona rampa wspinała się ku niemu, wijąc się wokół okrągłych ścian. Tu i ówdzie na rampie widać było jakieś poruszenie, a dwukrotnie jakaś postać, wydająca się z dołu maleńka, rozkładała skrzydła i bezgłośnie przelatywała przez wielki cylinder wypełniony złocistym pyłem. Kiedy Rocannon zbliżył się do podnóża rampy, coś oderwało się od ściany w połowie jej wysokości i z suchym trzaskiem wylądowało na podłodze. Podszedł bliżej. To było ciało jednego ze Skrzydlatych. Chociaż czaszka roztrzaskała się przy upadku, nie było widać krwi. Ciało było drobne, z nie uformowanymi do końca skrzydłami.

Rocannon zacisnął zęby i zaczął się wspinać na rampę. Jakieś dziesięć metrów ponad ziemią natknął się na trójkątną niszę w ścianie. W niszy kuliło się dziewięciu Skrzydlatych, po trzech w każdym kącie — małe, drobne istotki z pomarszczonymi skrzydłami. Otaczali kręgiem jakąś wielką, bladą masę; Rocannon przyglądał się jej przez chwilę, zanim dostrzegł pysk i otwarte puste oczy. To był wiatrogon, żywy, lecz sparaliżowany. Małe, subtelnie wyrzeźbione usta dziewięciu Skrzydlatych pochylały się nad nim bezustannie i całowały, całowały…

Następny trzask zmącił ciszę. Rocannon zerknął na to w przelocie, kiedy wycofywał się pospiesznie, najciszej jak mógł. To było martwe,

wysuszone do cna ciało herilora.

Przemknął przez toroidalny, ozdobiony ornamentem korytarz, cichutko przekradł się pomiędzy śpiącymi postaciami w wielkiej sali i wyskoczył na dziedziniec. Dziedziniec był pusty. Białe, ukośne promienie słońca padały na gładkie płyty. Jego przyjaciele zniknęli. Skrzydlaci zawlekli ich do swego pałacu i oddali larwom, żeby wyssały z nich krew.

VII

Rocannon poczuł, że uginają się pod nim kolana. Usiadł na czerwonym, wypolerowanym chodniku i próbował opanować mdlący strach. Gorączkowo zastanawiał się, co robić. Co robić?! Musi wrócić do pałacu, musi ratować Mogiena, Yahana i Kyo. Na samą myśl o powrocie pomiędzy te wysmukłe, anielskie postacie, których szlachetne głowy zawierały mózgi zdegenerowane do poziomu owadów, zimny dreszcz przeszedł mu po plecach; ale musiał to zrobić. Tam byli jego przyjaciele, a on musiał ich ratować. Czy larwy i ich opiekunowie spali dostatecznie mocno? Czy nie rzucą się na niego? Zdusił w sobie wątpliwości. Najpierw jednak powinien sprawdzić, czy w otaczającym miasto murze nie ma jakiejś bramy. Od tego zależało wszystko. Nikt nie mógł się wspiąć na gładką, mierzącą piętnaście stóp ścianę.

Skrzydlaci dzielili się prawdopodobnie na trzy kasty, rozmyślał idąc cichą, idealnie pustą ulicą: opiekunowie larw w pałacu, budowniczy i myśliwi w zewnętrznych pomieszczeniach, a w tych domach — osobniki płodne, królowe matki składające jajka. Dwie istoty, które przyniosły wodę, były na pewno opiekunami, utrzymującymi sparaliżowane ofiary przy życiu, żeby larwy mogły wyssać z nich krew. Próbowały napoić martwego Raho. Już to samo świadczyło, że były bezrozumnymi zwierzętami. Jak to się stało, że tego nie zauważył? Wolał myśleć o nich jako o istotach obdarzonych, inteligencją, ponieważ miały tak bardzo ludzki, a nawet anielski wygląd. Odkryty Gatunek 4 (?) — pomyślał z furią pod adresem „Podręcznika". W tej samej chwili coś przebiegło pędem przez ulicę na najbliższym skrzyżowaniu — jakieś małe, brązowe stworzenie. W mylącej perspektywie identycznych fasad domów nie potrafił określić jego rozmiarów. To stworzenie wyraźnie tu nie pasowało. A więc w pięknym ulu zalęgły się pasożyty. Rocannon szybko i bez przeszkód, w kompletnej ciszy, dotarł do zewnętrznego muru i skierował się w lewo.

Kilka kroków przed nim, w załomie gładkiej, srebrzystej ściany, kuliło się brązowe zwierzątko. Na czworakach sięgało mu zaledwie do kolan. W przeciwieństwie do większości zwierzęcych gatunków na tej planecie nie miało skrzydeł. Wyglądało na przerażone, więc Rocannon obszedł je dookoła, nie chcąc go skrzywdzić, i ruszył dalej. W zasięgu wzroku w koliście biegnącym murze nie było żadnych otworów.

— Panie! — zawołał cichy głos, zdający się dochodzić znikąd. — Panie!

— Kyo! — krzyknął Rocannon, odwracając się gwałtownie. Jego głos odbił się od ścian i powrócił echem. Nic się nie poruszyło. Proste,

białe ściany, proste, czarne cienie. Cisza.

Małe brązowe zwierzątko skacząc zbliżało się ku niemu. — Panie! — zapiszczało. — Panie, o pójdź, pójdź. O pójdź, panie!

Rocannon wytrzeszczył oczy. Małe stworzonko przysiadło przed nim na sprężystych pośladkach. Dyszało, przyciskając małe, czarne rączki do futerka na piersi; niemal widać było, jak wali mu serce. Czarne, przerażone oczy spojrzały na Rocannona. Stworzonko powtórzyło drżącym głosem we Wspólnej Mowie:

— Panie…

Rocannon ukląkł. Myśli wirowały mu w głowie, kiedy przyglądał się temu stworzeniu; w końcu powiedział bardzo łagodnie:

— Nie wiem, jak mam cię nazywać.

— O pójdź — powtórzyło drżące małe stworzonko. — Panowie… panowie. Pójdź!

— Panowie — moi przyjaciele?

— Przyjaciele — powtórzyło brązowe stworzonko. — Przyjaciele. Zamek. Przyjaciele, zamek, ogień, wiatrogon, dzień, noc, ogień. O pójdź!

— Pójdę — powiedział Rocannon.

Natychmiast skoczyło do przodu, a Rocannon ruszył za nim. Stworzenie biegło jedną z promieniście rozgałęziających się ulic, potem skręciło w boczną uliczkę, kierując się na północ, i wpadło do jednej z dwunastu bram pałacu. Tam, na wyłożonym czerwonymi płytami dziedzińcu, leżeli jego czterej przyjaciele, tak jak ich zostawił. Później, kiedy miał czas pomyśleć, zrozumiał, że wyszedł z pałacu na inny dziedziniec i dlatego nie mógł ich znaleźć.

Czekało tu jeszcze pięć brązowych stworzeń, zebranych w dość ceremonialną grupkę wokół Yahana. Rocannon ponownie ukląkł, żeby dostosować się do nich wzrostem, i ukłonił się najlepiej, jak potrafił.

— Witajcie, mali panowie — powiedział.

— Witaj, witaj — zapiszczeli wszyscy mali, futrzaści ludzie. Potem jeden z nich, z czarnym futerkiem na pyszczku, powiedział:

— Kiemhrir.

— Nazywacie się Kiemhrir? — Ukłonił się pospiesznie naśladując jego ukłon. — Ja nazywam się Rocannon Olhor. Jesteśmy z północy, z Angien, z zamku Hallan.

— Zamek — powtórzył Czarna Twarz. Jego cienki, piskliwy głosik trząsł się z przejęcia. Zamyślił się i poskrobał w głowę. — Dzień, noc, rok, rok — odezwał się. — Panowie iść. Rok, rok, rok… Kiemhrir nie iść. — Spojrzał z nadzieją na Rocannona.

— Kiemhirirowie… zostali tutaj? — upewnił się Rocannon.

— Zostać! — zawołał zadziwiająco głośno Czarna Twarz — zostać! Zostać! — A inni zamruczeli jakby w upojeniu: — Zostać…

— Dzień — oznajmił stanowczym tonem Czarna Twarz,

pokazując na słońce — panowie przyjść. Iść?

— Tak, chcemy iść. Możecie nam pomóc?

— Pomóc! — zawołał Kiemher, podchwyciwszy skwapliwie to słowo i smakując je z rozkoszą. — Pomóc iść. Panie, zostać!

Więc Rocannon został; usiadł i przyglądał się, jak Kiemhrirowie zabierają się do dzieła. Czarna Twarz zagwizdał i wprędce pojawił się jeszcze tuzin kicających ostrożnie stworzeń. Rocannon zastanawiał się, jak zdołali sobie znaleźć kryjówki w tym mieście-ulu, odznaczającym się matematyczną schludnością; niewątpliwie jednak jakoś sobie radzili, a nawet mieli magazyny, gdyż jeden z nich niósł w swoich czarnych łapkach biały, owalny przedmiot przypominający jajo. Była to skorupa jaja służąca za naczynie. Czarna Twarz ujął ją w łapki i ostrożnie zdjął czubek. Wewnątrz znajdował się gęsty, przejrzysty płyn. Czarna Twarz kapnął trochę płynu na ślady ukłuć widoczne na ramionach nieprzytomnych ludzi, a potem, podczas gdy inni ostrożnie i z obawą podtrzymywali im głowy, wlał każdemu odrobinę w usta. Raho nie dotykał. Kiemhrirowie nie rozmawiali między sobą, ograniczając się do gestów i cichuteńkich gwizdów, a mimo to sprawiali wrażenie uprzejmych i dobrze wychowanych.

Czarna Twarz zbliżył się do Rocannona i odezwał się uspokajającym tonem:

— Panie, zostać.

— Czekać? Oczywiście.

— Panie — zaczał Kiemher wskazując na ciało Raho i urwał.

— Umarł — wyjaśnił Rocannon.

— Umarł, umarł — powtórzył mały człowieczek. Dotknął nasady swojej szyi, a Rocannon przytaknął. Dziedziniec otoczony srebrnymi ścianami powoli nagrzewał się od słońca. Yahan, leżący nie opodal Rocannona, odetchnął głęboko.

Kiemhrirowie przysiedli półkolem ze swoim przywódcą. Rocannon zwrócił się do niego:

— Mały panie, czy mógłbym poznać twoje imię?

— Imię — wyszeptał Czarna Twarz. Pozostali siedzieli bardzo cicho. — Liuar — wymówił stare słowo, którym Mogien nazywał wszystkich przedstawicieli swojej rasy, zarówno szlachetnie urodzonych, jak i średnich ludzi, słowo wymienione w „Podręczniku" jako nazwa Gatunku II. Liuar, Fiia, Gdemiar: imię. Kiemhrir: nie imię.

Rocannon kiwnął głową, zastanawiając się, co to miało znaczyć. Słowo „kiemher; kiemhrir" było widocznie, jak się zorientował, tylko przymiotnikiem, oznaczającym „zwinny, szybki".

Za jego plecami Kyo złapał oddech, poruszył się i usiadł. Rocannon podszedł do niego. Mali ludzie bez imienia przyglądali się temu uważnie i spokojnie swoimi czarnymi oczami. Potem obudził się Yahan, a na końcu Mogien, który musiał otrzymać największą dawkę

paraliżującego środka, gdyż z początku nie mógł nawet podnieść ręki. Jeden z Kiemhrirów nieśmiało pokazał Rocannonowi, jak można pomóc Mogienowi rozcierając mu ręce i nogi. Rocannon zastosował się do jego wskazówek, w międzyczasie wyjaśniając, co się stało i gdzie się znaleźli.

— Gobelin — wyszeptał Mogien.

— Jaki gobelin? — zapytał łagodnie Rocannon przypuszczając, że Mogien jest jeszcze oszołomiony.

— Gobelin w domu… skrzydlaci giganci… — szepnął młodzieniec.

Wtedy Rocannon przypomniał sobie, jak stał obok Haldre w Długiej Sali, pod arrasem przedstawiającym jasnowłosych wojowników walczących ze skrzydlatymi gigantami.

Kyo, który przez cały czas przypatrywał się Kiemhrirom, wyciągnął przed siebie rękę. Czarna Twarz podszedł do niego i położył swoją małą, czarną, pozbawioną kciuka łapkę na długiej, smukłej dłoni małego Fiana.

— Mistrzowie Słów — powiedział cicho Kyo. — Zjadacze słów, kochający słowa, szybcy i bezimienni, długo pamiętający. Nadal pamiętacie słowa Wysokich Ludzi, o Kiemhrirowie?

Nadal — odparł Czarna Twarz.

Z pomocą Rocannona Mogien podniósł się na nogi.

Wyglądał mizernie i smutno. Postał przez chwilę obok Raho, którego twarz w jasnym słonecznym świetle wyglądała przerażająco. Potem przywitał się z Kiemhrirami i odpowiadając na pytanie Rocannona oświadczył, że czuje się już dobrze.

— Jeśli nie znajdziemy bramy, możemy wyciąć stopnie w murze i wspiąć się po nich — zaproponował Rocannon. — Wezwij wiatrogony, panie — wymamrotał Yahan. Nie wiedzieli, czy gwizd może obudzić stwory śpiące w pałacu, a dla Kiemhrirów to pytanie okazało się za trudne. Ponieważ Skrzydlaci wydawali się prowadzić całkowicie nocny tryb życia, podróżni postanowili zaryzykować. Mogien wyciągnął mały gwizdek zawieszony na łańcuszku pod płaszczem i dmuchnął. Rocannon nic nie usłyszał, ale Kiemhrirowie wzdrygnęli się i cofnęli. Po jakichś dwudziestu minutach wielki cień zniżył się nad pałacem, zatoczył koło, pomknął na północ i wkrótce powrócił z towarzyszem. Oba, potężnie bijąc skrzydłami, opadły na dziedziniec: szary wiatrogon Mogiena i drugi, pasiasty. Białego nigdy już nie zobaczyli. Może to właśnie jego widział Rocannon na rampie w zatęchłym, złocistym półmroku, wysysanego przez larwy aniołów.

Kiemhrirowie bali się wiatrogonów. Cała powściągliwa uprzejmość Czarnej Twarzy zatraciła się w ledwie powstrzymywanej panice, kiedy Rocannon chciał się z nim pożegnać.

— O leć, panie! — pisnął żałośnie cofając się przed wielką,

pazurzastą łapą szarej bestii; nie tracili więc czasu. W odległości jednej godziny lotu od miasta-ula, pośród popiołów wygasłego ogniska odnaleźli nietknięte swoje pakunki i siodła, zapasową odzież i futra do spania. Nieco dalej leżeli trzej martwi Skrzydlaci, a między ich ciałami — oba miecze Mogiena, jeden pęknięty przy rękojeści. Mogien budząc się ujrzał dwóch Skrzydlatych pochylających się nad Yahanem i Kyo. Jeden z nich ukłuł go…

— … i straciłem głos — opowiadał Mogien. Ale walczył i zabił trzech, zanim obezwładnił go paraliż. — Słyszałem wołanie Raho. Wołał mnie trzykrotnie, a ja nie mogłem mu pomóc. — Usiadł wśród zarosłych trawą ruin, starszych niż wszystkie nazwy i legendy, położył na kolanach swój złamany miecz i nie odezwał się już ani słowem.

Wznieśli stos pogrzebowy z chrustu i gałęzi, złożyli na nim ciało Raho, które zabrali z miasta, a obok położyli jego łuk i strzały. Yahan skrzesał nowy ogień, a Mogien podpalił stos. Potem dosiedli wiatrogonów — Kyo za Mogienem, a Yahan za Rocannonem — i w blasku słońca wzbili się w powietrze, okrążając dym i płomienie buchające ku niebu.

Długo jeszcze widzieli za sobą cienką kolumnę dymu, wieńczącą szczyt samotnego wzgórza w obcym kraju. Kiemhrirowie ostrzegli ich wyraźnie, że muszą uciekać, a na noc znaleźć jakieś schronienie, gdyż Skrzydlaci mogą ponownie zaatakować ich w ciemnościach. Pod wieczór wylądowali więc nad strumieniem w głębokiej, zalesionej kotlinie i rozbili obóz w pobliżu wodospadu. Panowała tu wilgoć, ale powietrze pachniało słodko i kojąco. Na obiad mieli prawdziwe delicje — pewien gatunek powolnych, żyjących w muszlach wodnych zwierząt, bardzo smacznych — ale Rocannon nie mógł ich jeść. Między palcami i na ogonie miały szczątkowe futerko; były jajorodnymi ssakami jak większość tutejszych zwierząt, a także Kiemhrirowie.

— Ty je zjedz, Yahanie. Ja nie potrafiłbym zjeść stworzenia, które może do mnie przemówić — oświadczył Rocannon, głodny i zły, i przysiadł się do Kyo.

Kyo uśmiechnął się rozcierając obolałe ramię. — Gdyby wszystkie stworzenia umiały mówić… — Na pewno umarłbym z głodu.

— Cóż, przynajmniej zielone stworzenia nie mają głosu — zauważył Fian poklepując szorstki pień drzewa, pochylający się nad strumieniem. Tutaj na południu drzewa — wyłącznie iglaste — zaczynały już kwitnąć i powietrze w lasach gęste było od słodko pachnącego kwietnego pyłku. Wszystkie rośliny były wiatropylne, zarówno trawy, jak iglaste drzewa: nie było żadnych owadów, żadnych słupków i pręcików. Wiosna w tej bezimiennej krainie nurzała się w zieleni, ciemnej i jasnej, przesłanianej wielkimi chmurami złocistego pyłku.

Z nadejściem nocy Mogien i Yahan zasnęli, wyciągnięci przy zagasłym ognisku. Nie podtrzymywali ognia, żeby nie przyciągnąć Skrzydlatych. Kyo zgodnie z przypuszczeniem Rocannona był odporniejszy na zatrucie od zwykłych ludzi; siedzieli więc w ciemności na wysokim brzegu i rozmawiali.

— Przywitałeś Kiemhrirów, jakbyś ich znał — zauważył Rocannon.

— Wśród moich ludzi, Olhorze, to, co pamięta jeden, pamiętają wszyscy. Znamy tak wiele legend i opowieści, prawdziwych i nieprawdziwych; kto wie, jak stare są niektóre z nich…

— A mimo to nie wiedziałeś nic o Skrzydlatych. Wydawało się, że Kyo nie chce o tym mówić, w końcu jednak powiedział:

— Fiia nie pamiętają strachu, Olhorze. Jakże moglibyśmy go pamiętać? My wybieramy. Ciemność, jaskinie i stalowe miecze pozostawiliśmy Gliniakom, kiedy nasze drogi się rozeszły, a sami wybraliśmy zielone doliny, blask słońca i naczynia z drewna. Dlatego też jesteśmy tylko Półludźmi. I zapomnieliśmy, zapomnieliśmy tak wiele!

Jasny głos Kyo był tej nocy bardziej stanowczy i nalegający, niż kiedykolwiek przedtem. Strumień szumiał u ich stóp, a wodospad hałasował przy wylocie kotliny, ale Rocannon słyszał go wyraźnie.

— W tej podróży na południe każdego dnia natrafiam na legendy, których moi ludzie uczyli się, kiedy byli dziećmi w zielonych dolinach Angien. I odkryłem, że wszystkie te legendy są prawdziwe. Lecz połowa z nich została zapomniana. Mali Zjadacze Słów, Kiemhrirowie, o nich śpiewamy w naszych pieśniach; ale nie o Skrzydlatych. Pamiętamy przyjaciół, nie wrogów. Światło, a nie ciemność. A teraz wędruję wraz z Olhorem, który zmierza na południe, pomiędzy legendy, bez miecza u boku, który chce odnaleźć głos swego wroga, który przebył wielką ciemność i widział nasz świat zawieszony w mroku jak błękitny klejnot. Jestem tylko półczłowiekiem. Nie mogę iść dalej, niż sięgają wzgórza. Nie mogę pójść z tobą w wysokie miejsca, Olhorze!

Rocannon bardzo delikatnie położył mu rękę na ramieniu. Fian natychmiast ucichł. Siedzieli w milczeniu, nadsłuchując szumu wodospadu, przyglądając się drżącym odbiciom gwiazd na powierzchni wody, nad którą unosiły się obłoki pyłku lodowato zimnej wody spływającej z gór na południu.

Następnego dnia dwukrotnie dostrzegli daleko na wschodzie miasta-ule, z ulicami rozchodzącymi się promieniście od pałaców. Tej nocy wystawili podwójną straż. Zanim minął drugi dzień, dotarli pomiędzy wysokie wzgórza. Przez całą noc i kolejny dzień padał zimny, ulewny deszcz. Kiedy chmury rozstępowały się na chwilę, widać było góry wyłaniające się zza wzgórz po obu stronach. Spędzili

jeszcze jedną deszczową, nie przespaną noc na szczycie wzgórza opodal ruin starożytnej wieży, a następnego dnia wczesnym popołudniem minęli przełęcz i wlecieli w blask słońca. Przed nimi rozciągała się szeroka dolina, otoczona przez zamglone górskie szczyty, jak wielka, zielona droga prowadząca na południe.

Z prawej strony ciągnęły się zwarte, białe szeregi gór, dalekie i ogromne. Wiał ostry, rzeźwy wiatr. Skrzydlate wierzchowce jak liście niesione powiewem spływały w dół w promieniach słońca. Nad kotliną porośniętą miękką, zieloną trawą, na której tle drzewa i krzaki wyglądały jak polakierowane, unosił się cienki, szary welon dymu. Wiatrogon Mogiena zatoczył koło zawracając, podczas gdy Kyo pokazywał coś na dole. Po chwili spływali na złocistym wietrze ku wiosce skąpanej w słońcu, położonej u stóp wzgórza nad strumieniem. Z maleńkich kominów unosił się dym. Stado herilorów pasło się na stoku. Pośrodku nieregularnego kręgu małych domków, z których każdy miał słoneczny ganek, rosło pięć wielkich drzew. Obok nich wylądowali podróżni, a Fiia wyszli im na spotkanie, uśmiechając się nieśmiało.

Ci wieśniacy prawie nie znali Wspólnej Mowy i w ogóle nie używali słów. A jednak było to jak powrót do domu — wejść do przestronnych, słonecznych izb, jeść z drewnianych, polerowanych naczyń, na jedną noc schronić się przed zimnem i niewygodą w atmosferę pogodnej gościnności. Dziwni, mali ludzie, pełni wdzięku, zmienni i nieuchwytni: Półludzie, jak nazywał swoich pobratymców Kyo. Ale sam Kyo nie był już jednym z nich. Chociaż w czystym ubraniu, które mu dali, wyglądał jak oni, chociaż poruszał się jak oni, gestykulował jak oni; to jednak w grupie stał samotny. Czy było tak dlatego, że jako obcy nie potrafił rozmawiać z nimi w myślach, czy też dlatego, że dzięki przyjaźni z Rocannonem stał się innym człowiekiem, bardziej zamkniętym w sobie, bardziej ludzkim, bardziej samotnym?

Fiia dobrze orientowali się w topografii terenu. Za wielkim łańcuchem górskim na zachodzie leży pustynia — powiedzieli; udając się dalej na południe podróżni powinni posuwać się wzdłuż doliny trzymając się na wschód od gór, dopóki samo pasmo górskie nie skręci na wschód.

— Czy znajdziemy jakieś przełęcze? — zapytał Mogien, a mali ludzie uśmiechnęli się i zapewnili:

— Oczywiście, oczywiście.

— A czy wiecie, co jest dalej, za przełęczami?

— Przełęcze są bardzo wysokie, bardzo zimne — odpowiedzieli uprzejmie Fiia.

Podróżni spędzili w wiosce dwie noce dla odpoczynku i wyruszyli obładowani chlebem oraz suszonym mięsem na drogę — darami Fiia, którzy cieszyli się mogąc kogoś obdarować. Po dwóch dniach lotu

dotarli do następnej wioski małych ludzi, gdzie znowu powitano ich tak przyjaźnie, jakby nie była to wizyta obcych, ale powrót długo oczekiwanych przyjaciół. Kiedy wiatrogony wylądowały, zbliżyła się do nich grupa mężczyzn i kobiet, pozdrawiając Rocannona, który pierwszy zeskoczył na ziemię:

— Witaj, Olhorze!

To go zaskoczyło, a potem, kiedy przypomniał sobie, że słowo to oznaczało „Wędrowca", którym niewątpliwie był, poczuł się jeszcze bardziej zmieszany. Przecież to imię nadał mu mały Kyo.

W jakiś czas później, kiedy mieli za sobą następny dzień długiego, spokojnego lotu, Rocannon zapytał Kyo:

— Kyo, czy pomiędzy sobą nie używacie własnych imion?

— Moi ludzie nazywali mnie „pasterzem" albo „młodszym bratem", albo „szybkobiegaczem". Byłem szybki w wyścigach.

— Ale to są przydomki, przezwiska… jak Olhor czy Kiemher. Wy, Fiia, jesteście mistrzami w nadawaniu imion. Witacie każdego jego własnym przezwiskiem — Władca Gwiazd, Pan Miecza, Słonecznowłosy, Mistrz Słów — chyba to od Was Angyarowie nauczyli się kochać takie nazwy. Sami jednak nie używacie imion.

— Władca Gwiazd, daleko podróżujący, srebrnowłosy, pan klejnotu… — powiedział Kyo z uśmiechem. — Które z nich jest imieniem?

— Srebrnowłosy? Czy ja posiwiałem…? Nie jestem pewien, czym jest imię. Moje imię, które otrzymałem przy urodzeniu, to Gaveral Rocannon. Te słowa nie opisują niczego, a jednak oznaczają mnie. A kiedy widzę nowy gatunek drzewa, pytam ciebie — albo Mogiena czy Yahana, ponieważ ty rzadko odpowiadasz — jak się nazywa. Jestem niespokojny, dopóki nie poznam jego imienia.

— Cóż, to jest po prostu drzewo; tak samo, jak ja jestem Fianem, a ty… kim jesteś?

— Ale istnieją różnice, Kyo! W każdej wiosce, do której przybywamy, pytam, jak nazywają się te góry na zachodzie, te szczyty, w których cieniu ci ludzie spędzają całe życie, od narodzin aż do śmierci, a oni odpowiadają: „To są góry, Olhorze".

— Bo to prawda — odparł Kyo.

— Ale są przecież inne góry! Jest niższe pasmo na wschodzie, biegnące wzdłuż tej samej doliny! Jak odróżniacie jedne góry od drugich, jednych ludzi od drugich, skoro nie macie imion?

Mały Fian ścisnąwszy kolanami boki wierzchowca, zapatrzył się na wierzchołki gór płonące na zachodzie w ostatnich blaskach słońca. Po chwili Rocannon zrozumiał, że Kyo nie powie już nic więcej.

Wiatry były coraz cieplejsze, a długie dni jeszcze dłuższe w miarę, jak mijała ciepła pora, a oni posuwali się coraz dalej na południe. Ponieważ wiatrogony dźwigały podwójny ciężar, nie popędzali ich,

zatrzymując się często na dzień lub dwa, żeby zapolować i pozwolić zapolować zwierzętom; na koniec ujrzeli wreszcie miejsce, gdzie łańcuch górski zakręcał na wschód, żeby połączyć się z drugim, nadbrzeżnym pasmem gór i zagrodzić im drogę. Zieloność docierała aż do podnóża rozległych stromizn i tam zanikała. Znacznie wyżej widać było plamy zieleni i brązu — alpejskie doliny; nad nimi ciągnęły się szare skały i piargi; a najwyżej, w pół drogi do nieba, wznosiły się dumne, jaśniejące bielą szczyty.

Pośród wysokich wzgórz trafili na wioskę Fiia. Wiatr od gór dmuchał zimnem przez plecione dachy, rozwiewał błękitny dym pośród długich wieczornych cieni. Jak zwykle zostali powitani wdzięcznie i radośnie. Dostali wodę, mięso i świeże zioła w drewnianych misach, podczas gdy czyszczono ich zakurzone ubrania, a gromadka dzieci, ruchliwych jak żywe srebro, karmiła i pieściła dwa wiatrogony. Po kolacji cztery dziewczęta z wioski zatańczyły dla nich. Ten taniec bez muzyki był tak szybki i lekki, że tancerki wyglądały jak bezcielesne zjawy, jak przelotna, nieuchwytna gra świateł i cieni. Rocannon z uśmiechem zadowolenia spojrzał na Kyo, który jak zwykle siedział u jego boku. Mały Fian poważnie odwzajemnił jego spojrzenie i powiedział:

— Ja tu zostanę, Olhorze.

Rocannon powstrzymał cisnący mu się na usta okrzyk zaskoczenia i przez jakiś czas przyglądał się tancerkom, tkającym w blasku ognia zmienny, niematerialny wzór tańca. Z ciszy przędły swoją muzykę, aż w myśli patrzącego z wolna wkradało się jakieś niesamowite uczucie. Na drewnianych ścianach migotały odblaski ognia:

— Przepowiedziane było, że Wędrowiec będzie sobie wybierał towarzyszy. Na jakiś czas.

Sam nie wiedział, czy to on się odezwał, czy Kyo, czy też te słowa podsunęła mu pamięć. Słyszał je we własnych myślach i w myślach Kyo. Tancerki rozbiegły się, ich cienie mignęły pospiesznie na ścianach, rozpuszczone włosy jednej z nich zabłysły na moment w świetle. Taniec bez muzyki był skończony, tancerki, które nie miały innych imion niż światło i cień, znieruchomiały. Wzór, który on i Kyo tkali między sobą, dobiegł końca, pozostawiając po sobie ciszę.

VIII

Pomiędzy silnie bijącymi skrzydłami swego wiatrogona Rocannon dojrzał skaliste zbocze, chaos głazów sterczących z przodu i z tyłu, w górę i w dół. Wiatrogon, mozolnie pnący się ku przełęczy, niemal zamiatał ziemię lewym skrzydłem. Rocannon założył pasy na uda, ponieważ niespodziewany podmuch wiatru mógł wytrącić wierzchowca z równowagi, oraz kombinezon dla ochrony przed zimnem. Za nim siedział Yahan, zawinięty we wszystkie płaszcze i futra, jakie obaj mieli, a mimo to tak przemarznięty, że przywiązał sobie ręce do siodła obawiając się, iż nie zdoła się utrzymać. Mogien, który na mniej obciążonym wiatrogonie wysunął się znacznie do przodu, znosił chłód i wysokość o wiele lepiej. Walkę, jaką wypowiedzieli górom, przyjmował z dziką radością.

Piętnaście dni wcześniej opuścili ostatnią wioskę Fiia, pożegnali się z Kyo i wyruszyli ku najszerszej — jak im się wydawało — przełęczy. Fiia nie udzielili im żadnych wskazówek; na każdą wzmiankę o podróży przez góry milkli i odwracali wzrok.

Początkowo nie napotkali żadnych trudności, ale kiedy dotarli wyżej, wiatrogony zaczęły się szybko męczyć. Rozrzedzone powietrze nie zapewniało im dostatecznej ilości tlenu. Jeszcze wyżej trafili na mróz i zmienną, zdradliwą pogodę, typową dla dużych wysokości. W ciągu ostatnich trzech dni przebyli najwyżej piętnaście kilometrów, z czego większość w złym kierunku. Ludzie głodowali, żeby zapewnić wiatrogonom dodatkowe porcje suszonego mięsa; tego ranka Rocannon oddał im wszystko, co zostało w torbie, ponieważ gdyby dzisiaj nie przedostali się przez przełęcz, musieliby zawrócić do lasów, polować i odpoczywać, a potem zaczynać wszystko od początku. Zdawało im się, że są na dobrej drodze ku przełęczy, ale spoza gór na wschodzie wiał przeraźliwie ostry wiatr, a niebo przesłoniły ciężkie, białe chmury. Mogien nadal prowadził, a Rocannon zmuszał swojego wierzchowca, żeby podążał jego śladem; ponieważ w tej nie kończącej się, okrutnej wędrówce przez góry Mogien był jego przewodnikiem. Rocannon nie pamiętał już, dlaczego chciał jechać na południe, pamiętał tylko, że nie wolno mu się zatrzymać, że musi jechać dalej. Ale bez pomocy Mogiena nie mógł tego dokonać.

— Myślę, że to właśnie jest twoje królestwo-powiedział mu poprzedniego wieczora, kiedy omawiali trasę na następny dzień; a Mogien, rozglądając się po rozległym, mroźnym pejzażu szczytów i przepaści, skał, śniegu i szarego nieba, odparł z książęcą pewnością siebie:

— Tak, to jest moje królestwo.

Wołał teraz, a Rocannon usiłował zachęcić swego wiatrogona do

lotu, wypatrując spomiędzy oszronionych rzęs jakiejś przerwy w bezkresnym chaosie. Dostrzegł ją, wyrwę, dziurę w dachu planety; skaliste zbocze urywało się nagle, a w dole rozciągała się biała pustka — przełęcz. Po drugiej stronie omiatane wichrem szczyty ginęły w gęstniejących kłębach śniegu. Rocannon znajdował się dostatecznie blisko, żeby widzieć beztroską twarz Mogiena i słyszeć jego krzyk, wibrujący, przenikliwy, wojenny okrzyk zwycięstwa. Trzymał się z tyłu za Mogienem lecąc pośród białych chmur nad białą doliną. Wokół nich tańczyły płatki śniegu; tutaj, w swoim królestwie, w miejscu swoich narodzin, śnieg nie spadał na ziemię, tylko wirował bez końca w migotliwym tańcu. Przeciążony, na wpół zagłodzony wiatrogon dyszał jękliwie za każdym uderzeniem wielkich, pasiastych skrzydeł. Mogien zwolnił, żeby nie zgubili go w tej zamieci, ale wciąż parł do przodu, a oni lecieli za nim.

Za mglistą, wirującą zasłoną śniegu zajaśniał słaby poblask, odległe, złotawe lśnienie. Ogromne pola czystego, nieskazitelnego śniegu połyskiwały bladym złotem. Naraz wiatrogony wleciały w obszar czystego powietrza. Ziemia umknęła im spod nóg. Daleko w dole, wyraźnie widoczne mimo odległości, leżały doliny, jeziora, połyskliwy jęzor lodowca, zielone połacie lasu. Wierzchowiec Rocannona zachwiał się i runął jak kamień w dół z uniesionymi skrzydłami. Yahan krzyknął z przerażenia, a Rocannon zamknął oczy i mocno chwycił się siodła.

Skrzydła uderzyły i załopotały, uderzyły ponownie; upadek przerodził się w długi, szybujący ześlizg, coraz wolniejszy, aż wreszcie ruch ustał. Wiatrogon drżąc przycupnął w skalistej dolinie. Nie opodal ogromny wierzchowiec Mogiena próbował położyć się na ziemi. Mogien ze śmiechem zeskoczył z jego grzbietu i zawołał:

— Już po wszystkim, udało się! — Podszedł do nich, jego ciemna, wyrazista twarz jaśniała triumfem. — Teraz moje królestwo rozciąga się po obu stronach gór, Rokananie!… Tutaj możemy rozbić obóz na noc. Jutro wiatrogony będą mogły zapolować tam w dole, wśród drzew, a my zaczniemy schodzić na piechotę. Chodź, Yahanie.

Yahan, skurczony na siodle, nie mógł się poruszyć. Mogien wziął go na ręce i pomógł mu położyć się w osłoniętym miejscu pod sterczącym głazem. Osłona była potrzebna, gdyż wiał zimny, przenikliwy wiatr, a popołudniowe słońce dawało równie mało ciepła co Wielka Gwiazda, błyszcząca jak okruch kryształu na południowym zachodzie. Podczas gdy Rocannon zdejmował uprząż z wiatrogonów, angyarski książę zajmował się jego służącym, próbując go rozgrzać. Nie było z czego zrobić ogniska — wciąż jeszcze znajdowali się wysoko ponad granicą lasów.

Rocannon zdjął swój kombinezon i mimo słabych, trwożliwych protestów Yahana ubrał weń chłopca, a sam zawinął się w futra.

Ludzie i wiatrogony, stłoczeni razem dla ciepła, podzielili między siebie resztki wody i chleba Fiia. Noc zbliżała się od podnóży gór. Na niebie pojawiły się gwiazdy, uwolnione przez ciemność, a dwa największe księżyce świeciły niemal w zasięgu ręki.

Późną nocą Rocannon ocknął się z płytkiego snu. W świetle gwiazd świat był cichy i nieruchomy. Yahan ściskał jego ramię i szeptał coś gorączkowo, potrząsał nim i szeptał. Rocannon spojrzał tam, gdzie pokazywał Yahan, i na najbliższym głazie zobaczył jakiś cień, wyłom pośród gwiazd.

Był wielki i dziwnie niewyraźny, podobnie jak tamten cień, który widzieli na równinie daleko stąd. Na lewo od niego świecił słabo malejący księżyc Heliki. Kiedy mu się przyglądali, przez ciemny kształt zaczęły stopniowo prześwitywać gwiazdy. Po chwili nie było już cienia, tylko mroczne, przejrzyste powietrze.

— To tylko gra świateł, Yahanie — szepnął Rocannon. — Połóż się, masz gorączkę.

— Nie — odezwał się za jego plecami cichy głos Mogiena. — To nie było złudzenie, Rokananie. To była moja śmierć. Yahan usiadł, trzęsąc się w gorączce.

— Nie, panie! nie twoja; to niemożliwe! Widziałem to przedtem, na równinach, kiedy cię z nami nie było-i Olhor też!

Przywołując na pomoc resztki opanowania i zdrowego rozsądku Rocannon przemówił autorytatywnym tonem: — Nie gadaj głupstw!

Mogien nie zwrócił na niego uwagi.

— Ja też widziałem ją na równinach, gdzie mnie szukała. Dwa razy widziałem ją na wzgórzach, zanim znaleźliśmy przełęcz. Jeśli to nie moja śmierć, to czyja? Twoja, Yahanie? Czyż ty jesteś księciem, Angya? Czy masz dwa miecze?

Yahan, wstrząśnięty i przerażony, próbował go powstrzymać, ale Mogien mówił dalej:

— To nie jest śmierć Rokanana, ponieważ on przez cały czas, trzyma się swojej drogi. Człowiek może umrzeć w każdym miejscu, ale swoją własną śmierć, swoją prawdziwą śmierć książę spotyka jedynie w swoim królestwie. Ona czeka na niego tam, gdzie może go spotkać, na polu walki, w domu lub na końcu drogi. To jest moje królestwo. Z tych gór wyszli moi ludzie. Teraz tu wróciłem. Mój drugi miecz został złamany w walce. Ale posłuchaj, moja śmierci: jestem Mogien, dziedzic Hallan — czy mnie poznajesz?

Mroźny, ostry wiatr powiał od gór. Dookoła wznosiły się skały, w górze świeciły gwiazdy. Jeden z wiatrogonów wzdrygnął się i zawarczał.

— Milcz — powiedział Rocannon. — To wszystko głupstwa. Kładź się i śpij…

Ale sam długo nie mógł zasnąć, a za każdym razem, kiedy

podnosił głowę, widział, jak Mogien siedzi przy potężnym boku swego wiatrogona, czujny i milczący, wpatrując się w noc.

O świcie wypuścili wiatrogony na polowanie w niżej położonych lasach, a sami zaczęli schodzić na piechotę. Nadal znajdowali się wysoko ponad granicą lasów. Na szczycie pogoda się utrzymywała, ale za to już po godzinie marszu przekonali się, że Yahan nie daje sobie rady. Zejście nie było trudne; mimo to Yahan, wyczerpany i chory, nie mógł dotrzymać im kroku, a tym bardziej wspinać się i czołgać, co czasami było konieczne. Jeden dzień wypoczynku w kombinezonie Rocannona pomógłby mu odzyskać siły: ale to oznaczało jeszcze jedną noc spędzoną w górach, bez ognia, bez żadnego schronienia, prawie bez żywności. Mogien rozważył to ryzyko, z pozoru nawet się nie zastanawiając, i zaproponował, żeby Rocannon zaczekał z Yahanem w jakimś słonecznym, osłoniętym zakątku, podczas gdy on znajdzie zejście dostatecznie łatwe, żeby mogli znieść Yahana na dół, albo przynajmniej jakieś schronienie przed śniegiem.

Kiedy odszedł, Yahan, leżący dotąd w odrętwieniu, poprosił o wodę. Flaszka była pusta. Rocannon kazał mu leżeć spokojnie i wspiął się po pochyłym zboczu na skalną półkę, sterczącą jakieś piętnaście metrów wyżej, gdzie dostrzegł nieco zbitego, topniejącego śniegu. Wspinaczka okazała się trudniejsza, niż przypuszczał. Leżał na skale z sercem walącym w piersi, chciwie łapiąc w usta czyste, rozrzedzone powietrze.

W uszach miał szum, który początkowo wziął za szum własnej krwi; potem obok swej ręki zobaczył płynącą wodę. Usiadł. Maleńki strumyczek parując opływał zaspę twardego, zlodowaciałego śniegu. Rozejrzał się za jego źródłem i pod przewieszoną skałą dostrzegł czarny otwór: wejście do jaskini. Jaskinia byłaby dla nich najlepszą kryjówką, stwierdziła racjonalna część jego umysłu — ale w tej samej chwili owładnęło nim uczucie irracjonalnej paniki. Siedział nieruchomo, sparaliżowany przez najokropniejszy strach, jakiego kiedykolwiek doświadczył.

Promienie słońca daremnie próbowały ogrzać nagą skałę. Szczyty górskie kryły się za najbliższymi głazami; a leżącą w dole krainę przesłaniały chmury. Tutaj, na nagim, szarym dachu świata był tylko on i ciemny otwór w skale.

Po długim czasie wstał, podszedł do otworu przestępując przez parujący strumyczek i przemówił do obecności, która czekała w ciemnym wnętrzu.

— Przychodzę — powiedział.

Ciemność poruszyła się nieznacznie i mieszkaniec jaskini stanął u jej wejścia.

Podobnie jak Gliniaki był niski i blady; podobnie jak Fiia — drobny i jasnooki; przypominał jednych i drugich, nie przypominał

żadnych. Włosy miał białe. Głos nie był głosem, gdyż rozbrzmiewał w myślach Rocannona, podczas gdy jego słuch rejestrował tylko cichy gwizd wiatru; i nie było żadnych słów. A jednak głos zapytał Rocannona, czego sobie życzy.

— Nie wiem — odpowiedział na głos przerażony człowiek, ale jego skupiona wola w ciszy odpowiedziała za niego: *Chcę iść na południe, znaleźć mojego wroga i zniszczyć go.*

Wiatr gwizdał mu w uszach; ciepły strumyk bulgotał u jego stóp. Powoli, bezszelestnie mieszkaniec jaskini odstąpił na bok i Rocannon pochyliwszy się wszedł w ciemność.

Co ofiarowujesz w zamian za to, co ci dałem? Co mam ofiarować, o Najstarszy?

To, co masz najdroższego, to, czego będziesz najbardziej żałował.

W tym świecie nie mam nic własnego. Cóż mogę ci dać? Rzecz, życie, szansę; nadzieję, los, przypadek: nie musisz znać jego imienia. Ale wykrzykniesz głośno jego imię, kiedy to utracisz. Czy oddasz to dobrowolnie?

Dobrowolnie, o Najstarszy.

Cisza, gwizd wiatru. Rocannon pochylił głowę i wyszedł z ciemności. Kiedy się wyprostował, czerwony promień światła uderzył go prosto w oczy. Zimne, czerwone słońce zachodziło ponad szkarłatnoszarym morzem chmur.

Yahan i Mogien spali przytuleni do siebie na skalnej półce. Niewielka kupka futer i ubrań nie poruszyła się, kiedy Rocannon do nich schodził.

— Obudźcie się — powiedział cicho.

Yahan usiadł. W ostrym, czerwonym świetle jego twarz wyglądała dziecinnie i żałośnie.

— Olhor! Myśleliśmy… nie było cię nigdzie… myśleliśmy, że spadłeś…

Mogien potrząsnął swoją żółtą czupryną, żeby odgonić sen, i przez chwilę patrzył na Rocannona. Potem powiedział ochrypłym, łagodnym głosem:

— Witaj z powrotem, Władco Gwiazd. Czekaliśmy tu na ciebie.

— Spotkałem… rozmawiałem z… Mogien podniósł rękę.

— Wróciłeś i cieszę się z tego. Czy idziemy na południe? — Tak.

— Dobrze. — W tym momencie Rocannon nawet się nie zdziwił, że Mogien, który zawsze był jego przewodnikiem i opiekunem, nagle zwraca się do niego jak książę do swego władcy.

Mogien dmuchnął w gwizdek, ale choć czekali długo, wiatrogony nie wróciły. Zjedli więc resztki twardego, pożywnego chleba Fiia i jeszcze raz wyruszyli na piechotę. Kombinezon wyraźnie pomagał Yahanowi, więc Rocannon nalegał, żeby młodzieniec go zatrzymał. Młody Olgyia nie odzyskał jeszcze całkowicie sił — potrzebował

jedzenia i dłuższego wypoczynku — ale już mógł iść, a to było konieczne: czerwony zachód słońca zwiastował pogorszenie pogody. Zejście nie było niebezpieczne, tylko powolne i męczące. Późnym rankiem z lasów położonych daleko w dole nadleciał szary wiatrogon Mogiena. Obładowali go siodłami, uprzężą i futrami — wszystkim, co teraz mieli — i wiatrogon fruwał nad nimi, to wzbijając się w górę, to nurkując w dół. Od czasu do czasu wydawał dźwięczny okrzyk, jakby przywołując swego pasiastego towarzysza, który wciąż polował lub pożywiał się w lesie.

Około południa natrafili na niebezpieczny odcinek drogi. Z urwiska sterczała wielka skała, jak tarcza, przez którą musieli się przeczołgać powiązani linami.

— Może z góry zobaczysz jakąś łatwiejszą drogę, Mogienie — zaproponował Rocannon. — Szkoda, że drugi wiatrogon nie wrócił.

Czuł jakiś niepokój; chciał jak najszybciej zejść z tego nagiego, szarego zbocza i skryć się pośród drzew.

— Zwierzęta były przemęczone; może ten drugi jeszcze nic nie upolował. Mój wiatrogon nie był tak obciążony. Zobaczę, jak szeroka jest ta skała. Może mój wiatrogon mógłby przenieść nas wszystkich na niewielką odległość.

Zagwizdał, a szary wiatrogon z tym ślepym posłuszeństwem, które zawsze zdumiewało Rocannona u tak wielkiej i drapieżnej bestii, zatoczył koło w powietrzu, po czym z gracją sfrunął na ziemię. Mogien wskoczył na niego i wzbił się w górę z głośnym krzykiem; jego jasne włosy zabłysły w ostatnich promieniach słońca, przebijających się przez gęsty wał chmur.

Nadal wiał zimny, ostry wiatr: Yahan przykucnął w załomie skał i zamknął oczy. Rocannon usiadł wpatrując się w odległy horyzont, za którym, przy najdalszej krawędzi, wyczuwało się leciutki odblask morza. Nie patrzył na rozległy, mglisty pejzaż, który pojawiał się i znikał pomiędzy dryfującymi chmurami; wbił spojrzenie w jeden punkt, jedno miejsce położone na południe i nieco na wschód. Zamknął oczy. Nasłuchiwał i słyszał.

To był ten dziwny dar, który otrzymał od mieszkańca jaskini, strażnika gorącego źródła w bezimiennych górach; dar tak całkowicie obcy jego naturze. Tam, w ciemnościach, obok głębokiej, parującej studni, nauczono go posługiwać się zmysłem, który Ziemianie i Davenantanie mogli jedynie badać u innych ras, gdyż sami — prócz rzadkich wyjątków — byli nań głusi i ślepi. Rocannon, mobilizując resztki swego człowieczeństwa, odwracał się od przerażającej wiedzy, którą mu ofiarował mieszkaniec jaskini. Uczył się słuchać umysłów jednej rasy, jednego gatunku stworzeń, jednego głosu pośród wszystkich innych; głosu swego wroga.

Chociaż wcześniej próbował już rozmawiać w myślach z Kyo,

teraz nie chciał słuchać myśli swoich towarzyszy, jeśli oni nie potrafili tego samego. Tam gdzie istniała miłość i lojalność, musiało też istnieć zaufanie.

Mógł jednak szpiegować i podsłuchiwać tych, którzy zabili jego przyjaciół i zerwali więź pokoju. Siedział na bloku granitu pośród nieprzebytych gór i słuchał myśli ludzi przebywających tysiące metrów niżej i setki kilometrów dalej, wśród wzgórz. Niewyraźne brzęczenie, chaos, bełkot i paplanina, odległe, mgliste emocje i doznania. Nie wiedział, jak odróżnić jeden głos od drugiego; czuł zawrót głowy, jakby przebywał jednocześnie w setkach miejsc. Słuchał, jak słucha niemowlę, nie odróżniając dźwięków. Ci, którzy rodzą się z oczami i uszami, muszą uczyć się patrzeć i słuchać, uczyć się wyłuskiwać jakąś twarz spośród kształtów widzianych do góry nogami, jakieś znaczenie spośród powodzi dźwięków. Strażnik studni posiadał dar, który Rocannonowi znany był tylko ze słyszenia, dar rozbudzania zmysłu telepatii; nauczył Rocannona, jak nim kierować, ale nie mógł go nauczyć, jak się nim posługiwać w praktyce; nie było na to czasu. Rocannonowi kręciło się w głowie od natłoku obcych myśli i uczuć. Tysiące obcych umysłów wdzierało się w jego umysł. Jednakże posługując się owym zmysłem, który Angyarowie nazywali „myślomową", nie słyszał żadnych słów. To, co „słyszał", to nie były słowa, lecz emocje, pragnienia, fizyczne doznania i sensualno-mentalne wrażenia obecności wielu różnych ludzi, obecności nakładającej się na jego własny system nerwowy; przerażające fale strachu i zazdrości, powiew zadowolenia, ciemna otchłań snu, szaleńcza, na wpół zrozumiała, na wpół odczuta kotłowanina myśli. I naraz z tego chaosu wynurzyło się coś absolutnie jasnego i zrozumiałego. Kontakt bardziej bezpośredni niż ręka położona na nagiej skórze. Coś zbliżało się ku niemu, jakiś człowiek, którego umysł wyczuł jego obecność. Wraz z tym wrażeniem pojawiły się słabsze wrażenia szybkości, ciasnej przestrzeni, ciekawości i strachu.

Rocannon otworzył oczy, na wpół oczekując, że ujrzy przed sobą twarz człowieka, z którym nawiązał kontakt. Ten człowiek znajdował się niedaleko stąd; Rocannon był tego pewien. Czuł, że ten człowiek się zbliża. Nie zobaczył jednak nic prócz pustki i niskich chmur. Drobne,, suche płatki śniegu wirowały na wietrze. Po lewej sterczał wielki odłam skały, który zagradzał im drogę. Podszedł Yahan i przyglądał się Rocannonowi ze strachem. Ale Rocannon nie mógł go uspokoić, ponieważ owa obecność przykuła go do siebie; nie potrafił zerwać kontaktu.

— Tam… tam jest… latający statek — wymamrotał niewyraźnie, jak przez sen. — Tam!

Tam gdzie pokazywał, nie było nic; pustka, chmury. — Tam — wyszeptał Rocannon.

Yahan ponownie obejrzał się w ślad za jego spojrzeniem i krzyknął. Wysoko w górze unosił się w powietrzu Mogien na szarym wiatrogonie; a nad nim z kłębów chmur wyłonił się nagle wielki, czarny kształt, na pozór nieruchomy. Mogien spłynął z wiatrem w dół nie widząc go; z pochyloną głową szukał wzrokiem swoich towarzyszy — dwóch maleńkich figurek na maleńkiej skalnej półce pośród rozległego pejzażu skał i chmur.

Czarny kształt urósł w oczach, huk śmigieł rozbijał ciszę gór. Rocannon widział go wyraźnie, ale jeszcze wyraźniej wyczuwał człowieka w jego wnętrzu, niepojętą bliskość drugiego umysłu, przejmujący, intensywny strach.

— Kryj się! — szepnął do Yahana, sam jednak nie był w stanie się poruszyć.

Helikopter kierował się prosto na nich, wciągając strzępki chmur w wirujące śmigła. Rocannon patrzył na nadlatującą maszynę, a jednocześnie patrzył z jej wnętrza, szukając czegoś wzrokiem, widział dwie małe figurki na zboczu góry, czuł strach, coraz większy strach — błysk światła, gorące smagnięcie bólu, ból w jego własnym ciele, nie do zniesienia. Kontakt umysłów urwał się gwałtownie. Znowu był sobą, stał na skalnej półce przyciskając prawą dłoń do piersi, dysząc ciężko i patrząc, jak helikopter zbliża się coraz bardziej, jak śmigła obracają się z ogłuszającym hukiem, jak umieszczony na dziobie laser celuje prosto w niego.

Z prawej, spośród kłębowiska chmur wystrzelił nagle wielki, szary kształt: skrzydlaty wierzchowiec niosący na grzbiecie jeźdźca, który krzyczał wysokim, wibrującym głosem, przypominającym triumfalny śmiech. Jedno uderzenie wielkich, szarych skrzydeł — i wierzchowiec runął z pełną szybkością prosto na unoszącą się w powietrzu maszynę. Rozległ się ostry dźwięk jakby rozdzieranej tkaniny, a potem powietrze było puste.

Dwaj ludzie na skalnej półce zamarli w bezruchu. Z dołu nie dochodził żaden dźwięk. Chmury majestatycznie przepływały nad otchłanią.

— Mogienie!

Rocannon wykrzyknął głośno jego imię. Nie było odpowiedzi. Był tylko ból, strach i milczenie.

IX

Deszcz bębnił donośnie o drewniany dach. Komnatę zalegał chłodny półmrok.

Obok jego posłania stała kobieta. Znał tę twarz-ciemną, szlachetną, dumną twarz uwieńczoną złotem.

Chciał jej powiedzieć, że Mogien nie żyje, ale nie mógł wymówić tych słów. Leżał bez ruchu, zmieszany i niepewny, ponieważ teraz przypomniał sobie, że Haldre z Hallan była starą, siwowłosą kobietą, a złotowłosa kobieta, którą niegdyś znał, nie żyła od dawna; a w każdym razie widział ją tylko raz, na planecie odległej o osiem lat świetlnych, dawno, dawno temu, kiedy był człowiekiem zwanym Rocannonem.

Ponownie spróbował przemówić, ale kobieta powiedziała:

— Cicho, mój panie.

Mówiła we Wspólnej Mowie, choć z odmiennym akcentem. Podeszła bliżej i ciągnęła cichym głosem:

— To jest zamek Breygna. Przyszedłeś tu z gór z drugim człowiekiem, podczas śnieżnej zamieci. Byłeś bliski śmierci i nadal jesteś ranny. Mamy czas…

Mieli dużo czasu i czas ten upływał spokojnie, niepostrzeżenie, wśród szumu deszczu.

Następnego dnia — a może było to w dzień później — odwiedził go Yahan, Yahan bardzo chudy, lekko utykający, z twarzą poznaczoną śladami odmrożeń. Ale o wiele bardziej niezrozumiała była zmiana, jaka zaszła w jego zachowaniu, jego nieśmiałość i uległość wobec Rocannona. Po chwili rozmowy zmieszany Rocannon zapytał:

— Czy ty się mnie boisz, Yahanie?

— Staram się nie bać, panie — wyznał Yahan i zająknął się.

Kiedy Rocannon mógł już schodzić do sali biesiadnej, na wszystkich zwróconych ku niemu twarzach widział ten sam wyraz lęku czy obawy, choć były to dzielne i wesołe twarze. Ciemnoskórzy, jasnowłosi, wysocy ludzie, stara rasa; z niej wywodzili się Angyarowie — pojedyncze plemię, które dawno temu wywędrowało na północ, za morze. To byli Liuarowie, od niepamiętnych czasów żyjący tutaj, u podnóża gór i na rozległych południowych równinach.

Z początku myślał, że to jego obcy wygląd, jego jasna skóra i ciemne włosy napełniają ich obawą; ale Yahan wyglądał tak samo, a jednak jego się nie bali. Traktowali go jak księcia pośród książąt, co dla eks-niewolnika z Hallan stanowiło miłą niespodziankę. Ale Rocannona traktowali jak księcia ponad książętami, jak kogoś innego.

Był ktoś, kto rozmawiał z nim jak równy z równym. Pani Ganye, synowa i spadkobierczyni starego księcia, była od paru miesięcy

wdową; jej mały, jasnowłosy synek prawie nigdy nie odstępował jej boku. Chłopczyk, choć nieśmiały, nie bał się Rocannona. Polubił go i często prosił, żeby mu opowiadać o górach, o morzu i północnych krainach. Rocannon odpowiadał na wszystkie pytania, a Ganye, jasna i pogodna jak promień słońca, przysłuchiwała się temu, od czasu do czasu odwracając ku niemu z uśmiechem twarz — tę twarz, której nigdy nie mógł zapomnieć.

Na koniec zapytał ją, co takiego myślą o nim mieszkańcy Breygna, a ona odpowiedziała szczerze:

— Myślą, że jesteś bogiem.

Użyła słowa, które usłyszał po raz pierwszy w wiosce Tolen, słowa „pedan".

— To nieprawda — oświadczył z naciskiem. Zaśmiała się cicho.

— Dlaczego tak myślą? — zapytał gwałtownie. — Czy bogowie Liuarów mają kalekie ręce i siwe włosy? — Promień lasera z helikoptera trafił go w prawy nadgarstek i odtąd Rocannon niemal całkowicie stracił władzę w ręce.

— Czemu nie? — odparła Ganye z uśmiechem na swojej dumnej, szczerej twarzy. — Jednakże prawdziwym powodem jest to, że zszedłeś z gór.

Przetrawiał te słowa przez chwilę.

— Powiedz mi, pani Ganye, czy wiecie o…: strażniku studni?

Jej twarz spoważniała.

— Znamy tylko legendy. Minęło już wiele czasu, dziesięć pokoleń panów Breygna, odkąd Lollt Wielki poszedł w wysokie miejsca i wrócił przemieniony. Wiemy, że spotkałeś Najstarszych.

— Skąd wiecie?

— We śnie, w gorączce mówisz zawsze o cenie, o zapłacie, o otrzymanym darze i jego cenie. Lollt również zapłacił… Zapłatą była twoja prawa ręka, Olhorze? — zapytała z nagłym strachem, podnosząc na niego oczy.

— Nie. Oddałbym obie ręce, żeby odzyskać to, co straciłem.

Wstał, podszedł do okna w wieży i popatrzył na rozległą krainę, rozciągającą się między górami a odległym morzem. Wyniosłe wzgórza, na których stał zamek Breygna, opływała rzeka, wijąc się i połyskując pośród niższych wzgórz, znikając w mglistej dali, gdzie majaczyły niewyraźnie wioski, pola, wieże zamków i znowu rzeka, lśniąca w promieniach słońca, ciemna w strumieniach deszczu.

— To najpiękniejszy. kraj, jaki kiedykolwiek widziałem — powiedział Rocannon. Wciąż myślał o Mogienie, który nigdy już tego nie zobaczy.

— Dla mnie nie jest już tak piękny, jaki był kiedyś. — Dlaczego, pani Ganye?

— Z powodu Obcych!

— Opowiedz mi o nich, pani.

— Przyszli tu poprzedniej zimy. Wielu z nich przyjechało na wielkich latających statkach, uzbrojonych w ognistą broń. Nikt nie umiał powiedzieć, z jakiego kraju przyszli; nie wspominają o nich żadne legendy. Cały kraj pomiędzy rzeką Viarn a morzem należy teraz do nich. Zabili lub przegnali ludzi z ośmiu zamków. My zostaliśmy uwięzieni na wzgórzach; nie ośmielamy się nawet zejść na dół, żeby zaprowadzić stada na nasze własne pastwiska. Z początku walczyliśmy z Obcymi. Mój mąż Ganhing został zabity przez ich ognistą broń. — Zamilkła, jej spojrzenie zatrzymało się na chwilę na spalonej, kalekiej ręce Rocannona. — Zanim… zanim nastała pierwsza odwilż, zginął — i dotąd nie został pomszczony. Schylamy głowy i omijamy ich ziemie z daleka, my, Władcy Ziemi! I nie znajdzie się nikt, kto kazałby tym obcym zapłacić za śmierć Ganhinga.

Cóż za wspaniały gniew, pomyślał Rocannon słysząc w jej głosie spiżowe tony trąb Hallan.

— Zapłacą, pani Ganye; zapłacą wysoką cenę. Wprawdzie wiesz, że nie jestem bogiem, ale czy myślisz, że jestem zwykłym człowiekiem?

— Nie, panie — odrzekła. — Nie myślę.

Mijały dni, długie dni długiego lata. Białe zbocza gór ponad Breygną okryły się błękitem, zboża na polach Breygny dojrzały, zostały zebrane, zasiane i dojrzewały po raz drugi, kiedy pewnego popołudnia Rocannon usiadł obok Yahana na dziedzińcu, gdzie ujeżdżano właśnie parę młodych wiatrogonów.

— Wyruszam znów na południe, Yahanie. Ty zostaniesz tutaj.

— Nie, Olhorze! Pozwól mi iść…

Yahan urwał. Być może przypomniał sobie pewną mglistą plażę, gdzie porwany żądzą podróży wypowiedział posłuszeństwo Mogienowi. Rocannon uśmiechnął się.

— Lepiej będzie, jeśli pójdę sam. To nie potrwa długo, tak czy inaczej.

— Ale ja przysięgałem ci służyć, Olhorze. Proszę, pozwól mi iść z tobą.

— Przysięgi tracą ważność, kiedy traci się imię. Po tamtej stronie gór ofiarowałeś swe służby Rokananowi. Ale w tym kraju nie ma sług i nie ma też człowieka imieniem Rokananon. Proszę cię, Yahanie, jak przyjaciela, nie mów już nic więcej, tylko jutro o świcie osiodłaj dla mnie wiatrogona z Hallan.

Następnego ranka przed wschodem słońca Yahan lojalnie czekał na niego na lądowisku, trzymając wodze jedynego ocalałego wiatrogona z Hallan, tego w szare pasy. Wiatrogon dotarł sam do Breygny w parę dni po nich, zagłodzony i na wpół zamarznięty. Teraz był lśniący i pełen animuszu, powarkiwał i wymachiwał pasiastym

ogonem.

— Czy nałożyłeś drugą skórę, Olhorze? — zapytał szeptem Yahan, zapinając mu pasy na udach. — Mówią, że Obcy strzelają ogniem w każdego, kto zjawi się w pobliżu ich siedzib.

— Nałożyłem ją.

— Ale nie masz miecza…?

— Nie. Nie mam miecza. Posłuchaj, Yahanie, gdybym nie wrócił, zajrzyj do portfela, który zostawiłem w swoim pokoju. Są w nim kawałki tkaniny ze… ze znakami i obrazami ziemi; gdyby kiedykolwiek powrócili tutaj moi ludzie, oddaj im to, dobrze? Jest tam również naszyjnik. — Zawahał się na chwilę, twarz mu pociemniała. — Daj go pani Ganye. Jeśli nie wrócę, żeby sam go jej dać. Żegnaj, Yahanie. Życz mi szczęścia.

— Oby twoi wrogowie zmarli nie spłodziwszy synów — zawołał Yahan ze łzami i puścił wodze.

Wiatrogon wzbił się natychmiast w niebo, ciepłe i szarawe o świcie, zawrócił potężnym uderzeniem skrzydeł, złapał północny wiatr i odleciał nad wzgórza. Yahan stał patrząc w ślad za nim. Wysoko na Wieży Breygna wyjrzała z okna jakaś twarz, ciemna i piękna; wiatrogon zniknął już dawno, słońce wzeszło, a ona wciąż patrzyła.

Była to dziwna podróż, podróż do miejsca; którego nigdy nie widział, a jednak poznał je z zewnątrz i od wewnątrz poprzez rozmaite wrażenia, czerpane z setek różnych umysłów. Choć bowiem ten zmysł nie pozwalał widzieć, umożliwiał jednakże odbieranie namacalnych wrażeń, dotyczących przestrzeni, wzajemnego położenia, czasu, ruchu i pozycji. Przetrawiając te doznania wciąż na nowo przez wiele dni, kiedy całymi godzinami siedział nieruchomo w swoim pokoju w zamku Breygna, Rocannon zdobył dokładną, choć bezsłowną i bezobrazową wiedzę o każdym budynku i każdym miejscu w bazie wroga. A uporządkowawszy bezpośrednie wrażenia dowiedział się, czym była ta baza, dlaczego tu się znajdowała, jak do niej wejść i gdzie szukać tego, co było mu potrzebne.

Problem polegał na tym, że po długiej, intensywnej praktyce bardzo trudno mu było nie używać tego zmysłu, kiedy zbliżał się do swoich wrogów; wyłączyć go, używać tylko oczu i uszu, myśleć w zwykły sposób. Wypadek w górach ostrzegł go, że na bliską odległość wrażliwe umysły mogą w jakiś niejasny sposób uświadamiać sobie jego obecność. Przyciągnął pilota helikoptera nad górskie zbocze jak rybę na wędce, chociaż sam pilot prawdopodobnie nie rozumiał, co skierowało go w tę stronę ani dlaczego czuł przymus strzelania do ludzi, których zobaczył. Teraz, samotnie zbliżając się do ogromnej bazy, Rocannon nie chciał ściągać na siebie niczyjej uwagi, ponieważ miał zamiar zakraść się jak złodziej pod osłoną nocy.

O zachodzie słońca zostawił spętanego wiatrogona na leśnej

polanie, a teraz, po kilku godzinach marszu, przemierzał rozległą, pustą, betonową płaszczyznę kosmodromu, zbliżając się do grupy budynków. Kosmodrom był tylko jeden i rzadko używany, skoro wszyscy ludzie i sprzęt znajdowali się na miejscu. Rakiety mknące z prędkością światła nie liczyły się w tej wojnie, gdzie najbliższa cywilizowana planeta była odległa o osiem lat świetlnych.

Baza była wielka, przerażająco wielka dla samotnego człowieka, ale większość budynków przeznaczono na kwatery. Rebelianci sprowadzili tu niemal całą swoją armię. Podczas gdy Liga traciła czas przeszukując i podporządkowując sobie ich ojczystą planetę, oni umacniali swoje pozycje na tym odległym, bezimiennym świecie, zagubionym wśród wszystkich światów Galaktyki, gdzie niezwykle trudno było ich odnaleźć. Rocannon wiedział, że niektóre z wielkich baraków były puste; kilka dni temu wysłano kontyngent żołnierzy i techników w celu przejęcia planety, która — jak się domyślał — została podbita lub nakłoniona do zawarcia sojuszu z buntownikami. Owi żołnierze przybędą tam najwcześniej za dziesięć lat. Faradayanie byli bardzo pewni siebie. Pewnie dobrze im się wiedzie w tej wojnie. Wszystko, czego potrzebowali, żeby zniszczyć bezpieczeństwo Ligi Wszystkich Światów, to dobrze ukryta baza i sześć potężnych broni.

Wybrał noc, kiedy spośród czterech księżyców tylko mały asteroid Heliki, uwięziony przez pole przyciągania planety, miał się pojawić na niebie przed północą. Heliki jaśniał na niebie, kiedy Rocannon zbliżał się do rzędu hangarów, sterczących jak czarna rafa na szarym morzu betonu. Nikt jednak go nie zauważył, nikt nie wyczuł jego obecności. Nie było ogrodzenia, straże były nieliczne: Straż pełniły za nich maszyny, które przepatrywały przestrzeń na odległość lat świetlnych wokół systemu Fomalhaut. Czegóż zresztą mieliby się obawiać ze strony aborygenów, tkwiących wciąż w epoce brązu na tej małej, bezimiennej planecie?

Heliki świecił pełnym blaskiem, kiedy Rocannon wyśliznął się z cienia rzucanego przez hangary; był w połowie cyklu, kiedy Rocannon osiągnął swój cel: sześć nadświetlnych statków. Spoczywały obok siebie jak ogromne, hebanowe jaja pod wysokim, ledwie widocznym baldachimem siatki maskującej. Wokół statków rosły tu i ówdzie drzewa, wyglądające jak zabawki — przedmurze Lasu Viarn.

Teraz już musiał użyć swego zmysłu bez względu na konsekwencje. Stał w cieniu kępy drzew, nieruchomy i czujny, starając się trzymać jednocześnie oczy i uszy w pogotowiu, i sięgał przed siebie, w stronę jajowatych statków, badając ich otoczenie i ich wnętrza. W każdym, jak dowiedział się w Breygna, dzień i noc siedział pilot gotów do startu — przypuszczalnie na Faraday — w razie awarii.

Awaria dla sześciu pilotów mogła oznaczać tylko jedno: że centrum dowodzenia, znajdujące się cztery mile dalej, na wschodnim

krańcu bazy, zostało zbombardowane lub dokonano w nim sabotażu. W takim przypadku każdy z nich miał wyprowadzić swój statek w bezpieczne miejsce przejąwszy nad nim kontrolę — podobnie jak statki kosmiczne owe nadświetlne statki miały systemy napędowe niezależne od wszelkich zewnętrznych komputerów i źródeł zasilania, które mogły ulec uszkodzeniu. Ale lot na nich oznaczał samobójstwo; żadna żywa istota nie przeżyła „podróży" z szybkością większą od światła. Każdy pilot był zatem nie tylko świetnie wyszkolonym matematykiem, ale również fanatykiem gotowym do poświęcenia życia. Stanowili starannie dobraną załogę. Mimo wszystko jednak nudzili się siedząc tak i czekając na swoją niewielką szansę chwały. Tej nocy w jednym ze statków Rocannon wyczuwał obecność dwóch mężczyzn. Pomiędzy nimi znajdowała się płaska powierzchnia podzielona na kwadraty. Rocannon odbierał to samo wrażenie w ciągu wielu ubiegłych nocy i racjonalna część jego umysłu zarejestrowała słowo „szachy". Sięgnął swoim zmysłem do następnego statku. Statek był pusty.

Rocannon przemknął przez szarą przestrzeń betonu, pośród nielicznych drzew, dotarł do piątego statku w .rzędzie, wspiął się na rampę i wpadł w otwarty właz. Wnętrze nie przypominało żadnego statku. Były tam hangary na rakiety i wyrzutnie, banki pamięci komputera, reaktory, jakiś szaleńczo splątany labirynt korytarzy do przetaczania pocisków, z których każdy mógł zniszczyć miasto. Ponieważ statek nie poruszał się w zwykłej czasoprzestrzeni, nie miał dziobu ani rufy, ani żadnej logiki, a Rocannon nie znał języka, w którym wypisano oznaczenia. Nie było tu żadnego żywego umysłu, który mógłby się stać przewodnikiem. Rocannon stracił dwadzieścia minut szukając sterowni — metodycznie, powściągając narastającą panikę, powstrzymując się od używania swego zmysłu, żeby nie zaniepokoić nieobecnego pilota.

Dopiero kiedy już zlokalizował sterownię, znalazł przesyłacz i usiadł przed nim, tylko na chwilę pozwolił sobie zajrzeć do wnętrza drugiego statku. Odebrał wyraźny obraz ręki zawieszonej niezdecydowanie nad białym gońcem. Wycofał się natychmiast. Zapamiętał koordynaty, na które nastawiony był przesyłacz, po czym przestawił go na koordynaty Bazy Etnograficznej Ligi dla Strefy Galaktycznej 8, w mieście Kerguelen, na planecie Nowa Południowa Georgia — jedyne koordynaty, które pamiętał bez zaglądania do podręcznika. Włączył maszynę i zaczął nadawać.

Palce uderzały w klawisze, niezręcznie, bo musiał się posługiwać lewą ręką, a w tej samej chwili na małym, czarnym ekranie w pokoju, który znajdował się w jednym z miast na planecie odległej o osiem lat świetlnych, pojawiły się litery:

PILNE DO PREZYDIUM LIGI. Baza nadświetlnych statków wojennych rebeliantów z Faradaya znajduje się na Fomalhaut II, Kontynent Południowo-Zachodni, 28°28' Pn i 121°40' Zach, około 3 km Pn-W od głównej rzeki. Baza zaciemniona, ale powinna być widoczna jako 4 budynki, 28 grup baraków i hangar na kosmodromie prowadzącym W-Z. 6 statków nadświetlnych nie w bazie, ale na zewnątrz, dokładnie na Pd-W od kosmodromu na skraju lasu, zakamuflowane siatką maskującą i pochłaniaczami światła. Nie atakować na oślep, ponieważ tubylcy są niewinni. Tu Gaveral Rocannon z Misji Etnograficznej Fomalhaut. Jestem jedynym pozostałym przy życiu członkiem ekspedycji. Nadaję z przesyłacza na pokładzie nadświetlnego statku wroga. Tutaj pozostało około 5 godzin do świtu.

Miał zamiar dodać: „Zostawcie mi parę godzin na ucieczkę", ale nie zrobił tego. Gdyby go złapano, Faradayanie zostaliby ostrzeżeni i mogliby przenieść statki w inne miejsce. Wyłączył nadajnik i ustawił koordynaty w poprzednim położeniu. Wędrując do wyjścia wąskim pomostem, biegnącym wzdłuż korytarza, ponownie sprawdził drugi statek. Szachiści skończyli partię i zbierali się do wyjścia. Zaczął biec, mijając puste, dziwaczne, słabo oświetlone pomieszczenia. Zdawało mu się, że skręcił w złym kierunku, ale trafił prosto do włazu, zbiegł po rampie, goniąc resztką sił przemknął obok nie kończącego się ogromu statku, obok nie kończącego się ogromu drugiego statku i wpadł w ciemność lasu.

Między drzewami nie mógł już biec, gdyż oddech palił go w piersi, a gęste, czarne gałęzie nie przepuszczały światła. Szedł dalej spiesznym krokiem; obszedł skraj bazy, dotarł do końca kosmodromu i rozpoczął drogę powrotną, wspomagany przez następny cykl jasności Heliki, a po godzinie — wschód Feni. Miał wrażenie, że w ogóle nie posuwa się naprzód, a czas uciekał. Jeśli zbombardują bazę teraz, kiedy był tak blisko, dosięgnie go fala uderzeniowa lub płomienie. Brnął przez ciemność ogarnięty przemożnym strachem przed światłem, które może wybuchnąć za jego plecami i spalić go. Ale dlaczego się nie zjawiali, dlaczego to trwało tak długo?

Dopiero o świcie dotarł do wzgórza o rozdwojonym wierzchołku, gdzie zostawił wiatrogona. Bestia powarkiwała na niego, rozdrażniona tym, że całą noc spędziła uwiązana do drzewa w lesie obfitującym w zwierzynę. Rocannon oparł się o jej ciepły bok i podrapał ją lekko za uchem, myśląc o Kyo.

Kiedy odetchnął, dosiadł wiatrogona i ponaglił go do marszu. Przez długi czas zwierz kulił się jak sfinks i nie chciał się ruszyć. Wreszcie podniósł się, protestując melodyjnym warczeniem, i

podreptał na północ w zabójczo powolnym tempie. Pola i wzgórza, opuszczone wioski i sędziwe drzewa były już słabo widoczne, ale wiatrogon nie chciał lecieć, dopóki blask wschodzącego słońca nie rozlał się na horyzoncie. Wtedy wzbił się w górę; złapał świeży, pomyślny wiatr i pomknął w jasny, blady świt. Rocannon wciąż oglądał się do tyłu: Za nim rozciągała się spokojna, cicha kraina, w łożysku rzeki na zachodzie leżała mgła. Natężył swój zmysł i usłyszał myśli, emocje i poranne sny swoich wrogów, rozpoczynających nowy, zwykły dzień.

Zrobił, co mógł. Głupcem był sądząc, że zdoła czegoś dokonać. Cóż znaczył jeden, samotny człowiek przeciwko wyszkolonej armii? Wyczerpany, ze znużeniem przetrawiając swą porażkę, wracał do Breygny, jedynego miejsca, do którego mógł wrócić. Przestał już się zastanawiać, czemu Liga tak długo odkłada atak. Nie mieli zamiaru atakować. Uznali jego wiadomość za oszustwo, pułapkę. Albo też, co bardziej prawdopodobne, pomylił koordynaty: wystarczyła jedna źle podana współrzędna, żeby jego wiadomość przepadła w pustce, gdzie nie było czasu ani przestrzeni. I za to zginęli Raho, Iot, Mogien: za wiadomość wysłaną donikąd. A on został tu wygnany na resztę swego życia, niepotrzebny nikomu, obcy w obcym świecie.

Zresztą to nie miało znaczenia. Był tylko pojedynczym człowiekiem. Los pojedynczego człowieka się nie liczy.

Cóż w takim razie się liczy?

Nie mógł znieść tych wspomnień. Obejrzał się ponownie, żeby nie widzieć wciąż przed oczami twarzy Mogiena — i z krzykiem poderwał kalekie ramię osłaniając oczy przed nieznośnym blaskiem, wysokim, białym słupem ognia, który wystrzelił bezgłośnie z równiny.

Potem dotarł do niego grzmot i uderzenie wiatru. Przerażony wiatrogon ryknął, wspiął się i jak strzała spadł na ziemię. Rocannon wygramolił się z siodła i skulił się osłaniając głowę rękami. Ale nie potrafił się od tego odgrodzić — nie od światła, lecz od ciemności. Ciemność oślepiła jego umysł i wypełniła jego ciało, uświadamiając mu śmierć tysiąca ludzi. Śmierć, śmierć, śmierć bez końca, wciąż na nowo, tysiąc śmierci w jednej chwili, w jednym umyśle — w jego własnym umyśle. A potem cisza.

Podniósł głowę i słuchał, i usłyszał ciszę.

Epilog

O zachodzie słońca wylądował na dziedzińcu zamku Breygna, zsiadł i stanął obok swego wierzchowca — zmęczony człowiek z siwą, pochyloną głową. Natychmiast zebrali się wokół niego wszyscy jasnowłosi mieszkańcy zamku, wypytując go, co to był za wielki ogień na zachodzie i czy prawdą jest to, co opowiadają uchodźcy z równin o zagładzie Obcych. Dziwne to było, jak tłoczyli się wokół niego, wiedząc, że on wie. Szukał wzrokiem Ganye, a kiedy ujrzał jej twarz, odzyskał mowę.

— Siedziba wroga jest zniszczona — powiedział z trudem. — Nie wrócą tutaj. Wasz książę Ganhing został pomszczony. I mój książę Mogien. I twoi bracia, Yahanie; i ludzie Kyo; i moi przyjaciele. Wszyscy zginęli.

Rozstąpili się przed nim, a on wszedł samotnie do zamku. W kilka dni później spacerował z Ganye po spłukanym deszczem tarasie wieży. Ganye spytała go, czy teraz odejdzie z Breygna. Przez długi czas nie odpowiadał.

— Nie wiem — powiedział w końcu. — Yahan wróci chyba na północ, do Hallan. Jest tutaj paru chłopców, którym marzą się morskie podróże. A pani Hallan czeka na wiadomość o jej synu… Ale Hallan nie jest moim domem. Nie mam tutaj domu. Nie jesteście moimi ludźmi.

— A czy twoi ludzie nie przyjdą po ciebie? — zapytała Ganye, która słyszała co nieco o jego pochodzeniu. Popatrzył na piękny krajobraz, na rzekę połyskującą w letnim zmierzchu daleko na południu.

— Może przyjdą — odparł. — Za osiem lat. Mogą wysłać śmierć natychmiast, ale życie jest powolniejsze… Ale czy to są moi ludzie? Nie jestem już tym, kim byłem przedtem. Zmieniłem się; piłem ze studni w górach. I nigdy więcej nie chcę już iść tam, gdzie mógłbym usłyszeć głos mojego wroga.

W milczeniu szli obok siebie, wstępując na siedem stopni prowadzących do balustrady; a wtedy Ganye, spoglądając ku zamglonym, błękitnym bastionom gór, powiedziała: — Zostań z nami.

Rocannon milczał przez chwilę, zanim odpowiedział: — Zostanę. Na jakiś czas.

Ale spędził tam resztę swego życia. Kiedy statki Ligi ponownie przybyły na planetę i Yahan poprowadził wyprawę poszukiwaczy na południe, do Breygna, Rocannon nie żył. Mieszkańcy zamku Breygna opłakiwali swojego księcia, a wdowa po nim, wysoka i jasnowłosa, nosząca na szyi wielki, błękitny klejnot na złotym łańcuchu, witała tych, którzy po niego przyszli. Nigdy się nie dowiedział, że Liga

nazwała ten świat jego imieniem.